

**AGATHA CHRISTIE**

# **POIROT PROWADZI**

# **ŚLEDZTWO**

**(TŁUMACZ: BRYGIDA KALISZEWICZ)**

**SCAN-DAL**

## Gwiazda Zachodu

Stałem w oknie mieszkania Poirota, dla zabicia czasu spoglądając w dół, na ulicę.

- Dziwne - zawołałem nagle przytłumionym głosem.

- Co takiego, *mon ami*? - spokojnie zapytał Poirot z głębi wygodnego fotela.

- Wyprowadź logiczne wnioski, Poirot, z następujących faktów. Oto młoda dama, wspaniale ubrana: imponujący kapelusz, wytworne futro, wolno idzie ulicą, przypatrując się domom wokoło. Nie wie, że śledzą ją trzej mężczyźni i kobieta w średnim wieku. Teraz dołączył do nich goniec, który, gestykulując, wskazuje na dziewczynę przed nimi. Jakież dramata się tu rozgrywa? Czy dziewczyna jest oszustką, a śledzący przygotowującymi się do jej aresztowania detektywami? Czy raczej to oni są złoczyńcami, którzy spiskują, aby zaatakować niewinną ofiarę? Co o tym sądzi wielki detektyw?

- Wielki detektyw, *mon ami*, jak zwykle wybiera najprostsze rozwiązanie. Wstaje, aby zobaczyć to na własne oczy. - I mój przyjaciel podszedł do okna, przy którym stałem.

Po chwili rozbawiony dał upust śmiechowi.

- Jak zwykle zabarwiasz fakty nieuleczalnym romantyzmem. To pani Mary Marvell, gwiazda filmowa. A podąża za nią grono wielbicieli, które ją rozpoznało. I, *en passant*, mój drogi Hastings, jest tego całkowicie świadoma!

Roześmiałem się.

- Zatem wszystko jasne. Ale nie masz na to dowodów, Poirot. Po prostu ją rozpoznałeś.

- *En verite!* Ale ile razy widziałeś Mary Marvell na ekranie, *mon cher*?

Zastanowiłem się.

- Chyba około tuzina.

- A ja raz! Pomimo to rozpoznałem ją, a ty nie.

- Wygląda teraz zupełnie inaczej - odparłem raczej nieprzekonująco.

- Ach! *Sacrel* - zawołał Poirot. - Czyżbyś oczekiwał, że będzie się przechadzać ulicami Londynu w kowbojskim kapeluszu na głowie albo boso, ze związanymi włosami, jak wtedy) gdy grała irlandzką dziewczynę? Koncentrujesz się na sprawach mało istotnych! Przypomnij sobie sprawę tancerki Valerie Saintclair.

Wzruszyłem ramionami, lekko poirytowany.

- Ależ przestań się martwić, *mon ami* - powiedział Poirot, już spokojniej. - Nie każdy może być Herkulesem Poirot! Rozumiem to doskonale.

- Doprawdy nie znam nikogo, kto miałby o sobie równie wysokie mniemanie jak ty! -

zawołałem na wpół rozbawiony, na wpół poirytowany.

- Czegoż chcesz? Kiedy jest się kimś wyjątkowym, trudno być tego nieświadomym. Szczególnie gdy inni podzielają tę opinię; nawet, o ile się nie myłę, pani Mary Marvell.

- Co?

- Bez wątpienia. Właśnie tu idzie.

- Skąd o tym wiesz?

- To oczywiste. Ulica ta nie należy do wybranych, *mon ami!* Nie mieszka tu żaden wzięty lekarz ani dentysta i z pewnością żaden milioner! Natomiast mieszka pewien wzięty detektyw. *Oui*, mój przyjacielu, to prawda: zaczynam być w modzie, zaczynam być *dernier cri!* Jeden drugiemu mówi: "*Comment?* Zgubił pan złoty piórnik? Musi pan iść do tego małego Belga. Jest wręcz zdumiewający! Każdy do niego idzie!". *Courez!* I przychodzą! Tłumnie, *mon ami*. Z najbliższymi problemami. - Na dole zadzwieczał dzwonek. - A nie mówiłem? To pani Marvell.

Jak zwykle Poirot miał rację. Wkrótce amerykańska gwiazda filmowa została wprowadzona do naszego pokoju, a Poirot wstał, aby ją powitać.

Mary Marvell niewątpliwie była jedną z najpopularniejszych aktorek, pojawiających się na ekranach kin. Do Anglii przybyła przed paroma dniami, wraz z mężem, Gregorym B. Rolfem, również aktorem filmowym. Pobrali się przed rokiem w Stanach i była to ich pierwsza wizyta w Anglii. Zgotowano im wspaniałe przyjęcie. Ludzie oszaleli na punkcie Mary Marvell, jej cudownych strojów, futer, biżuterii, a przede wszystkim na punkcie jednego kamienia, wspaniałego brylantu, który nazwano na cześć właścicielki Zachodnią Gwiazdą. Wiele, prawdy i nie tylko, napisano o tym znakomitym klejnocie, który - o czym donosiły gazety - został ubezpieczony na astronomiczną sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Wszystkie te szczegóły przemknęły mi przez myśl, gdy wraz z Poirotem witałem naszą piękną klientkę.

Pani Marvell była drobna i smukła, o włosach jasno-blond, dziewczęcym wyglądzie i niebieskich, szeroko otwartych, niewinnych oczach dziecka.

Poirot przysunął jej krzesło, a ona, usiadłszy, z miejsca zaczęła mówić.

- Prawdopodobnie pomyśli pan, że jestem niemądra, monsieur Poirot, ale gdy zeszłego wieczoru lord Cronshaw opowiadał mi, w jak zdumiewający sposób wyjaśnił pan tajemnicę śmierci jego bratanka, poczułam, że muszę zasięgnąć pańskiej rady. Przypuszczam, że mam do czynienia z głupim żartem, przynajmniej Gregory tak mówi, lecz jestem nim śmiertelnie przerażona.

Urwała, by nabrać tchu. Poirot uśmiechnął się promiennie i zachęcająco.

- Proszę kontynuować, madame. Pojmuje pani, że niczego jeszcze nie wiem.

- To przez te listy. - Pani Marvell otworzyła torebkę i wyjęła trzy koperty, które podała Poirotowi.

Ten przyjrzał się im uważnie.

- Tani papier, nazwisko i adres starannie napisane drukowanymi literami. Zobaczmy, co jest w środku. - Wyjął zawartość. Podszedłem i zajrzałem mu przez ramię. List zawierał tylko jedno zdanie, starannie napisane drukowanymi literami, takimi jak na kopercie. Brzmiało tak:

*Ten wspaniały brylant jest lewym okiem bóstwa i musi powrócić na swoje miejsce.*

Drugi list zawierał to samo, ale trzeci był bardziej wymowny:

*Ostrzeżono cię. Nie usłuchałaś. Teraz stracisz brylant. Oba kamienie, będące lewym i prawym okiem bóstwa, o pełni księżyca powrócą na swoje miejsce. Taka jest przepowiednia.*

- Pierwszy list potraktowałam jak żart - wyjaśniła pani Marvell. - Gdy dostałam drugi, zaczęłam się zastanawiać. Trzeci nadszedł wczoraj i wtedy odniosłam wrażenie, że sprawa może być poważniejsza, niż mi się to wcześniej wydawało.

- Widzę, że nie wysłano ich pocztą.

- Nie, zostały doręczone przez Chińczyka. To mnie właśnie przeraża.

- Dlaczego?

- Ponieważ przed trzema laty Gregory kupił brylant w San Francisco właśnie od Chińczyka.

- Pojmuje, madame, iż wierzy pani, że klejnot, o którym w listach mowa, jest...

- ...Zachodnią Gwiazdą - dokończyła pani Marvell. - W tym rzecz. Gregory pamięta, że z kamieniem tym była związana jakaś historia, ale Chińczyk nie chciał mu udzielić żadnych informacji. Gregory mówi, że wydawał się śmiertelnie przerażony i pozbywał się brylantu w straszliwym pośpiechu. Zażądał tylko jednej dziesiątej jego wartości. Był to prezent ślubny Grega dla mnie.

Poirot skinął w zamyśleniu głową.

- Historia wydaje się wręcz niewiarygodnie romantyczna. A jednak kto wie? Hastings, bardzo cię proszę, podaj mój mały almanach.

Spełniłem jego prośbę.

- *Voyons* - powiedział Poirot, odwracając kartki. - Kiedy jest pełnia księżyca? Aha, w

najbliższy piątek. To znaczy za trzy dni. *Eh bien*, madame, prosi pani o radę: oto ona! Ta *belle historie* może być żartem, choć niekoniecznie musi nim być. Dlatego radzę zostawić brylant pod moją opieką do soboty. Potem będziemy mogli podjąć takie kroki, jakie uznamy za stosowne.

Cień niezadowolenia przemknął przez twarz aktorki; odparła z widocznym wysiłkiem:

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Ma go pani ze sobą, *hein?* - Poirot przyglądał się jej uważnie.

Kobieta przez chwilę się wahała, po czym wsunawszy dłoń za gors sukni, wyciągnęła długi, cienki łańcuszek. Pochyliła się do przodu i rozluźniła palce. Na jej dłoni leżał i mrugał na nas uroczyście kamień rzucający snop białego Światła, przepięknie oprawiony w platynę.

Poirot westchnął głęboko.

- *Epatant!* - wymamrotał. - Pozwoli pani? - Wziął klejnot do ręki i obejrzał go dokładnie, po czym zwrócił go jej z lekkim ukłonem. - Wspaniały kamień, bez skazy. Ach, *cent tonnerres!* I nosi go pani przy sobie, *comme ça!*

- Ależ nie, naprawdę jestem bardzo ostrożna, monsieur Poirot. Zazwyczaj leży zamknięty w kasetce na kosztowności, złożony w hotelowym sejfie. A tak na marginesie, zatrzymaliśmy się w hotelu Magnificent. Dzisiaj wzięłam go ze sobą, aby mógł pan go zobaczyć.

- I zostawi go pani u mnie, *n'est-ce pas?* Posłucha pani rady papy Poirota?

- No cóż, widzi pan, wygląda to tak, monsieur Poirot. W piątek wyjeżdżamy do Yardly Chase, aby spędzić kilka dni z lordem i lady Yardly.

Jej słowa obudziły we mnie niejasne wspomnienia. Plotki? Co to właściwie było? Przed paroma laty lord i lady Yardly odwiedzili Stany, mówiono, że jego lordowska mość nie stronił od towarzystwa pań, ale było coś jeszcze, jeszcze jakieś plotki, które łączyły lady Yardly z gwiazdorem filmowym z Kalifornii... ależ tak! Dotarło to do mnie w jednej chwili, oczywiście, to był nikt inny, tylko Gregory B. Rolf.

- Wyjawię panu mały sekret, monsieur Poirot - ciągnęła dalej pani Marvell. - Zawarliśmy umowę z lordem Yardly. Mamy szansę sfilmowania pewnej sztuki w jego rodowej posiadłości.

- W Yardly Chase? - zawołałem zaciekawiony. - No tak, przecież to jedna z atrakcji turystycznych Anglii.

Pani Marvell potakująco skinęła głową.

- Zdaję sobie sprawę, że to prawdziwa feudalna siedziba. On jednak żąda dosyć wygórowanej ceny i, oczywiście, nie wiem jeszcze, czy umowa dojdzie do skutku, ale Greg i ja

zawsze lubimy łączyć przyjemne z pożytecznym.

- Proszę o wybaczenie, jeżeli jestem mało pojętny, madame. Może pani przecież odwiedzić Yardly Chase, nie zabierając brylantu ze sobą.

W oczach pani Marvell pojawiło się przenikliwe, nieugięte spojrzenie, zadając kłam jej dziecięcemu wyglądowi. Nagle stała się o wiele starsza.

- Chcę go tam mieć.

- Zapewne - powiedziałem nagle - w kolekcji Yardlych znajdują się wspaniałe klejnoty, wśród nich jakiś olbrzymi brylant.

- W tym rzecz - odparła krótko pani Marvell.

Usłyszałem cichy pomruk Poirota:

- Ach, *c'est comme ca!* - Potem powiedział głośno, jak zwykle dzięki jakiemuś niepojętemu zrządzeniu losu trafiając prosto w sedno (górnolotnie nazywa to psychologią):  
-Zatem bez wątpienia jest pani znajomą lady Yardly albo zna ją pani mąż?

- Gregory poznał ją, gdy przed trzema laty była w Stanach - odrzekła pani Marvell. Zawahała się przez chwilę, po czym dodała: - Czy któryś z panów przegląda czasem "Kronikę Towarzyską?"

Zawstydzeni, obaj przyznaliśmy się do winy.

- Pytam, ponieważ w numerze z tego tygodnia pojawił się artykuł o znanych klejnotach, a jest doprawdy niezwykle - urwała.

Wstałem, podszedłem do stolika w drugim końcu pokoju i wróciłem z gazetą, o której mowa, w rękę. Wzięła ją ode mnie, znalazła wspomniany artykuł i zaczęła głośno czytać:

- Do słynnych klejnotów można zaliczyć Gwiazdę Wschodu, brylant będący w posiadaniu rodu Yardly. Przodek obecnego lorda Yardly przywiózł go, wracając z Chin, a z klejnotem tym łączy się pewna romantyczna historia. Głosi ona, iż kamień ten był prawym okiem posągu jakiegoś bóstwa. Drugi brylant, dokładnie tej samej wielkości i kształtu, stanowił jego lewe oko i jak mówi legenda, również ten klejnot po pewnym czasie zostanie skradziony. "Jedno oko powędruje na Zachód, drugie na Wschód, aż pewnego dnia spotkają się znowu. Wtedy triumfalnie powrócą do bóstwa". Zdziwiającym zbiegiem okoliczności wspomnianemu brylantowi odpowiada z opisu kamień znany jako Gwiazda Zachodu albo Zachodnia Gwiazda. Jest on własnością sławnej gwiazdy filmowej, pani Mary Marvell. Z pewnością porównanie tych dwóch kamieni byłoby interesujące.

Urwała.

- *Epatant!* - mruknął Poirot. - Bez wątpienia wspaniała romantyczna historia. - Zwrócił się do Mary Marvell: - I nie obawia się pani, madame? Nie dręczy pani strach zrodzony z tych

przesądów? Nie boi się pani przedstawić sobie tych dwóch syjamskich braci? A co będzie, jeżeli pojawi się tam jakiś Chińczyk i w okamgnieniu zabierze je z powrotem do Chin?

Ton głosu miał kpiący, ale wydawało mi się, że czai się w nim ukryta nuta powagi.

- Nie wierzę, aby brylant lady Yardly był choćby w przybliżeniu tak wspaniały jak mój - odparła pani Marvell. - W każdym razie zamierzam się o tym przekonać.

Nie wiem, co jeszcze chciał powiedzieć Poirot, ponieważ akurat wtedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna o imponującym wyglądzie. Od czubka ciemnej kędzierzawej czupryny do koniuszków eleganckich skórzanych butów nadawał się na bohatera romansu.

- Mówiłem, że wpadnę po ciebie. Mary - powiedział Gregory B. Rolf - i oto jestem. A zatem co monsieur Poirot myśli o naszym małym problemie? Że to jakiś głupi żart, tak jak mówiłem?

Poirot uśmiechnął się do sławnego aktora. Obaj stanowili zabawny kontrast.

- Żart albo i nie, panie Rolf - stwierdził oschle. - Poradziłem madame, pańskiej żonie, aby w piątek nie zabierała brylantu ze sobą do Yardly Chase.

- Zgadza się z panem. Też jej to mówiłem. Ale sam pan widzi! Jest kobietą w każdym calu i sędzę, że nie może znieść myśli, iż inna kobieta przyćmi ją klejnotami.

- Co za absurd, Gregory! - powiedziała ostro Mary Marvell. Zaczerwieniła się jednak rozgniewana.

Poirot wzruszył ramionami.

- Madame, udzieliłem rady. Nie mogę zrobić niczego więcej. *C'est fini*.

Kłaniając się, odprowadził ich do drzwi.

- Ach, *la, la* - zauważył wracając. - *Historie des femmes!* Dobry mąż trafił w samo sedno, *tout de meme*, ale nie był taktowny! Co to, to nie.

Podzieliłem się z nim swoimi niejasnymi wspomnieniami, a on energicznie skinął głową.

- Tak też myślałem. Niemniej kryje się w tym coś dziwnego. Jeżeli pozwolisz, *mon ami*, zaczerpnę nieco świeżego powietrza. Proszę, poczekaj na mnie, nie zabawię długo.

Na wpół drzemałem w fotelu, gdy do drzwi zastukała gospodyni, po czym wsunęła przez nie głowę,

- Jeszcze jedna dama chce się widzieć z panem Poirotem. Mówiłam jej, że wyszedł, ale powiedziała, że zaczeka. Wygląda na przyjezdną.

- Och, niechże ją pani tu wprowadzi, pani Murchinson. Być może będę mógł jej w czymś pomóc.

Chwilę później kobieta weszła. Na jej widok serce zabiło mi żywiej. Fotografie lady Yardly zbyt często pojawiały się w kronikach towarzyskich, aby mogła pozostać nieznaną.

- Proszę usiąść, lady Yardly - powiedziałem, przysuwając krzesło. - Mój przyjaciel Poirot akurat wyszedł, ale z całą pewnością wróci niebawem.

Podziękowała i usiadła. Stanowiła całkowite przeciwieństwo Mary Marvell. Wysoka, ciemnowłosa, o błyszczących oczach i bladej, dumnej twarzy, ale w kącikach jej ust czaił się smutek.

Zapragnąłem stawić czoło zadaniu. Dlaczegoż by nie? W obecności Poirota często czuję się skrzepowany, nie przedstawiam się najkorzystniej. A przecież ja również posiadam wysoce rozwiniętą zdolność dedukcji. Odruchowo pochyliłem się do przodu.

- Lady Yardly - powiedziałem - wiem, dlaczego pani tu przyszła. Grożono pani listownie, żądano brylantu.

Bez wątpienia trafiłem w sedno. Zaskoczona utkwiała we mnie wzrok, błędąc jeszcze bardziej.

- Pan wie? - wyszeptała. - Jakim sposobem?

Uśmiechnąłem się.

- Dzięki logicznemu wyprowadzaniu wniosków. Jeżeli pani Marvell otrzymała listy z ostrzeżeniem...

- Pani Marvell? Czy była tutaj?

- Przed chwilą wyszła. Tak jak mówiłem, jeżeli do niej jako posiadaczki jednego z dwóch bliźniaczych brylantów skierowano serię pogroźek, pani, jako właścicielce drugiego kamienia, z pewnością musiało przytrafić się to samo. Widzi pani, jakie to proste. A więc mam rację, pani również otrzymała takie ostrzeżenia?

Zawahała się, jak gdyby pod wpływem wątpliwości, czy może mi zaufać, potem lekko się uśmiechnęła i na znak potwierdzenia skinęła głową.

- Istotnie - przyznała.

- Czy i pani listy zostały doręczone przez Chińczyka?

- Nie, przyszły pocztą, ale niechże pan powie: czy i pani Marvell to się przytrafiło?

Opowiedziałem jej, co wydarzyło się rano. Słuchała z uwagą.

- Wszystko się zgadza. Moje listy są identyczne. To prawda, że przyszły pocztą, ale przesyczone są jakimś dziwnym zapachem, czymś w rodzaju kadzidełka, który od razu skojarzył mi się ze Wschodem. Co to wszystko znaczy?

Potrząsnąłem w zadumie głową.

- To właśnie musimy wyjaśnić. Ma pani ze sobą listy? Możliwe, że dowiemy się czegoś



ze stempli pocztowych.

- Niestety, zniszczyłam je. Rozumie pan, wtedy myślałam, że to głupi żart. Czyżby jakiś chiński gang próbował odzyskać te brylanty? Wydaje się to wręcz niewiarygodne.

Kilkakrotnie badaliśmy okoliczności całego zajścia, ale ani o krok nie przybliżyliśmy się do wyjaśnienia tajemnicy. W końcu lady Yardly wstała.

- Nie sądzę, abym jeszcze musiała czekać na monsieur Poirota. Może mu pan to wszystko opowiedzieć, prawda? Bardzo panu dziękuję, panie...

Zawahała się, wyciągnawszy rękę.

- Kapitan Hastings.

- Naturalnie! Jaka jestem niemądra. Jest pan przyjacielem Cavendishów, nieprawdaż? To właśnie Mary Cavendish skierowała mnie do monsieur Poirota.

Kiedy mój przyjaciel wrócił, z przyjemnością opowiedziałem mu, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Wypytał mnie bardzo dokładnie o szczegóły rozmowy i wyczułem, że nie był zadowolony z tego, że wyszedł. Wydawało mi się również, że nie zawiść była tego powodem. Weszło mu w nawyk stałe umniejszanie moich zdolności i sądzę, że czuł się rozgoryczony, nie znajdując tym razem pretekstu do krytyki. W skrytości ducha byłem bardzo z siebie zadowolony, chociaż próbowałem ukryć ten fakt, aby go tym nie zirytować. Pomimo jego dziwactw byłem bardzo przywiązany do mego niezwykłego małego przyjaciela.

- *Bien!* - powiedział w końcu, z dziwnym wyrazem twarzy. - Fabuła się rozwija. Proszę, podaj mi z górnej półki tamten "Wykaz parów Wielkiej Brytanii". - Przewrócił kartki. - Ach, proszę! "Yardly... dziesiąty wicehrabia, brał udział w wojnach burskich - ...*tout ca n'a pas d'importance...* - ożenił się w roku 1907 z panną Maude Stopperton, czwartą córką trzeciego barona Cotteril - ...uhm, uhm, uhm... - ma dwie córki urodzone w 1908, 1910 roku... kluby, rezydencje"...*Voilà*, niewiele nam to mówi. Ale jutro rano zobaczymy się z milordem!

-Co?

- Tak. Telefonowałem do niego.

- Sądziłem, że umywasz ręce od tej sprawy?

- Nie działałam w imieniu pani Marvell, gdyż odrzuciła moją radę. Teraz robię to dla własnej satysfakcji, satysfakcji Herkulesa Poirot! Koniecznie muszę wziąć w tym udział.

- I spokojnie dzwoniisz do lorda Yardly, aby, nie zwlekając, przyjechał do miasta tylko dla twojej wygody. Nie będzie z tego zadowolony.

- *Au contraire*, jeżeli zachowam dla niego jego rodowy brylant, będzie mi bardzo wdzięczny.

- Więc naprawdę myślisz, że ktoś go może ukraść? - zapytałem podniecony.

- Jestem tego prawie pewien - odpowiedział spokojnie Poirot. - Wszystko na to wskazuje.

- Ale jakim sposobem...

Poirot powstrzymał mnie od zadawania dalszych pytań lekkim ruchem ręki.

- Nie teraz, proszę. Nie zaprzatajmy sobie tym myśli. I popatrz na ten "Wykaz parów Wielkiej Brytanii", jak go odłożyłeś! Musisz przyznać, że teraz już największe książki nie stoją na górnej półce, drugie co do wielkości poniżej i tak dalej. A to właśnie tworzy porządek, strategię, która, o czym ci często mówiłem, Hastings...

- Oczywiście - powiedziałem pośpiesznie i odłożyłem urągający poczuciu ładu tom na jego właściwe miejsce.

Lord Yardly okazał się typem sportowca, wesołym, o donośnym głosie i bardzo rumianej twarzy, ale łagodnego usposobienia, co stanowiło niezaprzeczalny urok i równoważyło braki w poziomie jego dyspozycji umysłowych.

- To nadzwyczajna sprawa, monsieur Poirot. Zupełnie nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wygląda na to, że moja żona od jakiegoś czasu dostaje dziwne listy i że pani Marvell też takie dostała. Co to wszystko znaczy?

Poirot wręczył mu egzemplarz "Kroniki Towarzyskiej".

- Po pierwsze, milordzie, chciałbym wiedzieć, czy podane tu informacje są całkowicie prawdziwe.

Par wziął gazetę. Gdy ją czytał, twarz mu pociemniała ze złości.

- Przekłete brednie! - parsknął gniewnie. - Z tym brylantem nigdy nie była związana żadna romantyczna historia. O ile mi wiadomo, został przywieziony z Indii. Nigdy nie słyszałem o żadnym chińskim bóstwie.

- A jednak kamień znany jest pod nazwą Gwiazdy Wschodu.

- I co z tego? - zapytał gniewnie.

Poirot uśmiechnął się nieznacznie, ale nie odpowiedział.

- Chciałbym pana prosić, milordzie, aby w tej sprawie zdał się pan całkowicie na mnie. Jeżeli pan to zrobi, mam nadzieję, że uda mi się zapobiec katastrofie.

- Sądzi pan więc, że coś się kryje za tymi fantastycznymi historyjkami?

- Czy robi pan to, o co proszę?

- Oczywiście, że tak, ale...

- *Bien!* Więc pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań. Czy prawa Yardly Chase jest już ostatecznie załatwiona z panem Rolfem?

- Och, powiedział panu o tym, prawda? Nie, nic jeszcze nie zostało ustalone. - Zawahał

się, ceglastoczerwony kolor jego twarzy przybrał ciemniejszy odcień. - Równie dobrze mogę powiedzieć to bez ogródek. Zblaźniłem się wielokrotnie, monsieur Poirot, jestem po uszy w długach, ale chcę to zmienić. Lubię swoje dzieciaki i chcę wszystko naprawić, abyśmy nadal mogli żyć tam gdzie dotychczas. Gregory Rolf proponuje duże pieniądze, wystarczająco duże, abym mógł znowu stanąć na nogi. Nie chcę się na to zgodzić, nie zniósłbym myśli, że cały ten tłum grający komedię kręci się po Chase, ale możliwe, że będę musiał, chyba że... - urwał.

Poirot popatrzył na niego przenikliwie.

- Zatem wchodzi w grę i inna możliwość? Pozwoli pan, że zgadnę? Sprzedaż Gwiazdy Wschodu?

Lord Yardly skinął głową.

- Rzeczywiście. Jest w naszej rodzinie od wielu pokoleń, ale to nie ma znaczenia. Niełatwo znaleźć na nią nabywcę. Hoffberg, człowiek z Hatton Garden, rozgląda się za potencjalnym klientem, ale będzie go musiał wkrótce znaleźć albo wszystko zakończy się kląpą.

- Jeszcze jedno pytanie, *permettez*. Który wariant popiera lady Yardly?

- Och, jest absolutnie przeciwna sprzedaży brylantu. Wie pan, jakie są kobiety. Całą duszą aprobuje ten filmowy wyczyn.

- Rozumiem - powiedział Poirot. Na chwilę zatopił się w myślach, po czym wstał. - Wraca pan od razu do Yardly Chase? *Bien!* Proszę nikomu nie mówić ani słowa - nikomu, to ważne, lecz oczekiwać nas wieczorem. Przybędziemy tuż po piątej.

- Dobrze, choć nie pojmuję...

- *Ca n'a pas d'importance* - powiedział uprzejmie Poirot. - Chce pan, abym zachował dla pana pański brylant, *n'est-ce pas?*

- Tak, ale...

- Więc proszę zrobić tak, jak mówię. Skonsternowany szlachcic opuścił pokój.

Było wpół do szóstej, gdy przyjechawszy do Yardly Chase, podążaliśmy za pełnym godności szefem domowej służby do starej, wykładanej boazerią sali, w której na kominku płonął ogień. Naszym oczom ukazał się piękny widok: lady Yardly z dwójką dzieci, ciemnowłosa, dumna głowa matki pochylona nad dwiema jasnowłosymi. Lord Yardly stał w pobliżu, uśmiechając się do nich.

- Monsieur Poirot i kapitan Hastings - oznajmił szef domowej służby.

Lady Yardly drgnęła i podniosła wzrok, jej mąż zrobił kilka niepewnych kroków, oczami szukając wskazówek u Poirota, a ten niewysoki mężczyzna stanął na wysokości

zadania.

- Proszę o wybaczenie! Jesteśmy tu dlatego, że wciąż jeszcze prowadzę dochodzenie w sprawie zleconej mi przez panią Marvell. Przyjeżdża do państwa w piątek, nieprawdaż? Wcześniej jednak chciałbym zrobić mały rekonesans, aby upewnić się, czy wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Chciałem również zapytać, czy lady Yardly przypomina sobie stemple pocztowe na listach, które otrzymała.

Lady Yardly, pełna skruchy, przecząco potrząsnęła głową.

- Niestety nie. To z mojej strony głupie, ale widzi pan, przez myśl mi nie przeszło, żeby potraktować je poważnie.

- Zostańcie panowie na noc! - zaproponował lord Yardly.

- Och, milordzie, lękam się, że sprawilibyśmy panu kłopot. Poza tym zostawiliśmy nasze bagaże w gospodzie.

- Nic nie szkodzi - odparł lord Yardly. - Poślemy po nie. Nie, nie, to żaden kłopot, zapewniam panów.

Poirot pozwolił wyperswadować sobie pomysł spędzenia nocy w gospodzie i usiadłszy obok lady Yardly, zaczął się zaprzyjaźniać z dziećmi. Wkrótce potem wszyscy razem baraszkowali, wciągawszy w to przedtem i mnie.

- *Vous etes bonne mere* - powiedział Poirot, wykonując lekki i elegancki ukłon w stronę dzieci, które zabierała surowa bona.

Lady Yardly ruchem ręki wygładziła zmierzwione włosy.

- Ubóstwiam je - powiedziała nieco zdyszana.

- A one panią, i nie bez powodu! - Poirot ukłonił się znowu.

Zadzwiećczał gong oznajmujący porę zmiany toalety przed obiadem, wstaliśmy więc, aby się udać do naszych pokoi. W tej samej chwili pojawił się szef domowej służby z telegramem na tacy i podszedł do lorda Yardly. Ten przeprosił nas krótko i otworzył telegram. Czytając go, wyraźnie zeszywniał.

Z okrzykiem podniecenia podał go żonie. Potem spojrzał na mego przyjaciela.

- Jedną chwilę, monsieur Poirot, sądzę, że powinien pan o tym wiedzieć. To od Hoffberga. Sądzi, że znalazł nabywcę na brylant, jakiegoś Amerykanina, który jutro odpływa do Stanów. Dziś wieczorem przysyłają tu kogoś, aby obejrzał kamień. Psiakość, gdyby transakcja doszła do skutku... - Słowa uwięzły mu w gardle.

Lady Yardly odwróciła się. Nadal trzymała w ręku telegram.

- Wolałabym, abyś go nie sprzedawał, George - powiedziała cicho. - Jest w tej rodzinie od tak dawna. - Urwała, jak gdyby czekając na odpowiedź, ale gdy nie uzyskała żadnej, jej

twarz nabrała twardości. Wzruszyła ramionami. - Muszę się przebrać. Sądzę, że powinnam chyba zaprezentować "towar". - Z lekkim grymasem na twarzy odwróciła się w stronę Poirota. - To jeden z najszykardniejszych naszyjników, jakie kiedykolwiek zaprojektowano! George ciągle mi obiecywał, że każe ten kamień oprawić inaczej, ale nigdy tego nie zrobił. - Wyszła z pokoju.

Pół godziny później we trzech czekaliśmy we wspaniałym salonie na żonę gospodarza. Było już kilka minut po godzinie, na którą wyznaczono obiad.

Wtem dał się słyszeć cichy szelest i lady Yardly ukazała się w drzwiach; promienna postać w długiej, błyszczącej białej sukni. Wokół szyi skrzył się strumyczek ognia. Stała tam, jedną ręką dotykając naszyjnika.

- Zobaczcie, czego się wyrzekam - powiedziała wesoło. Wyglądało na to, że jej zły humor znikł bez śladu. - Zaczekajcie panowie, aż włączę górne oświetlenie, a będziecie mogli napawać oczy widokiem najszykardniejszego naszyjnika w Anglii.

Kontakty znajdowały się tuż za drzwiami. Gdy wyciągnęła rękę w ich stronę, zdarzyła się rzecz niewiarygodna. Znienacka pogasty wszystkie światła, drzwi się zatrzasnęły, a zza nich dał się słyszeć długi przesywający kobiecy krzyk.

- Mój Boże! - zawołał lord Yardly. - To był głos Maude! Co się stało?

Na oślep rzuciliśmy się w stronę drzwi, w ciemności wpadając na siebie. Minęło kilka minut, zanim je znaleźliśmy. Jakież widok przedstawił się naszym oczom! Lady Yardly leżała nieprzytomna na marmurowej posadzce, z purpurowym znakiem na białej szyi w miejscu, gdzie zerwano naszyjnik.

Gdy nie mając pewności, czy jeszcze żyje, pochyliliśmy się nad nią, otworzyła oczy.

- Chińczyk - wyszeptła z trudem - Chińczyk... boczne wyjście.

Lord Yardly z przekleństwem na ustach skoczył w tym kierunku. A ja za nim. Serce waliło mi jak młotem. Znowu Chińczyk! Boczne wyjście, o którym mowa, to małe drzwi w kącie, oddalone od miejsca tragedii nie więcej niż dwanaście jardów. Gdy do nich dotarliśmy, krzyknąłem. Koło progu leżał naszyjnik, złodziej musiał go najwidoczniej zgubić podczas panicznej ucieczki. Uradowany rzuciłem się, aby go podnieść. Zaraz potem wydałem kolejny okrzyk, który lord Yardly powtórzył. W środku naszyjnika była olbrzymia dziura. Brakowało Gwiazdy Wschodu!

- Wszystko jasne - powiedziałem zdyszany. - To nie był zwykły złodziej. Zależało mu tylko na tym kamieniu.

- Ale jak się tu dostał?

- Tymi drzwiami.

- Zawsze są zamknięte.

Pokręciłem przecząco głową.

- Teraz nie są. Widzicie państwo - mówiąc to, otworzyłam je.

W tej samej chwili coś lekko opadło na ziemię. Podniosłem to. Był to kawałek jedwabiu, a jego wzór nie budził żadnych wątpliwości. Materiał został oderwany od szaty Chińczyka.

- W pośpiechu przytrzasnął go drzwiami - wyjaśniłem. - Za nim! Nie mógł uciec daleko.

Ale na próżno go szukaliśmy. W ciemności nocy z łatwością nam umknął. Wróciliśmy niechętnie, a lord Yardly wysłał lokaja, aby w największym pośpiechu sprowadził policję.

Lady Yardly, której stosownej pomocy udzielił Poirot, będący w takich sytuacjach równie troskliwy jak kobieta, na tyle doszła do siebie, że mogła opowiedzieć całą historię.

- Właśnie zamierzałam włączyć górne światło - powiedziała gdy od tyłu rzucił się na mnie jakiś mężczyzna. Z taką siłą zerwał mi z szyi naszyjnik, że bez tchu upadłam na podłogę. Leżąc, widziałam, jak uciekał bocznym wyjściem. Potem uświadomiłam sobie, że miał warkocz i jedwabną szatę - taką, jakie noszą Chińczycy - kończąc opowieść, wciąż jeszcze drżała.

Znowu pojawił się szef domowej służby. Powiedział cicho do lorda Yardly:

- Dżentelmen od pana Hoffberga, milordzie. Mówi, że go pan oczekuje.

- Na Boga! - zawołał strapiiony szlachcic. - Chyba muszę go przyjąć. Nie, nie tu, Mullings, w bibliotece.

Odciągnąłem Poirota na bok.

- Słuchaj no, drogi przyjacielu, nie lepiej wrócić do Londynu?

- Tak uważasz, Hastings? Dlaczego?

- No cóż - odchrząknąłem - sprawy nie potoczyły się najlepiej, prawda? Mam na myśli to, że mówisz lordowi Yardly, by zdał się na ciebie, a wszystko będzie dobrze - i sprzątają ci brylant sprzed nosa!

- To prawda - odparł Poirot bardzo zakłopotany. - Nie był to jeden z moich największych triumfów.

Ta ocena wydarzeń omal nie pobudziła mnie do śmiechu, ale nadal obstawałem przy swojej propozycji.

- Nie sądzisz, że - przepraszam za wyrażenie - zaprzepaściwszy sprawę, byłoby taktowniej natychmiast wyjechać?

- A obiad, bez wątpienia wyśmienity obiad, który przygotował szef kuchni lorda

Yardly?

- Och, jakie znaczenie ma obiad? - odparłem zniecierpliwiony.

Poirot wznosił ręce w geście przerażenia.

- *Mon Dieu!* W tym kraju traktujecie sprawy kulinarne z karygodną wręcz obojętnością.

- Jest i inny powód, dla którego powinniśmy jak najszybciej wrócić do Londynu - dodałem.

- Jaki, mój przyjacielu?

- Drugi brylant - powiedziałem, ścisząc głos. - Brylant pani Marvell.

- *Eh bien*, no i co z tego?

- Nie rozumiesz? - Ta nienaturalna u niego tępotą zirytowała mnie. Co się stało z jego zwykłą bystrością umysłu? - Mają jeden, teraz będą chcieli zdobyć drugi.

- *Tiens!* - zawołał Poirot, robiąc krok do tyłu i przypatrując mi się z zachwytem. - Za to twój mózg, przyjacielu, pracuje wspaniale! Wyobraź sobie, że nie pomyślałem teraz o tym! Ale mamy mnóstwo czasu. Pełnia księżycy jest dopiero w piątek.

Potrząsnąłem z powątpiewaniem głową. Teoria na temat pełni księżycy nie przekonywała mnie ani trochę. Wywarłem jednak wpływ na Poirota, gdyż natychmiast wyjechaliśmy, zostawiając lordowi Yardly pisemne wyjaśnienie i przeprosiny.

Chciałem od razu jechać do hotelu Magnificent i opowiedzieć pani Marvell, co się stało, ale Poirot sprzeciwił się temu, uparcie twierdząc, że rano będzie na to wystarczająco dużo czasu. Ustąpiłem raczej bez przekonania.

Rankiem Poirot okazał zadziwiająco wiele niechęci do wyjścia z domu. Zacząłem podejrzewać, że popełniwszy błąd na samym początku, wyjątkowo nie miał ochoty kontynuować tej sprawy. W odpowiedzi na moje zarzuty zauważył z godną podziwu bystrością umysłu, że szczegóły wczorajszego wydarzenia w Yardly Chase są już w porannych gazetach, z których Rolfowie dowiedzą się tyle samo, ile my moglibyśmy im powiedzieć. Ustąpiłem niechętnie.

Jak się później okazało, moje złe przeczucia nie były bezzasadne. Około drugiej zadzwonił telefon. Odebrał go Poirot. Słuchał przez kilka chwil, potem z krótkim "*Bien, j'y serai*" odłożył słuchawkę i obrócił się twarzą do mnie.

- I co powiesz, *mon ami*? - Wyglądał po części na zawstydzonego, po części na podekscytowanego. - Skradziono brylant pani Marvell.

- Co? - zawołałem, zrywając się na równe nogi. - I jak się ma do tego "teoria pełni księżycy"?

Poirot zwiesił głowę.

- Kiedy to się stało?

- O ile mi wiadomo, dziś rano.

Ze smutkiem pokręciłem głową.

- Gdybyś był mnie posłuchał. Widzisz, miałem rację.

- Na to wygląda, *mon ami* - powiedział roztropnie Poirot. Mówią, że pozory mylą, ale wygląda, że tym razem to prawda.

Gdy pędziliśmy taksówką do hotelu Magnificent, zastanawiaem się nad sensem całej intrygi.

- Ten pomysł z pełnią księżyca był całkiem zręczny. Zasugerowano nam, abyśmy skoncentrowali się na piątku, i tym samym zapewniono sobie swobodę działania. Szkoda, że nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

- *Ma foi!* - powiedział beztrąsko Poirot, po krótkim okresie zaćmienia wróciła mu dawna nonszalancja. - Nie można myśleć o wszystkim!

Zrobiło mi się go żal. Tak bardzo nienawidził wszelkich niepowodzeń.

- Nie trać ducha - powiedziałem, chcąc go pocieszyć. - Następnym razem będzie lepiej.

W hotelu Magnificent od razu zostaliśmy wprowadzeni do gabinetu dyrektora. Był tam Gregory Rolf z dwoma ludźmi ze Scotland Yardu. Naprzeciw nich siedział pobladły pracownik hotelu.

Gdy weszliśmy, Rolf skinął w naszym kierunku głową.

- Dochodzimy do sedna sprawy - powiedział. - To wręcz niewiarygodne. Nie mogę uwierzyć, że facet miał taki tupet.

Kilka minut wystarczyło, abyśmy zapoznali się z faktami. Pan Rolf wyszedł z hotelu kwadrans po jedenastej. O wpół do dwunastej jakiś dżentelmen, tak niebywale do niego podobny, że mógł bez przeszkód uchodzić za niego samego, wszedł do hotelu i zażądał zdeponowanej w sejfie kasetki z biżuterią. Pokwitował odbiór, zauważając przy tym niedbale: "Wygląda nieco inaczej niż mój zwykły podpis, ale skaleczyłem się w rękę, wysiadając z taksówki". Pracownik hotelu uśmiechnął się i zauważył, że prawie nie widzi różnicy. Tamten zaśmiał się wtedy i powiedział: "W każdym razie niech mnie pan za to nie wpakuje do pudła. I tak od pewnego czasu dostaję listy z pogrózkami od jakiegoś Chińczyka, ale najgorsze w tym jest to, że sam trochę wyglądam jak Chińczyk - to przez te oczy".

- Przyjrzałem mu się - powiedział pracownik, który nam to opowiadał - i od razu spostrzegłem, co ma na myśli. Kąciki oczu wyginały mu się ku górze, jak u Azjaty. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

- A niech to diabli... - ryknął Gregory Rolf, pochylając się do przodu. - Czy i teraz pan to



dostrzega?

Mężczyzna popatrzył na niego i odparł:

- Nie, proszę pana. Nie dostrzegam tego.

I rzeczywiście, w szczyrych brązowych oczach, które na nas patrzyły, nie było nic orientalnego. Człowiek ze Scotland Yardu mruknął:

- Zuchwały gość. Spodziewał się, że jego oczy mogą zwrócić uwagę, więc zdecydował się zagrać *va banque*, żeby odwrócić od siebie podejrzenie. Musiał widzieć, jak pan wychodzi z hotelu, i wślizgnął się do środka, jak tylko się pan oddalił.

- A co z kasetką na biżuterię? - spytałem.

- Znalaziono ją w hotelu, na korytarzu. Zabrano tylko jeden klejnot - Gwiazdę Zachodu.

Zaskoczeni popatrzyliśmy na siebie, cała sprawa była tak dziwaczna, tak nierzeczywista.

Ptlirot żwawo skoczył na równe nogi.

- Obawiam się, że nie na wiele się przydałem - powielili z żalem. - Czy mogę zobaczyć madame?

- Jest w szoku - zawołał Rolf.

- Zatem może mógłbym zamienić kilka słów z panem, mousier?

- Naturalnie.

Po mniej więcej pięciu minutach Poirot pojawił się znowu.

- A teraz, mój przyjacielu - powiedział wesoło - na pocztę! Muszę wysłać telegram.

- Do kogo?

- Do lorda Yardly.

Wziął mnie pod ramię, przerywając mi dalsze dociekania.

- Chodź, chodź, *mon ami*. Wiem, co sądzisz o tej okropni sprawie. Nie wypadłem dobrze. Ty na moim miejscu może byś się wykazał. *Bien!* Przyznaję. Zapomnijmy o tym i chodźmy na lunch.

Dochodziła czwarta, gdy weszliśmy do mieszkania Poirota. Ktoś podniósł się z krzesła stojącego przy oknie. Był to lord Yardly. Sprawiał wrażenie roztargnionego i był wymizerowany.

- Dostałem pańską depezę i natychmiast przyjechałem. Wie pan, że byłem u Hoffberga, oni tam nic nie wiedzą ani o tym, aby ich człowiek miał mnie odwiedzić wczoraj wieczorem, ani o telegramie. Czy sądzi pan, że...

Poirot wznosił do góry ręce.

- Proszę o wybaczenie! To ja wysłałem telegram i wynająłem dżentelmena, o którym

mowa.

Pan? Ale dlaczego? Po co? - wybełkotał bezradnie szlachcic.

- Chciałem doprowadzić sprawę do punktu kulminacyjnego - wyjaśnił spokojnie Poirot.

- Doprowadzić sprawę do punktu kulminacyjnego! Boże mój - zawołał lord Yardly.

- I podstęp się udał - powiedział wesoło Poirot. - Dlatego, milordzie, z wielką przyjemnością zwracam panu to!

Dramatycznym ruchem wyjął skrzący się przedmiot. Był to wielki brylant.

- Gwiazda Wschodu - wykrztusił lord Yardly. - Nie pojmuję jednak...

- Nie? - powiedział Poirot. - To nie ma znaczenia. Proszę mi wierzyć, kradzież brylantu była nieunikniona. Obiecałem panu, że go zwrócę, i dotrzymałem słowa. Musi mi pan pozwolić na zachowanie mojej małej tajemnicy. Bardzo proszę przekazać lady Yardly wyrazy mego najgłębszego szacunku i powiedzieć jej, jak bardzo się cieszę, że mogę zwrócić klejnot. Co za *beau temps*, prawda? Miłego dnia, milordzie.

I tak śmiejąc się i rozmawiając, ten zdumiewający mały człowiek odprowadził skonsternowanego szlachcica do drzwi. Wrócił, delikatnie zacierając dłonie.

- Poirot - powiedziałem. - Czyżbym całkowicie postradał zmysły?

- Nie, *mon ami*, ale jesteś, jak zwykle w takich sytuacjach, w stanie umysłowego zaćmienia.

- Jak zdobyłeś brylant?

- Od pana Rolfa.

- Od Rolfa?

- *Mais oui!* Listy z pogroźkami. Chińczyk, artykuł w "Kronice Towarzyskiej", wszystko to zrodziło się w sprytnym umyśle pana Rolfa! Te dwa brylanty, które miały być tak niewiarygodnie podobne, no cóż! Nie istnieją! Naprawdę był tylko jeden brylant, mój przyjacielu! Początkowo w kolekcji rodu Yardly, potem przez trzy lata znajdował się w posiadaniu pana Rolfa. Ten ukradł go dziś rano, w czym pomogła mu odrobina szminki w kącikach oczu. Och, muszę go zobaczyć, jak gra w filmie, jest prawdziwym artystą, *ce-lui-la!*

- Ale dlaczego miałby kraść swój brylant? - spytałem zaintrygowany.

- Z kilku powodów. Po pierwsze, lady Yardly zaczynała się niepokoić.

- Lady Yardly?

- Pojmujesz, że będąc w Kalifornii, często zostawała sama. Jej mąż bawił gdzie indziej. A pan Rolf był przystojny i było w nim coś romantycznego. Ale *au fond* jest bardzo przedsiębiorczy, *ce monsieur!* Umizgał się do lady Yardly, a potem ją szantażował. Tamtego wieczoru zobligowałem ją do powiedzenia prawdy i przyznała się. Przysięgała, że była jedynie

niedyskretna, i ja jej wierzę. Ale bez wątpienia Rolf miał jej listy, a te można różnie interpretować. Przerażona groźbą rozvodu i perspektywą rozstania z dziećmi, zgodziła się na wszystko. Nie miała własnych pieniędzy, pozwoliła więc na zastąpienie prawdziwego kamienia sztucznym. Od razu uderzyła mnie zbieżność w czasie pomiędzy jej pobylem w Kalifornii a pojawieniem się Gwiazdy Zachodu. I oto wszystko przebiega pomyślnie. Lord Yardly zamierza się usatkwować, osiąść w rodowej siedzibie. I wtedy pojawia się groźba sprzedaży brylantu. Falsyfikat zostanie odkryty. Bez wątpienia lady Yardly w pośpiechu pisze do Gregory'ego Kolta, który akurat przyjechał do Anglii. Ten rozwiewa jej obawy, obiecując, że wszystko załatwi... i przygotowuje się do podwójnego rabunku. W ten sposób uspokaja lady Yardly, która mogłaby opowiedzieć o wszystkim mężowi, a to naszemu szantażyście zupełnie nie byłoby na rękę, otrzymałby bowiem pięćdziesiąt tysięcy funtów odszkodowania z ubezpieczenia (aha, zapomniałeś o tym) i nadal miałby brylant! W tym momencie wkraczam do akcji ja. Zostaje zapowiedziany przyjazd eksperta w dziedzinie brylantów. Lady Yardly, czego byłem pewien, natychmiast aranżuje napad... i robi to bardzo dobrze! Ale Herkules Poirot dostrzega jedynie fakty. Co się naprawdę dzieje? Kobieta gasi światło, zatrzaskuje drzwi, rzuca naszyjnik na podłogę i krzyczy. Wcześniej, jeszcze na piętrze, szczypcami wyrwała brylant...

- Ależ widzieliśmy ją w naszyjniku! - zaoponowałem.

- Z całym szacunkiem, przyjacielu. Ręką zasłoniła tę jego część, gdzie było puste miejsce. Wcześniejsze umieszczenie w drzwiach skrawka jedwabiu było dziecinnie proste. naturalnie, gdy tylko Rolf dowiedział się z gazet o napadzie, sam zaaranżował małą komedię. A zagrał ją wyśmienicie!

- Co mu powiedziałaś? - zapytałem żywo zaciekawiony.

Powiedziałem mu, że lady Yardly o wszystkim opowiedziała mężowi, że zostałem upoważniony do odebrania klejnotu i że gdybym go nie otrzymał, zostałyby podjęte w tej sprawie kroki prawne. I jeszcze kilka innych kłamstewek, które przysły mi do głowy. Zmięknął od razu!

Zastanowiełem się nad całą sprawą.

- Wydaje się to nieco niesprawiedliwe wobec Mary Marvell. Straciła brylant nie z własnej winy.

- Też coś! - brutalnie skomentował Poirot. - Dzięki temu ma wspaniałą reklamę. A to wszystko, na czym jej zależy, jeżeli o nią chodzi. Co innego ta druga kobieta, ta jest inna. *Bonne mere, tres femme!*

- Tak - powiedziałem pełen wątpiwości, z trudem bowiem przychodziło mi podzielać

punkt widzenia Poirota na temat kobiecości. - Przypuszczam, że to Rolf wysłał do lady Yardly te listy.

- *Pas du tout* - powiedział żywo Poirot. - Za poradą Mary Cavendish przyszła do mnie w nadziei, że pomogę rozwiązać jej dylemat. Wtedy dowiedziała się, że Mary Marvell, którą uważa za swego wroga, też tu była, i wówczas zmieniła zdanie, skwapliwie korzystając z pretekstu, który sam, mój przyjacielu, jej podsunąłeś. Zaledwie kilka pytań wystarczyło, abym się zorientował, że to ty powiedziałeś jej o listach, a nie ona tobie! Ona jedynie skorzystała z nadarzającej się sposobności, jaką jej stworzyłeś.

- Nie mogę uwierzyć! - zawołałem urażony.

- *Si, si, mon ami*, jaka szkoda, że nie doceniasz psychologii. Powiedziała ci, że zniszczyła listy? Och, *la, la*, żadna kobieta nie zniszczy listu, jeżeli nie jest to bezwzględnie konieczne. Nawet wtedy, gdy rozsądniej byłoby to uczynić.

- Świetnie - powiedziałem, czując, jak rośnie we mnie gniew. - Zrobiłeś ze mnie skończonego głupca! Od samego początku! Świetnie, że próbujesz to teraz wyjaśniać. Ale wszystko ma swoje granice!

- Sprawiało ci to taką przyjemność, że nie miałem serca pozbawiać cię złudzeń.

- To nie w porządku. Tym razem posunąłeś się trochę za daleko.

- *Mon Dieu!* Ależ złościsz się bez powodu, *mon ami!*

- Mam tego dość!

Wyszedłem, trzaskając drzwiami. Poirot wystawił mnie na takie pośmiewisko. Przyda mu się nauczka. Nieprędko mu wybaczę. Zachęcał mnie, abym zrobił z siebie skończonego głupca.

## Tragedia w Marsdon Manor

Na kilku dni wyjechałem z miasta, a po powrocie zastałem Poirota w trakcie zamykania spakowanej już walizeczki.

- *A tu bonne heure*, Hastings, obawiałem się, że nie wrócisz na tyle szybko, aby mi towarzyszyć.

- Zatem wyjeżdżasz w związku z jakimś śledztwem?

Tak, muszę jednak przyznać, że na pierwszy rzut oka sprawa nie wygląda obiecująco. The Northern Union Insurance Company poprosiło mnie, abym zbadał przyczynę zgonu niejakiego pana Maltraversa, który kilka tygodni wcześniej ubezpieczył się u nich na wypadek śmierci na niebagatelną sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów.

- I? - ponagliłem niezmiernie zainteresowany.

- Oczywiście, w polisie zawarta była stosowna klauzula odnośnie samobójstwa. W przypadku gdyby je popełnił w trakcie trwania ubezpieczenia, pieniądze nie zostałyby wypłacone. Pan Maltravers został należycie przebadany przez lekarza wspomnianego towarzystwa ubezpieczeniowego i chociaż nie był już mężczyzną w kwiecie wieku, ten uznał go za całkowicie zdrowego. W ubiegłą środę jednak, przedwczoraj, ciało pana Maltraversa znaleziono na terenie posiadłości Marsdon Manor w Essex, a jako przyczynę i ci podano wylew wewnętrzny. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie pojawiły się ostatnio złowrogie pogłoski na temat sytuacji finansowej pana Maltraversa i gdyby The Northern Union nie ustalił ponad wszelką wątpliwość, iż zmarły stał na skraju bankructwa. Co więcej, Maltravers miał piękną, młodą żonę, zaczęto więc sugerować, że zebrał całą gotówkę, jaką posiadał, aby opłacić polisę na życie, spadkobierczynią tych pieniędzy uczynił żonę, po czym popełnił samobójstwo. Tego typu działania nie są niczym nadzwyczajnym. W każdym razie mój przyjaciel Alfred Wright, który jest dyrektorem The Northern Union, poprosił mnie o zbadanie szczegółów całej sprawy, ale, jak mu już mówiłem, nie bardzo wierzę w odniesienie sukcesu. Gdyby powodem śmierci był atak serca, byłbym nastawiony bardziej optymistycznie. Przy ataku serca zawsze można założyć, że miejscowy lekarz miał trudności z ustaleniem, na co tak naprawdę umarł pacjent, ale przy wylewie objawy są dosyć wyraźne. Masz pięć minut na spakowanie swoich rzeczy, Hastings, i jedziemy na Liverpool Street.

Niecałą godzinę później wysiedliśmy z pociągu Great Eastern na stacyjce w Marsdon Leigh. Na dworcu dowiedzieliśmy się, że Marsdon Manor jest oddalony prawie o milę. Poirot postanowił iść pieszo, kroczyliśmy więc główną ulicą.

- Jaki jest plan naszej wyprawy? - zapytałem.

- Najpierw złożymy krótką wizytę lekarzowi. Ustaliłem, że w Marsdon Leigh jest tylko jeden lekarz, doktor Ralph Bernard. Ach, oto i jego dom.

Wspomniany dom był małą willą stojącą w głębi ogrodu. Na mosiężnej tabliczce przymocowanej do furtki widniało nazwisko doktora. Ścieżką dotarliśmy do budynku i zadzwoniliśmy do drzwi.

Okazało się, że szczęście nam sprzyja. Była to pora przyjąć doktora i akurat nie miał pacjentów. Doktor Bernard był człowiekiem w podeszłym wieku, przygarbionym, o mile nieokreślonym sposobie bycia.

Poirot przedstawił się i wyjaśnił, jaki jest cel naszej wizyty, dodając przy tym, iż w tego rodzaju przypadkach towarzystwa ubezpieczeniowe czują się zobowiązane do przeprowadzenia szczegółowego dochodzenia.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział wymijająco doktor Bernard - przypuszczam, że tak bogaty człowiek ubezpieczył swe życie na pokaźną sumę.

- Sądzi pan, doktorze, że był bogaty?

Lekarz sprawiał wrażenie dosyć zaskoczonego.

- A nie był? Miał dwa samochody, a Marsdon Manor to całkiem pokaźna posiadłość, której utrzymanie wymaga znacznych funduszy, choć przypuszczam, że kupił ją za bezcen.

- Jeśli się nie mylę, miał ostatnio spore straty - powiedział Poirot, uważnie przypatrując się drzwiom.

Doktor jednak tylko potrząsnął ze smutkiem głową.

- Doprawdy? No cóż! W takim razie jego żona ma szczęście, że istnieje ta polisa na życie. To piękna i czarująca młoda istota, choć okropnie rozstrojona po śmierci męża. Jeden kłębek nerwów, biedactwo. Próbowałem jej tego oszczędzić, na ile to było możliwe, ale oczywiście szok musiał być znaczny.

- Czy ostatnio leczył pan Maltraversa?

- Szanowny panie, nigdy go nie leczyłem.

- Co takiego?

- O ile mi wiadomo, pan Maltravers był wyznawcą Christian Science<sup>1</sup> czy czegoś w tym rodzaju.

- Ale oglądał pan zwłoki?

- Naturalnie. Przesłano po mnie jednego z pomocników ogrodnika.

---

<sup>1</sup> Christian Science - organizacja religijna zwalczająca m.in. choroby jedynie wiarą (przyp. tłum.).

- I przyczyna śmierci nie wzbudzała żadnych wątpliwości?

- Najmniejszych. Na wargach było trochę krwi, ale krwawienie musiało mieć charakter wewnętrzny.

- Czy gdy pan przyszedł, nadal leżał tam, gdzie go znaleziono?

- Tak, nie ruszono ciała. Leżał na skraju małej plantacji. Najwyraźniej strzelał do gawronów, mała strzelba na gawrony leżała przy nim. Krwotok musiał wystąpić nagle. Bez wątplenia wrzód żołądka.

- Na pewno nie został zastrzelony, he?

- Szanowny panie!

- Proszę mi wybaczyć - pokornie powiedział Poirot. - Ale jeśli się nie mylę, w pewnej sprawie o morderstwo, które miało miejsce niedawno, doktor początkowo stwierdził niewydolność serca, po czym zmienił orzeczenie, gdy posterunkowy zauważył, że przez głowę denata przeszła kula.

- Na ciele pana Maltraversa nie znajdziecie panowie żadnej rany postrzałowej - powiedział oschle doktor Bernard. - A zatem, panowie, jeżeli to wszystko...

Zrozumieliśmy aluzję.

- Do widzenia, doktorze, i dziękujemy, że zechciał pan i poświęcić nam swój czas. *A propos*, nie uznał pan za stosowne wykonania autopsji?

- Naturalnie, że nie. - Doktor zaczął wykazywać pierwsze oznaki apopleksji. - Przyczyna śmierci jest bezsporna, a w moim zawodzie unika się niepotrzebnego zadawania cierpień rodzinie zmarłego. - I odwracając się, zatrzasnął przed nami drzwi.

- I co sądzisz o doktorze Bernardzie, Hastings? - dopytywał Poirot, gdy kontynuowaliśmy wędrowkę do Manor.

- Stary osioł.

- To prawda. Twoje opinie, przyjacielu, na temat ludzkich charakterów zawsze są przenikliwe.

Spojrzałem na niego zakłopotany, ale odniosłem wrażenie, że mówi to zupełnie poważnie. Niemniej nagły błysk pojawił mu się w oku, po czym dodał przebiegle:

- To znaczy, gdy nie chodzi o piękną kobietę!

Popatrzyłem na niego chłodno.

Gdy dotarliśmy do rezydencji, drzwi otworzyła nam pokojówka w średnim wieku. Poirot wręczył jej swoją wizytówkę i list do pani Maltravers od towarzystwa ubezpieczeniowego. Służąca wprowadziła nas do małego saloniku i oddaliła się, aby powiadomić panią domu. Mniej więcej po dziesięciu minutach drzwi się otworzyły i na progu

stanęła smukła postać w żałobie.

- Pan Poirot? - zapytała drżącym głosem kobieta.

- Madame! - Poirot, pełen elegancji, zerwał się na równe nogi i pośpieszył w jej kierunku. - Jakże mi przykro, że niepokoję panią w takiej chwili. Ale sama pani rozumie! *Les affaires*, one nie wiedzą, co to litość.

Pani Maltravers pozwoliła, aby ją odprowadził do krzesła. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, lecz ta tymczasowa skaza w wyglądzie nie była w stanie ukryć jej niezwyklej urody. Miała dwadzieścia siedem albo dwadzieścia osiem lat, bardzo jasną cerę i włosy, duże niebieskie oczy i piękne, pełne wargi.

- Ma to związek z polisą mego męża, prawda? Ale czy muszę być niepokojona już teraz, tak szybko?

- Odwagi, madame. Odwagi! Sama pani rozumie, świętej pamięci mąż pani ubezpieczył się na życie na niebagatelną sumę, a w takim wypadku towarzystwo ubezpieczeniowe zawsze musi się upewnić co do kilku szczegółów. Upoważniło mnie, abym występował w jego imieniu. Może być pani pewna, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby sprawa ta przysporzyła pani jak najmniej przykrości. Czy zechce pani pokrótce opowiedzieć, co wydarzyło się w ubiegłą środę?

- Przebierałam się akurat do podwieczorku, gdy weszła pokojówka, jeden z ogrodników właśnie przybiegł do domu. Znalazł...

Głos jej zamarł. Poirot w geście współczucia wziął ją za rękę.

- Rozumiem. Wystarczy. Czy wcześniej tamtego popołudnia widziała pani męża?

- Nie, nie widziałam go od lunchu. Poszłam do wsi po znaczki, przypuszczam, że chodził po okolicy.

- Strzelając do gawronów, hę?

- Tak, zwykle zabierał ze sobą małą strzelbę na gawrony, słyszałam nawet w oddali jeden czy dwa strzały.

- Gdzie jest teraz ta strzelba?

- W holu, tak mi się przynajmniej wydaje.

Wyprowadziła Poirota z pokoju, znalazła i podała mu broń, którą ten pobieżnie obejrzał.

- Wystrzelono dwa naboje - zauważył, oddając strzelbę. - A teraz, madame, gdybym mógł zobaczyć... - Nie chcąc być niedelikatny, urwał.

- Służąca wskaże panu drogę - wymamrotała, odwracając głowę.

Pokojówka, gdy ją wezwano, zaprowadziła Poirota na górę. Ja zostałem z tą śliczną i



nieszczęśliwą kobietą. Trudno się było zorientować, czy należało z nią mówić, czy raczej zachować milczenie. Odważyłem się wypowiedzieć jedną czy dwie ogólne refleksje, na które odpowiedziała z roztargnieniem, a po kilku minutach wrócił Poirot.

- Dziękuję za okazaną nam uprzejmość, madame. Nie sądzę, aby dodatkowo niepokojono panią w tej sprawie. Nawiasem mówiąc, czy wie pani cokolwiek o sytuacji finansowej męża?

Pokręciła przecząco głową.

- Absolutnie nic. Zupełnie nie znam się na interesach.

- Rozumiem. A zatem nie może nam pani udzielić żadnej wskazówki, dlaczego tak nagle ubezpieczył się na życie? O ile mi wiadomo, wcześniej tego nie robił.

- No cóż, małżeństwem byliśmy zaledwie nieco ponad rok. Ale wiem, że ubezpieczył się na życie, ponieważ był pewien, że wkrótce umrze. Trapiło go przecucie zbliżającej się śmierci. Sądzę, że miał już jeden wylew i wiedział, że następny będzie śmiertelny. Próbowałam rozproszyć jego ponure obawy, ale na próżno. Niestety, miał całkowitą rację!

W jej oczach pojawiły się łzy; pożegnała nas pełna godności.

Gdy opuściwszy rezydencję szliśmy ku bramie, Poirot uczynił charakterystyczny dla siebie gest.

- *Eh bien*, więc to tak! Przyjacielu, wracamy do Londynu, wygląda na to, że ta mysia dziura jest pusta. Ale...

- Ale co?

- Istnieje pewna rozbieżność, to wszystko! Zauważyłeś? Nie? Życie jednak pełne jest rozbieżności, a ten człowiek z pewnością nie mógł odebrać sobie życia, nie ma takiej trucizny, która wypełniłaby mu usta krwią. Nie, nie, muszę pogodzić się z faktem, że wszystko tu jest jasne i zgodne z prawem. A to kto?

Wysoki młody człowiek szedł wolno podjazdem w naszym kierunku. Minął nas, nie skinąwszy nawet głową, ale zauważyłem, że nie wyglądał na chorego, twarz miał szczupłą, bardzo opaloną, co wskazywało na życie w tropikach. Ogrodnik, który zamiatał liście, przerwał na chwilę swoje zajęcie, a Poirot szybko podbiegł do niego.

- Proszę mi powiedzieć, kim jest ten dżentelmen. Zna go pan?

- Nie pamiętam jego nazwiska, chociaż je słyszałem. W zeszłym tygodniu został tu na noc. To było we wtorek.

- Szybko, *mon ami*, chodźmy za nim.

Ruszyliśmy pośpiesznie wzdłuż podjazdu za oddalającą się postacią. Przez chwilę postać w czerni mignęła na tarasie obok domu i nasza zwierzyna gwałtownie skręciła, a my za

nią, żeby być świadkami spotkania.

Pani Maltravers zachwiała się, a jej twarz wyraźnie pobladła.

- Pan - wykrztusiła. - Sądziłam, że jest pan teraz na statku, w drodze do wschodniej Afryki?

- Dostałem od swoich prawników wiadomości, które mnie zatrzymały - wyjaśnił młody człowiek. - Mój stary wuj ze Szkocji niespodziewanie zmarł, zostawiając mi w spadku trochę pieniędzy. Stwierdziłem, że w tych okolicznościach lepiej będzie odwołać podróż. Wtedy zobaczyłem w gazecie tę smutną wiadomość i przyjechałem, żeby się przekonać, czy mogę w czymś pomóc. Być może będzie pani potrzebowała kogoś, kto w tym najtrudniejszym okresie zatroszczyłby się o pani sprawy.

W tej chwili uświadomili sobie naszą obecność. Poirot wystąpił do przodu i wielokrotnie przepraszając, wyjaśnił, że zostawił laskę w holu. Raczej niechętnie, tak mi się przynajmniej wydawało, pani Maltravers przedstawiła ich sobie.

- Pan Poirot, kapitan Black.

Wywiązała się kilkuminutowa rozmowa, z której Poirot dowiedział się, że kapitan Black zatrzymał się w gospodzie Pod Kotwicą. Laska się nie odnalazła (co było do przewidzenia), Poirot przeprosił ich jeszcze kilkakrotnie, po czym odeszliśmy.

Do wsi wróciliśmy w wielkim pośpiechu i Poirot ruszył prosto do gospody Pod Kotwicą.

- Zostaniemy tu, dopóki nie wróci nasz przyjaciel kapitan - wyjaśnił. - Zauważyłeś, jak podkreślałem, że wracamy do Londynu następnym pociągiem? Możliwe, iż myślałeś, że zamierzam to zrobić. Ale nie, widziałeś twarz pani Maltravers, gdy popatrzyła w oczy temu młodemu Blackowi? Była wyraźnie zaskoczona, a on bardzo oddany, nie uważasz? I był tu we wtorek wieczorem, na dzień przed śmiercią pana Maltraversa. Musimy prześledzić poczynania kapitana Blacka, Hastings.

Jakieś pół godziny później wypatrzyliśmy naszą zwierzynę, zbliżającą się do gospody. Poirot wyszedł, zagadnął go i wkrótce przyprowadził do pokoju, który zajmowaliśmy.

- Akurat opowiadałem kapitanowi Blackowi o misji, która nas tu przywiodła - wyjaśnił. - Pojmuje pan, *monsieur le capitaine*, że zależy mi na tym, by się dowiedzieć, w jakim nastroju był pan Maltravers tuż przed śmiercią, a jednocześnie nie chciałbym sprawiać nadmiernej przykrości pani Maltravers, zadając jej tak bolesne pytania. Skoro był pan tu na krótko przed tym wydarzeniem, może nam pan udzielić równie cennych informacji.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby panu pomóc - odparł młody oficer - ale obawiam się, że nie zauważyłem niczego niezwykłego. Widzi pan, chociaż Maltravers był

starym przyjacielem mojej rodziny, ja sam nie znałem go zbyt dobrze.

- Przyjechał pan... kiedy?

- We wtorek po południu. Do miasta wyjechałem w środę wczesnym rankiem, ponieważ mój statek wypływał z Tilbury o dwunastej. Ale dostałem wiadomości, które zmieniły moje plany, o czym, jak przypuszczam, słyszał pan, gdy rozmawiałem z panią Maltravers.

- Jak rozumiem, wracał pan do wschodniej Afryki?

- Tak. Mieszkam tam od wojny światowej, wspaniały kraj.

- Niewątpliwie. O czym właściwie rozmawialiście państwo we wtorek przy obiedzie?

- Och, nie pamiętam. Na różne tematy, jak zwykle. Maltravers zapytał o moją rodzinę, potem omawialiśmy kwestię niemieckich odszkodowań, a potem pan Maltravers wypytywał mnie o wschodnią Afrykę, a ja im opowiedziałem jedną czy dwie historyjki. Myślę, że to wszystko.

- Dziękuję.

Poirot nie odzywał się przez chwilę, potem powiedział łagodnie:

- Za pozwoleniem, chciałbym przeprowadzić mały eksperyment. Powiedział nam pan wszystko, o czym wie pańska świadomość. Teraz chciałbym zapytać pańską podświadomość.

- Co, psychoanaliza? - odezwał się Black, wyraźnie zaniepokojony.

- Ależ nie - uspokoił go Poirot. - Widzi pan, wygląda to tak: podam panu jakieś słowo, a pan odpowie mi innym, i tak dalej. Jakimkolwiek słowem, pierwszym, które przyjdzie panu na myśl. Możemy zacząć?

- W porządku - powiedział wolno Black, ale wyglądał na zaniepokojonego.

- Proszę, zanotuj słowa, Hastings - powiedział Poirot. Następnie wyjął z kieszeni swój wielki zegarek i położył na stole obok.

- Zaczynamy. Dzień.

Nastąpiła chwila przerwy, zanim Black odpowiedział:

-Noc.

Potem odpowiedzi następowały już szybciej.

- Nazwisko.

- Imię.

- Bernard.

- Show.

- Wtorek.

- Obiad.

- Podróż.
- Statek.
- Kraj.
- Uganda.
- Opowieść.
- Lwy.
- Strzelba na gawrony.
- Farma.
- Strzał.
- Samobójstwo.
- Słoń.
- Kły.
- Pieniądze.
- Prawnicy.
- Dziękuję, kapitanie Black. Czy mógłby mi pan poświęcić jeszcze kilka minut w ciągu

najbliższej pół godziny?

- Naturalnie. - Młody żołnierz popatrzył na niego z zaciekawieniem i wstając, otarł czoło.

- A zatem, Hastings - powiedział Poirot, uśmiechając się do mnie, gdy tylko drzwi się zamknęły. - Widzisz to, prawda?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Nic ci nie mówi ta lista słów?

Przyjrzałem się jej uważnie, ale byłem zmuszony przecząco pokręcić głową.

- Pomogę ci. Po pierwsze, Black mieścił się w normalnych przedziałach czasowych, nie było przerw, więc możemy przyjąć, że sam nie ma niczego do ukrycia. "Dzień" i "noc" oraz "nazwisko" i "imię" są typowymi skojarzeniami. Zacznę od "Bernarda", który mógł sugerować miejscowego lekarza, jeżeli Black w ogóle się z nim zetknął. Najwyraźniej nie. Po wcześniej odbytej ze mną rozmowie, "obiad" skojarzył z "wtorkiem", ale "podróż" i "kraj" ze "statkiem" i "Ugandą", co jasno pokazuje, że ważna dla niego była podróż za granicę, a nie ta, którą odbył ostatnio. "Opowieść" przypomniła mu jedną z tych historyjek o "lwach", którą opowiedział podczas obiadu. Przeszedłem do "strzelby na gawrony", a on odpowiedział zupełnie nieoczekiwanym słowem "farma". Gdy powiedziałem "strzał", natychmiast odparł "samobójstwo". Skojarzenie wydaje się tu oczywiste. Pewien mężczyzna, którego znał, popełnił samobójstwo na jakiejś farmie. Nie zapominaj również, że jego myśli nadal krąży

wokół historii, które opowiadał podczas obiadu, i sędzę, iż zgodzisz się ze mną, że nie popełnię błędu, jeżeli wezwę kapitana Blacka i poproszę go, aby powtórzył historię o samobójstwie opowiedzianą przy stole we wtorek wieczorem.

Black był wystarczająco szczery w tej sprawie.

- Tak, rzeczywiście opowiedziałem im tamtą historię, teraz to sobie przypominam. Chap zastrzelił się na farmie w Afryce. Użył strzelby na gawrony, którą przyłożył sobie do podniebienia, kula utkwiała w mózgu. Lekarze głowili się nad tym bez końca, nic nie było widać, z wyjątkiem odrobiny krwi na wargach. Ale co...

- Co to ma wspólnego z panem Maltraversem? Widzę, iż nie wie pan, że obok ciała znaleziono strzelbę na gawrony.

- Chce pan powiedzieć, że moja opowieść zasugerowała mu... och, to straszne!

- Niech pan z tego powodu nie rozpacza, doszłoby do tego tak czy inaczej. No cóż, muszę zadzwonić do Londynu.

Poirot odbył długą rozmowę telefoniczną i wrócił zamyślony. Po południu wyszedł sam, ale dopiero o siódmej oświadczył, że nie może tego dłużej odkładać, musi przekazać nowiny młodej wdowie. Współczułem jej bardzo. Zostać bez grosza, wiedząc, że mąż się zabił, aby zapewnić jej przyszłość, to brzemię trudne do udźwignięcia dla każdej kobiety. Żywiłem jednak cichą nadzieję, że może Black będzie mógł ją pocieszyć, gdy minie już jej pierwszy smutek. Najwyraźniej był nią zachwycony.

Nasza rozmowa z panią Maltravers była bolesna. Nie chciała wierzyć faktom, które przedstawił Poirot, a kiedy w końcu przyjęła je do wiadomości, wybuchnęła gorzkim płaczem. Oględziny zwłok potwierdziły nasze podejrzenia. Poirot bardzo współczuł biednej kobiecie, ale przecież został zatrudniony przez towarzystwo ubezpieczeniowe, więc cóż mógł zrobić? Przed odejściem powiedział łagodnie do pani Maltravers:

- Madame, pani najlepiej powinna wiedzieć, że nikt tak naprawdę nie umiera!

- Co pan ma na myśli? - zapytała drżącym głosem, szeroko otwierając oczy.

- Nigdy nie brała pani udziału w żadnym seansie spirytystycznym? Ma pani zdolności mediumiczne.

- Mówiono mi o tym. Ale pan chyba nie wierzy w spirytyzm?

- Madame, widziałem dziwne rzeczy. Czy pani wie, iż ludzie we wsi mówią, że w tym domu straszy?

Skinęła głową, w tej samej chwili pokojówka oznajmiła, że podano do stołu.

- Może zostaniecie panowie na obiedzie?

Przyjęliśmy zaproszenie z wdzięcznością. Czułem, że nasza obecność może nieco

rozproszyc jej smutek. Akurat skończyliśmy zupełnie, gdy zza drzwi dobiegł nas krzyk i dźwięk tłuczonych talerzy. Zerwaliśmy się na równe nogi. Pojawiła się pokojówka, przyciskając rękę do serca.

- Jakiś mężczyzna stoi w korytarzu.

Poirot wypadł z pokoju, ale wkrótce wrócił.

- Nikogo tam nie ma.

- Naprawdę, proszę pana? - nieśmiało powiedziała pokojówka. - Och, tak się przestraszyłam!

- Ale czego?

Zniżyła głos do szeptu;

- Myślałam... myślałam, że to nasz pan, wyglądał zupełnie jak on.

Zobaczyłem, jak pani Maltravers drży z przerażenia, i przyszedł mi na myśl stary przesąd, że samobójcy nie zaznają po śmierci spokoju. Jestem pewien, że też o tym pomyślała, gdyż chwilę później, krzyżąc, schwyciła Poirota za rękę.

- Słyszał pan? Te trzy uderzenia w okno? Zawsze tak stukał gdy był blisko domu.

- To bluszcz! - zawołałem. - Bluszcz uderza o szybę.

Ale przerażenie udzieliło się nam wszystkim. Pokojówka najwyraźniej była wytrącona z równowagi i gdy posiłek dobiegł końca, pani Maltravers zaczęła błagać Poirota, aby jeszcze nie odchodził. Widać było, że boi się zostać sama. Usiedliśmy w małym saloniku. Wiatr się wzmacniał, a wraz z nim niesamowite zawrodozenie wokół domu. Dwukrotnie klamka od drzwi w saloniku odskoczyła i drzwi otworzyły się, i za każdym razem przerażona kobieta przysuwała się bliżej mnie.

- Och, te drzwi są chyba zaczarowane! - zawołał w końcu rozgniewany Poirot. - Zamknę je! - Wstał i zamknął je jeszcze raz, a potem przekręcił w zamku klucz.

- Niech pan tego nie robi - wyszeptała. - Gdyby i teraz się otworzyły...

Nim skończyła mówić, niemożliwe stało się faktem. Zamknięte na klucz drzwi z wolna otworzyły się na oścież. Z miejsca, gdzie siedziałem, nie widać było korytarza, ale ona i Poirot znajdowali się naprzeciw niego. Z jej piersi wyrwał się przeciągły krzyk, gdy odwróciła się w jego kierunku.

- Widział go pan, tam, w korytarzu? - zawołała.

Wpatrywał się w nią zakłopotany, potem przecząco pokręcił głową.

- Widziałam go, mego męża... Pan również musiał go widzieć.

- Madame, niczego nie widziałem. Nie czuje się pani dobrze, to rozstrój nerwowy.

- Czuję się doskonale. Ja... och, Boże!

Nagle, zupełnie niespodziewanie, światła zadrgały i zgasły. Z ciemności doszedł nas trzykrotny głośny stuk. Usłyszałem jęk pani Maltravers.

A potem... zobaczyłem go!

Mężczyzna, którego wcześniej widziałem leżącego na pięttrze, stał tam, twarzą zwrócony ku nam, jarząc się słabym upiornym światłem. Na wargach miał krew, prawą rękę wyciągnął, wskazując przed siebie. Nagle zaczęło się z niej wydobywać oślepiające światło. Minęło Poirota i mnie i padło na panią Maltravers. Zobaczyłem jej bladą przerażoną twarz i coś jeszcze!

- Mój Boże, Poirot! - zawołałem. - Spójrz na jej rękę, prawą rękę. Jest cała czerwona!

Ona także przeniosła tam swój wzrok i jak kłoda upadła na podłogę.

- Krew - zaczęła histerycznie krzyczeć. - Tak, to krew. Zabiłam go! Zrobiłam to! Pokazywał mi, jak się obchodzić z bronią, a wtedy położyłam rękę na spuście i nacisnęłam. Ratujcie mnie przed nim, ratujcie! Wrócił!

Głos jej stał się chrapliwy.

- Światło! - zawołał energicznie Poirot. Światło zapaliło się, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Otóż to - ciągnął dalej - słyszałeś, Hastings? A pan, Everett? Aha, *a propos*, to pan Everett, znakomity aktor. Dzwoniłem do niego po południu. Ma dobry makijaż, prawda? Wygląda zupełnie jak nieboszczyk, a z kieszonkową latarką i po uprzednim nafosforyzowaniu robił odpowiednie wrażenie. Na twoim miejscu, Hastings, nie dotykałbym jej prawej ręki. To czerwona farba. Widzisz, kiedy zgasło światło, chwyciłem ją za rękę. Nawiasem mówiąc, nie możemy się spóźnić na pociąg. Za oknem jest inspektor Japp. Paskudny wieczór - ale żeby mu się za bardzo nie dłużyło, co jakiś czas stukał w okno.

Widzisz - mówił dalej, gdy żwawo szliśmy w zacinającym deszczu - istniała mała rozbieżność. Doktor przypuszczał, że zmarły należał do Christian Science. Ale któż mógł podsunąć mu tę myśl, jeśli nie pani Maltravers? Nam jednak przedstawiła go jako wielce zatroskanego o własne zdrowie. I jeszcze jedno, dlaczego pojawienie się Blacka wprawiło ją w takie zakłopotanie? Na koniec, chociaż wiem, że konwenanse nakazują, aby kobieta zachowywała pozory żałoby po zmarłym mężu, nie przepadam za tak mocno wymalowanymi powiekami! Zauważyłeś je, Hastings? Nie? Ciągłe powtarzam, że niczego nie widzisz! No właśnie. Istniały dwie możliwości. Albo opowieść Blacka podsunęła panu Maltraversowi pomysłowy sposób na popełnienie samobójstwa, albo drugi słuchacz, jego żona, znalazł w niej równie pomysłowy sposób na popełnienie morderstwa. Przychyliłem się do ostatniej wersji. Aby zastrzelić się we wspomniany sposób, prawdopodobnie musiałby nacisnąć spust palcem u

nogi, tak mi się przynajmniej wydaje. A zatem, gdyby Maltravers został znaleziony bez buta, z pewnością dowiedzielibyśmy się o tym. Tak osobliwy szczegół nie uszedłby powszechnej uwagi. Cóż, jak już wspomniałem, przychyliłem się do wersji, że było to morderstwo, nie samobójstwo, ale zdałem sobie sprawę, że nie mam cienia dowodu, który potwierdziłby moją teorię. Stąd ta zawiła mała komedia, którą widziałeś dziś wieczorem.

- Nawet teraz nie w pełni dostrzegam wszystkie szczegóły tej zbrodni - odparłem.

- Zacznijmy od początku. Oto przebiegła intrygantka, wiedząc o finansowej *debacle* męża i będąc zmęczona partnerem w podeszłym wieku, którego poślubiła wyłącznie dla pieniędzy, nakłania go, aby ubezpieczył się na życie na olbrzymią sumę, a potem szuka sposobów, aby zrealizować swój cel. Te podsuwa jej przypadek - osobliwa opowieść młodego żołnierza. Następnego popołudnia, gdy *monsieur le capitaine*, jak przypuszcza, jest już na otwartym morzu, wraz z mężem spaceruje po posiadłości. "Cóż to była za niezwykła opowieść, wczoraj wieczorem! - zauważa. - Czy można się tak zastrzelić? Proszę, pokaż mi, czy to w ogóle możliwe". Biedny głupiec pokazuje. Wkłada koniec strzelby do ust. Ona pochyła się i ze śmiechem kładzie palec na spuście. "A teraz, szanowny panie - mówi zuchwale - załóżmy, że nacisnę spust".

A potem - a potem, Hastings - naciska!



## Perypetie z tanim mieszkaniem

Jak dotąd, w sprawach, o których wspomniałem, Poirot rozpoczynał śledztwo od zdarzenia najważniejszego, jakim było morderstwo albo kradzież, i metodą dedukcji dochodził do zakończonego zasłużonym sukcesem rozwiązania. W wypadkach, które teraz przedstawię, nadzwyczajny splot okoliczności prowadzi od niewątpliwie błahego zajścia, które na początku zwróciło uwagę Poirota, do niezwykle groźnych wydarzeń kończących tę niezwykłą sprawę.

Spędzałem wieczór ze starym przyjacielem Geraldem Parkerem. Oprócz gospodarza i mnie obecnych było jeszcze sześć osób, a przedmiotem rozmowy, jak zwykle, gdziekolwiek pojawił się Parker, stało się poszukiwanie mieszkania w Londynie. Domy i mieszkania stanowiły jego szczególne hobby. Od czasu zakończenia wojny światowej co najmniej sześć razy zmieniał mieszkanie. Ledwie się gdzieś przeniósł, a już jego uwaga kierowała się ku następnemu miejscu, gdzie niezwłocznie się udawał z całym swoim dobytkiem. Przeprowadzki te prawie zawsze wiązały się z nieznaczną korzyścią finansową, gdyż mój przyjaciel ma głowę do interesów, ale tak naprawdę powodowało nim zamiłowanie do tego typu działań, a nie chęć zaoszczędzenia pieniędzy. Przez czas jakiś słuchaliśmy Parkera z szacunkiem, jakim zazwyczaj nowicjusz obdarza eksperta. Potem sami zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego. W końcu dopuściliśmy do głosu panią Robinson, uroczą młodą mężatkę, która była tam wraz z mężem. Nigdy wcześniej ich nie spotkałem, gdyż Robinson od niedawna był znajomym Parkera.

- *A propos* mieszkań - powiedziała - czy słyszał pan, jakie mieliśmy szczęście? Znaleźliśmy mieszkanie - w końcu! W Montagu Mansions.

- Oczywiście - odparł Parker - zawsze twierdziłem, że jest mnóstwo mieszkań... za odpowiednią cenę!

- Tak, ale cena tego nie jest odpowiednia. Mieszkanie jest wręcz śmiesznie tanie. Osiemdziesiąt funtów za rok!

- Ależ... ależ Montagu Mansions jest tuż przy Knightsbridge, prawda? Duży ładny budynek. Albo mówi pani o jakimś nędznym jego krewniaku o tej samej nazwie, stojącym gdzieś w slumsach.

- Nie, to ten przy Kinghtsbridge. Dlatego to takie wspaniałe.

- Wspaniałe? Toż to prawdziwy cud. Gdzieś jednak musi być jakiś haczyk. Przypuszczam, że jest jeszcze wysoka opłata wstępna?

- Nie ma żadnej!

- Nie ma opłaty wstępnej - och, aż trudno uwierzyć! - jęknął Parker.
- Ale musimy zapłacić za meble - ciągnęła pani Robinson.
- Aha! - najeżył się Parker. - Wiedziałem, że jest jakiś haczyk!
- Pięćdziesiąt funtów. A umeblowanie jest piękne!
- Poddaję się - odparł Parker. - Obecni mieszkańcy muszą być chyba szaleni na punkcie filantropii.

Pani Robinson wyglądała na nieco zmartwioną. Lekka zmarszczka pojawiła się pomiędzy jej małymi brwiami.

- Dziwne, prawda? Może... może... tam straszno?
- Nigdy nie słyszałem o mieszkaniu, w którym by straszno - stanowczo stwierdził Parker.

- Ni-ie? - z powątpiewaniem spytała pani Robinson. - Ale łączy się z nim kilka rzeczy, które wydają mi się... no cóż, dziwne.

- Na przykład... - zachęciłem ją.

- Aha - stwierdził Parker - obudziło to uwagę naszego eksperta od spraw kryminalnych! Proszę mu to dokładnie opowiedzieć, pani Robinson. Hastings wspaniale rozwiązuje wszelkie tajemnice.

Zaśmiałem się, zmieszany, ale nie całkiem niechętny roli, jaką mi narzucono.

- Och, niezupełnie dziwne, kapitanie Hastings, ale gdy udaliśmy się do pośredników, Stossera i Paula - nigdy wcześniej tam nie byliśmy, ponieważ mają oni jedynie drogie apartamenty, choć tym razem pomyśleliśmy, że nie zaszkodzi spróbować - wszystko, co nam oferowali, wahało się pomiędzy sumą czterystu a pięciuset funtów rocznie albo przewidziane były dodatkowo olbrzymie opłaty wstępne, i na koniec, akurat gdy mieliśmy wychodzić, wspomnieli, że mają mieszkanie za osiemdziesiąt funtów, ale dodali, że wątpią, czy jest sens, aby tam iść, ponieważ figurowało ono w ich księgach już od jakiegoś czasu i wysłali tam tak wiele osób, że prawie na pewno jest wynajęte. "Rzucono się na nie", jak to określił urzędnik, tylko właściciele są niezdolni, bo nie powiadomili ich jeszcze o tym, więc wysyłają kolejnych zainteresowanych, a ludzie się irytują, że wysyła się ich do mieszkania, które prawdopodobnie od jakiegoś czasu jest już wynajęte.

Pani Robinson urwała, by wziąć głęboki oddech, po czym mówiła dalej:

- Podziękowaliśmy mu i powiedzieliśmy, że dobrze rozumiemy, iż chodzenie tam prawdopodobnie nie ma większego sensu, chcielibyśmy jednak dostać jakąś pisemną wskazówkę - tak na wszelki wypadek. I od razu pojechaliśmy tam taksówką, ponieważ mimo wszystko nigdy nic nie wiadomo. Numer czwarty znajduje się na drugim piętrze i akurat gdy

czekaliśmy na windę, Elsie Ferguson - moja przyjaciółka, kapitanie Hastings, oni również szukają mieszkania - w pośpiechu zeszła po schodach. "Tym razem byłam przed tobą, moja droga" - powiedziała. - "Ale to na nic. Jest już wynajęte". Wydawało się, że to koniec, ale - no cóż, jak powiedział John, lokum było bardzo tanie, stać nas było na zapłacenie wyższego czynszu, więc może gdybyśmy zaoferowali opłatę wstępną... To, oczywiście, wstrętne i jest mi wstyd, gdy mówię panu o tym, ale sam pan rozumie, jakie są problemy ze znalezieniem mieszkania.

Zapewniłem ją, iż świadom jestem, że w walce o własny kąt niższa strona natury ludzkiej najczęściej odnosi zwycięstwo nad tą wyższą i że można tu zastosować ową dobrze znaną zasadę o pożeraniu słabszych przez silniejszych.

- Więc wjechaliśmy na górę i czy pan uwierzy, mieszkanie wcale nie było wynajęte. Oprowadziła nas po nim pokojówka, potem widzieliśmy się z jej panią i cała sprawa została z miejsca załatwiona. Wynajem od zaraz i opłata w wysokości pięćdziesięciu funtów za meble. Umowę podpisaliśmy następnego dnia i jutro się wprowadzamy! - zakończyła pani Robinson triumfalnie.

- A co z panią Ferguson? - zapytał Parker. - Jaki jest twój wywód w tej sprawie, Hastings?

- To oczywiste, drogi Watsonie - zacytowałem gładko. - Udała się do niewłaściwego mieszkania.

- Och, kapitanie Hastings, jakież pan inteligentny! - zawołała pani Robinson pełna podziwu.

Jaka szkoda, że nie było tam Poirota. Czasem myślę, że bardzo nie docenia moich możliwości.

Cała sprawa była dosyć zabawna, więc następnego ranka przedstawiłem ją Poirotowi w formie żartu. Zainteresowało go to i wypytał mnie szczegółowo o wysokości czynszów w różnych rejonach miasta.

- Ciekawa historia - powiedział zamyślony. - Wybacz mi, Hastings, ale muszę się trochę przejść.

Kiedy wrócił niecałą godzinę później, oczy mu błyszczały osobliwym podnieceniem. Łaskę położył na stole i zanim przemówił, ze zwykłą troskliwością musnął palcami meszek kapelusza.

- Dobrze, *mon ami*, że w tej chwili nie prowadzimy żadnych spraw. Będziemy mogli się zająć wyłącznie obecnym śledztwem.

- O jakim śledztwie mówisz?

- O sprawie nadzwyczajnie niskiego czynszu nowego mieszkania twojej znajomej, pani Robinson.

- Poirot, nie mówisz tego poważnie!

- Jak najpoważniej. Wyobraź sobie, przyjacielu, że faktyczny czynsz za te mieszkania wynosi trzysta pięćdziesiąt funtów. Właśnie to sprawdziłem u pośredników właściciela. A mimo to akurat to mieszkanie dotychczasowi lokatorzy podnajmują za osiemdziesiąt funtów! Dlaczego?

- Coś z nim musi być nie tak. Może tam rzeczywiście straszy, tak jak sugerowała pani Robinson.

Poirot niezadowolony przecząco pokręcił głową.

- Poza tym to dziwne, iż jej przyjaciółka mówi, że mieszkanie jest już wynajęte, a gdy ona się tam zjawia, okazuje się, że wcale tak nie jest!

- Ale chyba zgodzisz się ze mną, że ta kobieta musiała się udać do niewłaściwego mieszkania. To jedyne możliwe wytłumaczenie.

- W tej kwestii niekoniecznie musisz mieć rację. Pozostaje jeszcze fakt, że wysłano wielu innych chętnych, aby je obejrzeni, lecz pomimo zadziwiająco niskiego czynszu, wciąż było do wynajęcia, gdy przybyła tam pani Robinson.

- To dowodzi, że coś z nim musi być nie tak.

- Pani Robinson nie zauważyła, aby coś było nie w porządku. Bardzo dziwne, prawda? Czy sprawiła na tobie wrażenie prawdomównej osoby, Hastings?

- To zachwycająca istota!

- *Evidemment* nie jesteś w stanie odpowiedzieć na moje pytanie. Spróbuj więc mi ją opisać.

- A zatem jest wysoka, o jasnej karnacji, jej włosy mają piękny rudawobrazowy odcień...

- Zawsze miałaś słabość do rudawobrazowych włosów - mruknął Poirot. - Ale mów dalej.

- Niebieskie oczy i bardzo ładna cera i... no cóż, myślę, że to wszystko - zakończyłem kulawo.

- A jej mąż?

- Och, całkiem miły facet, nic nadzwyczajnego.

- Brunet czy blondyn?

- Czy ja wiem? Pomiędzy jednym a drugim i zupełnie zwyczajna twarz.

Poirot skinął głową.

- Tak, są setki takich przeciętnie wyglądających mężczyzn. W każdym razie, więcej empatii i uznania zawierają twoje opisy kobiet. Czy wiesz coś o tych ludziach? Czy Parker dobrze ich zna?

- Przypuszczam, że znają się od niedawna. Ale z pewnością, Poirot, nie sądzisz... Poirot uniósł do góry dłoń.

- *Tout doucement, mon ami.* Czy powiedziałem, że sądzę cokolwiek? Stwierdziłem jedynie, że to ciekawa historia. I nie ma czego w niej wyjaśniać; może z wyjątkiem tego, jak się nazywa ta pani, co, Hastings?

- Ma na imię Stella - powiedziałem sztywno - ale nie rozumiem...

Poirot przerwał mi, donośnie chichocząc. Wydawało się, że coś go bardzo rozbawiło.

- A Stella to znaczy gwiazda, prawda? Sławna!

- Co u licha...

- A z gwiazd można wyczytać prawdę! *Voilà!* Uspokój się, Hastings. Nie przybieraj postawy urażonej dumy. Chodź, udamy się do Montagu Mansions i zadamy kilka pytań.

Towarzyszyłem mu całkiem chętnie. The Mansions to okazały się zespół budynków w doskonałym stanie. Umundurowany portier, stojąc na progu, wygrzewał się na słońcu i do niego to zwrócił się Poirot.

- Przepraszam, proszę mi powiedzieć, czy mieszkają tu pan i pani Robinson?

Portier był człowiekiem małym, najwyraźniej cierpkim z usposobienia i podejrzliwym. Ledwo na nas spojrzął i odburknął:

- Numer czwarty. Drugie piętro.

- Dziękuję. Czy może mi pan powiedzieć, jak długo tu mieszkają?

- Sześć miesięcy.

Zdumiony ruszyłem do przodu, gdy zdałem sobie sprawę ze złośliwego uśmiechu Poirota.

- Niemożliwe! - zawołałem. - Pan się myli.

- Sześć miesięcy.

- Jest pan pewien? Kobieta, o której mówię, jest wysoka, ma jasną karnację, rudawozłote włosy i...

- Tak, to ona - odrzekł portier. - Wprowadzili się do mieszkania Michaelmasów. Dokładnie sześć miesięcy temu.

Nagle stracił całe zainteresowanie nami i wolno wycofał się w głąb korytarza.

Wyszedłem wraz z Poirotem na zewnątrz.

- *Eh bien*, Hastings - rzekł chytrze mój przyjaciel. - Czy i teraz jesteś pewien, że czarujące kobiety zawsze mówią prawdę?

Nie odpowiedziałem.

Dopiero gdy Poirot skierował się na Brompton Road, zapytałem go, co zamierza zrobić i dokąd idziemy.

- Do pośredników zajmujących się tym domem, Hastings. Mam ogromną ochotę wynająć mieszkanie w Montagu Mansions. O ile się nie mylę, wkrótce wydarzy się tam kilka interesujących rzeczy.

Mieliśmy szczęście w naszych poszukiwaniach. Mieszkanie numer osiem na czwartym piętrze było do wynajęcia, umeblowane, za dziesięć gwinei tygodniowo. Poirot wziął je natychmiast, na miesiąc. Gdy znowu wyszliśmy na ulicę, uciszył moje protesty:

- Przecież teraz zarabiam! Dlaczego nie miałbym spełnić swojej zachcianki? Nawiasem mówiąc, Hastings, czy masz rewolwer?

- Tak, gdzieś mam - odparłem nieco podekscytowany. - Czy sądzisz...

- Że będziesz go potrzebował? Całkiem możliwe. Widzę, że ta myśl sprawia ci przyjemność. Jak zwykle przemawia do ciebie to, co romantyczne i widowiskowe.

Następnego dnia byliśmy już w naszym nowym, tymczasowym domu. Mieszkanie było ładnie umeblowane. Usytuowane tak samo jak to Robinsonów, znajdowało się jednak dwa piętra wyżej.

Niedziela była pierwszym dniem po naszej przeprowadzce. Po południu Poirot zostawił uchylone drzwi wejściowe i gdy w dole dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami, spiesźnie mnie wezwał.

- Spójrz przez balustradę. Czy to twoi znajomi? Uważaj, żeby cię nie zobaczyli.

Wychyliłem się z klatki schodowej.

- Widzę oni - oznajmiłem niegramatycznym szeptem.

- Dobrze. Poczekaj chwilę.

Jakieś pół godziny później ukazała się młoda kobieta w jaskrawej, niedobranej garderobie. Poirot odetchnął zadowolony i na palcach wrócił do mieszkania.

- *C'est ca*. Po panu i pani pokojówka. Mieszkanie powinno być teraz puste.

- Co będziemy robić? - zapytałem zaniepokojony. Poirot energicznym truchtem pobiegł do pomieszczenia gospodarczego przy kuchni i zaczął się gramolić na linę od windy do przewożenia węgla.

- Dostaniemy się tam tak jak pojemniki na śmieci - wyjaśnił wesoło. - Nikt nas nie zauważy. Niedzielny koncert, niedzielne "popołudniowe wyjście" i w końcu niedzielna

drzemka po niedzielnym angielskim obiedzie, *le rosbif* - wszystko to odwróci uwagę od poczyznań Herkulesa Poirota. Chodź, przyjacielu.

Wszedł do ciężkiego drewnianego urządzenia, a ja podążyłem za nim.

- Czy włamiemy się tam? - zapytałem niepewnie.

Odpowiedź Poirota nie uspokoiła mnie zbyt.

- Nie dzisiaj - odparł.

Opuszczając się na linie, schodziliśmy wolno, dopóki nie dotarliśmy do drugiego piętra. Poirot wydał okrzyk zadowolenia, gdy spostrzegł, że drewniane drzwi do gospodarczego pomieszczenia obok kuchni były otwarte.

- Zauważyłeś? Nigdy nie zamykają tych drzwi za dnia. A przecież każdy mógłby się tu wspiąć albo opuścić, tak jak my to zrobiliśmy. W nocy, owszem, zamykają, ale też nie zawsze, lecz zabezpieczymy się przed tym.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni trochę narzędzi i od razu zręcznie zabrał się do pracy, której celem było takie ustawienie zasuw, aby można ją było otworzyć z windy. Potem znowu włożył narzędzia do kieszeni, a wtedy raz jeszcze wspięliśmy się do naszego królestwa.

W poniedziałek Poirot nie było przez cały dzień, ale gdy wrócił wieczorem, zadowolony rzucił się na krzesło.

- Hastings, czy mogę ci opowiedzieć pewną historyjkę? Opowiadka na pewno przypadnie ci do gustu, przypomina twoje ulubione filmy.

- Zaczynaj - zaśmiałem się. - Zakładam, że to prawdziwa opowieść, a nie dzieło twojej wyobraźni.

- Jest wystarczająco prawdziwa. Inspektor Japp ze Scotland Yardu zaręczy za jej autentyczność, ponieważ to dzięki jego uprzejmości dotarła do moich uszu. Posłuchaj więc, Hastings. Nieco ponad sześć miesięcy temu skradziono pewne ważne plany z Departamentu Marynarki Stanów Zjednoczonych. Przedstawały one pozycje najważniejszych portowych fortyfikacji i obcy rząd, na przykład japoński, dałby za nie znaczną sumę pieniędzy. Podejrzenie padło na młodego człowieka, nazywającego się Luigi Valdarno, Włocha z pochodzenia, zatrudnionego w departamencie w charakterze podrzędnego pracownika, który zaginął w tym samym czasie co dokumenty. Nie wiadomo, czy był złodziejem, czy też nie, ale dwa dni później znaleziono go zastrzelonego na East Side w Nowym Jorku. Dokumentów przy nim nie było. Otóż przez jakiś czas Luigi Valdarno pokazywał się z panną Elszą Hardt, młodą śpiewaczką operową, która niewiele wcześniej pojawiła się na scenie, a mieszkała wraz z bratem w Waszyngtonie. Nic nie wiadomo o przeszłości panny Elsy Hardt, a i ona zniknęła niespodziewanie w tym samym czasie, gdy zginął Valdarno. Są przesłanki, aby przypuszczać,

że w rzeczywistości była znakomitym międzynarodowym szpiegiem, który wyrządził wiele niegodziwości pod różnymi nazwiskami. Wywiad amerykański, dokładając wszelkich starań, aby ją śledzić, nie spuszczał również oka z pewnych niepozornych japońskich dżentelmenów mieszkających w Waszyngtonie. Spodziewano się, że gdy Elsa Hardt skutecznie zatrze za sobą ślady, nawiąże kontakt ze wspomnianymi dżentelmenami. Przed dwoma tygodniami jeden z nich niespodziewanie wyjechał do Anglii. Zatem na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że i Elsa Hardt jest teraz w Anglii - Poirot urwał, a potem dodał miękko: - A oto rysopis Elsy Hardt: wzrost pięć stóp siedem cali, oczy niebieskie, włosy rudawobrazowawe, cera jasna, nos prosty, znaków szczególnych brak.

- Pani Robinson - wykrztusiłem.

- No cóż, w każdym razie nie jest to wykluczone - poprawił mnie Poirot. - Dowiedziałem się również, że nie dalej jak dziś rano pewien śniady mężczyzna, jakiś cudzoziemiec, wypytywał o lokatorów spod czwórki. Dlatego, *mon ami*, obawiam się, że będziesz musiał wyrzec się snu dzisiejszej nocy i wraz ze mną czuwać w tamtym mieszkaniu, uzbrojony w ten swój wspaniały rewolwer, *bien entendu!*

- Bardzo chętnie! - zawołałem z entuzjazmem. - Kiedy zaczynamy?

- Wydaje mi się, że północ będzie odpowiednią porą. Wcześniej prawdopodobnie nic się nie wydarzy.

Równo o dwunastej ostrożnie wczołgaliśmy się do windy na węgiel i opuściliśmy się do wysokości drugiego piętra. Pod wpływem zręcznych ruchów Poirota drewniane drzwi otworzyły się do środka, a my wgramoliliśmy się do mieszkania. Z pomieszczenia gospodarczego przeszliśmy do kuchni, gdzie usadowiliśmy się wygodnie na dwóch krzesłach, zostawiając uchylone drzwi do przedpokoju.

- Teraz musimy już tylko czekać - powiedział z zadowoleniem Poirot, przytykając oczy.

Dla mnie to czekanie trwało bez końca. Przerażała mnie myśl, że usnę. Gdy mi się już wydawało, że siedzę tam chyba z osiem godzin - choć w rzeczywistości, jak to później stwierdziłem, byłem dokładnie godzinę i dwadzieścia minut - moich uszu dobiegło słabe skrobanie. Ręka Poirota dotknęła mojej. Wstałem i razem ruszyliśmy ostrożnie w kierunku przedpokoju. Hałas dochodził stamtąd. Poirot przybliżył wargi do mego ucha.

- Jest za wejściowymi drzwiami. Przepiłowuje zamek. Na moje hasło, nie wcześniej, rzuć się na niego z tyłu i przytrzymaj mocno. Uważaj, może mieć nóż.

Wkrótce dał się słyszeć przenikliwy dźwięk i niewielki snop światła pojawił się w uchylonych drzwiach. Natychmiast zgasł, a wtedy drzwi otworzyły się wolno. Poirot i ja



przywarliśmy do ściany. Słyszałem oddech mężczyzny, gdy ten nas mijał. Potem zapalił latarkę, a Poirot syknął mi do ucha:

- Allez.

Skoczyliśmy razem, Poirot szybkim ruchem owinał głowę intruza lekką wełnianą chustą, podczas gdy ja wiązałem mu ręce. Wszystko odbyło się szybko i bez hałasu. Wytrąciłem mu sztylet z ręki i gdy Poirot zdjął mu chustę z oczu, nie przestając zaciskać jej mocno wokół ust, szybko wyjąłem rewolwer tak, aby napastnik mógł go zobaczyć i pojąć, że opór był bezużyteczny. Gdy zaprzestał walki, Poirot zbliżył usta do jego ucha i zaczął coś szeptać. Potem ruchem ręki nakazując ciszę, wyprowadził nas z mieszkania schodami w dół. Nasz jeńiec podążał za nim, a ja osłaniałem tyły, trzymając rewolwer. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Poirot odwrócił się do mnie:

- Taksówka czeka za rogiem. Daj mi rewolwer. Nie będzie nam teraz potrzebny.

- A jeżeli ten facet będzie próbował uciec?

Poirot uśmiechnął się.

- Nie będzie.

Po chwili sprowadziłem taksówkę. Chustka została zdjęta z twarzy obcego, a ja wydałem okrzyk zdziwienia.

- To nie Japończyk - wyszeptałem do Poirota.

- Spostrzegawczość była zawsze twoją mocną stroną. Hastings! Nic nie umknie twojej uwadze. Tak, ten człowiek nie jest Japończykiem. To Włoch.

Wsiedliśmy do taksówki i Poirot dał kierowcy jakiś adres na St John's Wood. Ja miałem już wtedy całkowity mętlik w głowie. Nie chciałem przy naszym jeńcu pytać Poirota, gdzie jedziemy, ale na próżno dokładałem starań, aby choć trochę uporządkować sobie to wszystko w głowie.

Wysiedliśmy przy drzwiach małego domku stojącego tyłem do ulicy. Jakiś podpity przechodzień, ślaniając się na nogach, szedł chodnikiem i omal nie zderzył się z Poirotem, który ostro powiedział do niego coś, czego nie dosłyszałem. Wszyscy trzej weszliśmy po schodach owego domu. Poirot zadzwonił i skinął na nas, abyśmy stanęli nieco z boku. Nie było odpowiedzi, więc zadzwonił jeszcze raz, a potem chwycił kołatkę, którą stukał energicznie przez kilka minut.

Nagle w okienku nad drzwiami pojawiło się światło i drzwi ostrożnie się uchyliły.

- Czego pan chce, u licha? - zapytał surowo męski głos.

- Potrzebuję doktora. Moja żona nagle zachorowała.

- Nie ma tu żadnego doktora.

Mężczyzna chciał już zamknąć drzwi, ale Poirot sprytnie wsunął w nie stopę. Stał się nagle doskonałą karykaturą rozwścieczonego Francuza.

- Co pan mówi, nie ma doktora? Wytoczę panu proces. Musi pan pójść! Zostanę tu i będę dzwonił i stukał przez całą noc.

- Drogi panie...

Drzwi otworzyły się znowu, mężczyzna odziany w szlafrok i papucie wystąpił do przodu, aby uspokoić Poirota, niepewnie zerkając dookoła.

- Wezwę policję. - Poirot miał już zejść po schodach.

- Nie, na miłość boską, niech pan tego nie robi! - Mężczyzna rzucił się za nim.

Energicznym ruchem Poirot pchnął go w dół schodów tak, że tamten aż się zatoczył. W następnej chwili wszyscy trzej byliśmy w środku, zamykając i zaryglowując za sobą drzwi.

- Szybko, tutaj - Poirot wprowadził nas do najbliższego pokoju, a gdy to uczynił, włączył światło. - A pan... za zasłonę.

- Si, signor - odparł Włoch i szybko schował się za suto marszczony różowy aksamit, udrapowany na framudze okna.

Gdy tylko się skrył, do pokoju wpadła kobieta. Była wysoka, miała rudawe włosy, a jej smukłą postać otulało jasno-czerwone kimono.

- Gdzie jest mój mąż? - zawołała, rzucając szybkie, przerażone spojrzenie. - Kim panowie są?

Poirot z ukłonem wysunął się do przodu.

- Nie powinien się przeziębic. Zauważyłem, że na nogach miał papucie i był ubrany w ciepły szlafrok.

- Kim panowie są? I co robią panowie w moim domu?

- To prawda, że nie mieliśmy dotychczas przyjemności poznać pani, madame. Jest to tym smutniejsze, że jeden z nas przybył aż z Nowego Jorku, aby się z panią spotkać.

Zasłony rozsunęły się i wyszedł Włoch. Przerażony spostrzegłem, że wymachuje moim rewolwerem, który Poirot bez wątpienia musiał w roztargnieniu zostawić w taksówce.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie i chciała uciekać, ale mój przyjaciel zagradzał jej drogę.

- Niech mnie pan przepuści - zapiszczała. - On mnie zamorduje.

- Kto wykończył Luigiego Valdarno? - zapytał zachrypnięty Włoch, wymachując bronią, abyśmy się odsunęli. Nie odważyliśmy się ruszyć.

- Mój Boże, Poirot, to straszne. Co robić? - zawołałem.

- Wyświadczysz mi przysługę, jeżeli przestaniesz tyle mówić, Hastings. Mogę cię zapewnić, że nasz przyjaciel nie strzeli, dopóki mu nie powiem.

- Jesteś tego pewny, co? - odparł Włoch, uśmiechając się niemile.

Kobieta w okamgnieniu zwróciła się do Poirota.

- Czego pan chce?

Poirot się uklonił.

- Nie sędzę, abym musiał obrażać inteligencję pani Elsy Hardt, mówiąc jej o tym.

Szybkim ruchem kobieta schwyciła dużego czarnego aksamitnego kota, który służył za pokrowiec na telefon.

- Są zaszyte w podszewce.

- Sprytne - mruknął pełen uznania Poirot. Odsunął się od drzwi. - Do widzenia, madame. Zatrzymam pani przyjaciela z Nowego Jorku, gdy będzie pani uciekać.

- Cooo za dureń! - ryknął wielki Włoch i wzniosłszy rewolwer, wystrzelił wprost w wycofującą się kobietę, akurat w chwili, gdy rzuciłem się na niego.

Ale broń jedynie szczęknęła nieszkodliwie, a Poirot odezwał się tonem łagodnej nagany:

- Nie masz zaufania do starego druha, Hastings. Nie lubię, gdy moi przyjaciele noszą przy sobie naładowaną broń, a już nigdy bym na to nie pozwolił zwykłemu znajomemu. Nie, nie, *mon ami* - słowa te skierował do Włocha, który przeklinał ochryplym głosem. Poirot wciąż przemawiał do niego tonem łagodnej nagany: - Sam zobacz, co dla ciebie zrobiłem. Ocaliłem cię przed szubienicą. I nie myśl, że naszej pięknej pani uda się zbiec. Nie, nie, dom jest otoczony. Wpadną prosto w ręce policji. Czy to nie piękna i pocieszająca myśl? Tak, możesz teraz opuścić pokój. Ale bądź ostrożny, bardzo ostrożny. Ja... Ach, już go nie ma! A mój przyjaciel Hastings patrzy na mnie z wyrzutem. Ależ to wszystko jest bardzo proste! Od samego początku było jasne, że z setek kandydatów zainteresowanych mieszkaniem numer cztery w Montagu Mansions jedynie Robinsonowie zostali uznani za odpowiednich. Dlaczego? Co takiego odróżniało ich od reszty już na pierwszy rzut oka. Wygląd? Możliwe, ale przecież nie było w nich nic nadzwyczajnego. A więc nazwisko!

- Ale co takiego niezwykłego jest w nazwisku Robinson? - zawołałem. - Przecież to popularne nazwisko.

- Ach! *Sapristi*, właśnie tak! W tym sęk. Elsa Hardt i jej mąż, brat czy kim on jest naprawdę, przyjeżdżają z Nowego Jorku i wynajmują mieszkanie jako państwo Robinson. Nagle dowiadują się, że jedna z tych tajnych organizacji, mafia albo kamorra, do której bez wątplenia należał Luigi Valdarno, jest na ich tropie. Co robią? Wpadają na bardzo prosty plan. Wiedzą, że ścigający nie znają ich osobiście. Więc cóż może być bardziej oczywistego? Oferują mieszkanie do wynajęcia za śmiesznie niską opłatę. Wśród setek młodych par, które

szukają mieszkania w Londynie, niezawodnie będzie kilkoro Robinsonów. To tylko kwestia czasu. Wystarczy zobaczyć, ilu jest Robinsonów w książce telefonicznej, żeby sobie uświadomić, że pani Robinson o jasnej karnacji pojawi się wcześniej czy później. Co się wtedy dzieje? Przybywa mściciel. Zna nazwisko i adres. Uderza! I na tym koniec, zemsty dokonano, a pani Elsie Hardt udało się jeszcze raz uciec, prawie że w ostatniej chwili. *A propos*, Hastings, musisz mnie przedstawić prawdziwej pani Robinson, tej zachwycającej i prawdopodobnej istocie! Co pomyślą, gdy zobaczą, że włamano się do ich mieszkania? Musimy tam szybko wrócić. O, wygląda na to, że przyjechał już Japp z kolegami.

Dało się słyszeć potężne walenie kołatką.

- Skąd znalazłeś ten adres? - zapytałem, podążając za Poirotem do przedpokoju. - Och, oczywiście, poszedłeś za pierwszą panią Robinson, gdy wyszła z tamtego mieszkania.

- *A la bonne heure*, Hastings. Używasz w końcu swoich szarych komórek. A teraz mała niespodzianka dla Jappa.

Cicho odryglowawszy drzwi, wysunął głowę kota poza ich framugę i wydał z siebie przeszywające miauu.

Inspektor Scotland Yardu, który tam stał z jeszcze jakimś mężczyzną, odruchowo podskoczył.

- Och, to tylko jeden z niewinnych żartów monsieur Poirota! - zawołał, gdy głowa tego ostatniego pojawiła się tuż za głową kota. - Proszę nas wpuścić.

- Macie naszych przyjaciół całych i zdrowych?

- Tak, złapaliśmy ptaszki. Ale niczego przy sobie nie mieli.

- Rozumiem. Więc przyszedł pan tu, żeby poszukać. No cóż, właśnie mieliśmy z Hastingsem wyjść, ale w tej sytuacji chciałbym zrobić panu mały wykład na temat historii i zwyczajów domowego kota.

- Na miłość boską, czy pan zupełnie zbzikował?

- Kota - perorował Poirot - czczono w starożytnym Egipcie. Nadal uważa się, że spotka nas szczęście, gdy czarny kot przebiegnie nam drogę. Dzisiejszego wieczoru ten kot przebiegł panu drogę, Japp. Wiem, że mówienie o wnętrznościach jakiegokolwiek zwierzęcia czy osoby nie jest uważane w Anglii za grzeczne. Ale wnętrze tego kota jest szczególnie delikatne. Zwłaszcza podszewka.

Nagle odchrząknawszy, drugi mężczyzna schwycił Poirotowi kota z rąk.

- Och zapomniałem panów przedstawić - powiedział Japp. - Panie Poirot, oto pan Burt z amerykańskiego wywiadu

Wprawne ręce Amerykanina wyczuły przez materiał to czego szukały. Wyciągnął rękę,

ale na chwilę głos odmówił mu posłuszeństwa. Potem mężczyzna stanął na wysokości zadania.

- Miło mi pana poznać - powiedział.

## Tajemnica Hunter's Lodge

- Mimo wszystko - wymamrotał Poirot - możliwe, że tym razem jeszcze nie umrę.

Ponieważ powiedział to odbywający rekonwalescencję z powodu grypy pacjent, uwagę uznałem za optymistyczną. Sam już wcześniej przeszedłem tę chorobę. Po mnie przyszła kolej na Poirota. Teraz siedział wyprostowany w łóżku, oparty o poduszki, głowę miał opatuloną wełnianym szalem i małymi łyżkami popijał wyjątkowo paskudną *tisane*, którą przyrządziłem wedle jego wskazówek. Z przyjemnością popatrzył na rząd starannie poustawianych flaszeczek z lekarskimi, ozdabiających półkę nad kominkiem.

- Tak, tak - ciągnął mój mały przyjaciel - znowu będę sobą, wielkim Herkulesem Poirot, postrachem złoczyńców! Wyobraź sobie, *mon ami*, że jest o mnie mała notatka w "Kronice Towarzyskiej". Ależ tak! Oto ona: "Przestępcy, przekażcie tę wiadomość dalej! Herkules Poirot - a bez wątpienia jest to nie lada Herkules! - ulubiony detektyw wytwornego towarzystwa, nie może was łąpać. Dlaczego? Ponieważ jego samego złapała grypa!".

Zacząłem się śmiać.

- Brawo, Poirot. Stajesz się postacią znaną. I na szczęście, w tym czasie nie ominęło cię nic, co rzeczywiście byłoby godne uwagi.

- To prawda. Nie żałuję tych kilku spraw, które musiałem odrzucić.

Nasza gospodyni wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Jakiś pan czeka na dole. Mówi, że musi się widzieć z monsieur Poirotem albo z panem, kapitanie. Wygląda na to, że jest czymś mocno poruszony, a przy tym to prawdziwy dzentelmen. Przyniosłam jego wizytówkę.

Podala mi mały kartonik.

- Pan Roger Havering - przeczytałem.

Poirot skinął głową w kierunku regału na książki, więc posłusznie poszedłem po "Who's Who". Poirot wziął je ode mnie i zaczął szybko wertować kartki.

- Drugi syn piątego barona Winsdoru. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku poślubił Zoe, czwartą córkę Williama Crabba.

- Hm - odparłem. - Czy to nie ta dziewczyna, która kiedyś grywała w teatrze Błahostka? Ale ona podawała się za Zoe Carrisbrook. Pamiętam, że tuż przed wojną wyszła za mąż za jakiegoś młodego birbanta.

- Czy nie zechciałbyś, Hastings, zejść na dół i wysłuchać, z jakim to problemem przybywa nasz gość? Przepróż go w moim imieniu.

Roger Havering był mężczyzną około czterdziestki, dobrze zbudowanym, o eleganckim wyglądzie. Jednakże twarz miał wymizerowaną i najwyraźniej działał pod wpływem silnego wzburzenia.

- Kapitan Hastings? Wiem, że współpracuje pan z monsieur Poirotem. Pański przyjaciel koniecznie musi pojechać dziś ze mną do Derbyshire.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparłem. - Poirot leży w łóżku chory na grypę.

Mina mu zrzędała.

- Mój Boże! To dla mnie wielki cios.

- Czy sprawa, która pana do niego sprowadza, jest poważna?

- Tak, na miłość boską! Mój wuj, najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem, ubiegłego wieczoru został bestialsko zamordowany.

- Tu, w Londynie?

- Nie, w Derbyshire. Byłem akurat w mieście i dziś rano otrzymałem w tej sprawie telegram od żony. Zaraz potem postanowiłem tu przyjść i prosić monsieur Poirota, aby zechciał podjąć się tej sprawy.

- Zechce pan chwilę poczekać - odparłem, ponieważ przysłała mi do głowy pewna myśl.

Popędziłem na górę i w kilku słowach nakreśliłem Poirotowi sytuację. Reszty domyślił się już sam.

- Wiem, wiem. Chcesz sam jechać, czyż nie tak? No cóż, dlaczego nie? Poznałeś już moje metody. Ale proszę cię o jedno, abyś składał mi dokładne sprawozdania każdego dnia i stosował się bez zastrzeżeń do instrukcji, jakie ci telegraficznie prześlę.

Na to zgodziłem się chętnie.

Godzinę później siedziałem naprzeciwko pana Haveringa w wagonie pierwszej klasy pociągu Midland Railway, szybko oddalającego się od Londynu.

- Po pierwsze, kapitanie Hastings, musi pan zdać sobie sprawę, że Hunter's Lodge, do którego jedziemy i gdzie wydarzyła się ta tragedia, jest jedynie małym domkiem myśliwskim pośród wrzosowisk Derbyshire. Nasz prawdziwy dom znajduje się w pobliżu Newsmarket, a w sezonie zazwyczaj wynajmujemy mieszkanie w mieście. Hunter's Lodge opiekuje się gospoia, która jest w stanie zadbać i o nas, gdy czasem przyjeżdżamy tam na weekend. Mój wuj, Harrington Pace (być może pan wie, że moja matka była z domu Pace, tych z Nowego Jorku), przez ostatnie trzy lata mieszkał razem z nami. Nigdy nie był w dobrych stosunkach z moim ojcem ani starszym bratem i przypuszczam, że sam fakt, iż byłem poniekąd synem marnotrawnym tej rodziny, raczej przysporzył mi, niż ujął jego sympatii. Naturalnie, jestem biedny, a wuj był zamożny, innymi słowy, opłacał nasze wydatki. Choć okazał się wymagający

w wielu sprawach, nietrudno było się z nim zaprzyjaźnić, toteż we troje mieszkaliśmy w pełnej harmonii. Przed dwoma dniami wuj, bardzo znużony uciechami miasta, zaproponował, abyśmy na dzień czy dwa pojechali do Derbyshire. Żona telefonicznie powiadomiła o tym panią Middleton, naszą gosposię, i udaliśmy się tam jeszcze tego samego popołudnia. Wczoraj wieczorem byłem zmuszony wrócić do miasta, ale żona i wuj pozostali tam. Dziś rano otrzymałem ten telegram. -Wręczył mi go:

*Przyjedź natychmiast; wczoraj wieczorem zamordowano wuja Harringtona; jeżeli możesz, przywieź ze sobą dobrego detektywa, Zoe.*

- Więc jak dotąd nie zna pan szczegółów?

- Nie, ale przypuszczam, że zostaną opisane w wieczornej prasie. Bez wątpienia policja się tym zajęła.

Dochodziła trzecia, gdy dojechaliśmy do niewielkiej stacyjki Elmer's Dale. Potem pięćmiłowa jazda samochodem, która zakończyła się przed małym budynkiem z szarego kamienia stojącym pośród wrzosowisk.

- Odludne miejsce - zauważyłem, czując, że ciarki przeszły mi po plecach.

Havering skinął głową.

- Spróbuję się go pozbyć. Nie mógłbym mieszkać tu po tym wszystkim.

Otworzyliśmy furtkę i ruszyli wąską ścieżką w stronę dębowych drzwi, gdy pojawiła się znajoma postać idąca ku nam.

- Japp! - wykrzyknąłem.

Inspektor Scotland Yardu uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, zanim zwrócił się do mego towarzysza:

- Pan Havering, jak sądzę? Przysłano mnie z Londynu, abym zajął się tą sprawą, i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zamienić z panem kilka słów.

- Moja żona...

- Widziałem się już z pańską małżonką i z gosposią. Nie zajmę panu wiele czasu, chciałbym jak najszybciej wrócić do wsi, teraz gdy zobaczyłem tu już wszystko, co mogłem zobaczyć.

- Nic jeszcze nie wiem, jak...

- No właśnie - odparł uspokajająco Japp. - Chciałbym jednak zapytać pana o jedną czy dwie kwestie. Jest tu kapitan Hastings, który mnie zna i pójdzie powiadomić domowników o pańskim przyjeździe. *A propos*, kapitanie Hastings, co pan zrobił ze swoim przyjacielem?



- Leży w łóżku chory na grypę.

- Doprawdy? Jakże mi przykro. Na dobrą sprawę pan tutaj, bez niego, jest jak furmanka bez konia, czyż nie tak?

Po tym niefortunnym żarcie udałem się w stronę domu. Zadzwoiłem do drzwi, gdyż Japp już wcześniej je za sobą zamknął. Po kilku chwilach otworzyła mi kobieta w średnim wieku, ubrana w czerń.

- Pan Havering zaraz tu będzie - wyjaśniłem. - Zatrzymał go inspektor. Przyjechałem z Londynu wraz z gospodarzem, aby zbadać sprawę. Czy mogłaby mi pani pokrótce opowiedzieć, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru?

- Proszę wejść. - Gdy zamknęła za mną drzwi, stanęliśmy w słabo oświetlonym korytarzu. - To się stało ubiegłego wieczoru, po obiedzie, proszę pana, wtedy przyszedł ten człowiek. Powiedział, że chce się widzieć z panem Pace, a ponieważ mówił w taki sam sposób jak on, więc pomyślałam, proszę pana, że to jakiś przyjaciel pana Pace z Ameryki, dlatego wprowadziłam go do saloniku, gdzie wisi broń, i poszłam powiedzieć o tym panu Pace. Tamten nie podał żadnego nazwiska, co było, gdy teraz o tym myślę, trochę dziwne. Powiadomiłam pana Pace, który wydawał się zakłopotany, ale powiedział do pani: "Przepraszam, Zoe, zobaczę, czego chce ten człowiek". Poszedł do saloniku, a ja wróciłam do kuchni i po chwili usłyszałam ich głosy, jak gdyby się kłócili, więc wyszłam do przedpokoju. W tym samym czasie pani wyszła również i akurat wtedy padł strzał, a potem nastąpiła straszna cisza. Obie pobiegłyśmy do drzwi saloniku, ale były zamknięte na klucz, więc pośpieszyłyśmy na zewnątrz, do okna. Było otwarte, w środku leżał pan Pace, zastrzelony, cały we krwi.

- Co się stało z tamtym mężczyzną?

- Musiał uciec przez okno, proszę pana, zanim tam dobiegłyśmy.

- A potem?

- Pani Havering posłała mnie po policję. Pięć mil na piechotę. Wróciłam razem z nimi, posterunkowy był tu przez całą noc, a rano przyjechał ten pan z policji, z Londynu.

- Jak wyglądał mężczyzna, który chciał się widzieć z panem Pace?

Gospoia zastanowiła się.

- Miał czarną brodę, proszę pana, był chyba w średnim wieku i miał na sobie jasny płaszcz. Poza tym, że mówił jak Amerykanin, niewiele więcej zauważyłam.

- Rozumiem. Czy mógłbym się teraz widzieć z panią Havering?

- Jest na górze, proszę pana. Czy mam ją poprosić?

- Tak. Powiedz jej, że pan Havering jest przed domem z inspektorem Jappem, a pan, którego przywiózł ze sobą z Londynu, chciałby się z nią jak najszybciej rozmówić.

- Dobrze, proszę pana.

Pragnąłem co rychlej poznać wszystkie fakty. Japp miał nade mną dwie albo trzy godziny przewagi, a jego chęć, aby się stąd oddalić, sprawiła, że wolałem nie spuszczać go z oka.

Pani Havering nie kazała mi długo na siebie czekać. Po kilku minutach usłyszałem, jak ktoś lekkim krokiem schodzi po schodach, a podniósłszy wzrok, zobaczyłem idącą w moim kierunku bardzo ładną młodą kobietę. Miała na sobie jaskrawoczerwony golf, który podkreślał smukłą chłopięcość jej figury. Ciemne włosy przykrywał jasnoczerwony kapelusik ze skóry. Nawet tragedia, która właśnie się tu wydarzyła, nie była w stanie przytłumić jej witalnej osobowości.

Przedstawiłem się, a ona ze zrozumieniem skinęła głową.

- Oczywiście, często słyszałam o panu i pańskim koledze, monsieur Poirocie. Razem dokonaliście panowie niemało wspaniałych rzeczy, nieprawdaż? To bardzo mądre ze strony mego męża, że natychmiast sprowadził tu pana. A teraz proszę zadawać pytania. To chyba najprostszy sposób, aby dowiedzieć się wszystkiego o tej strasznej sprawie.

- Dziękuję, pani Havering. A więc o której godzinie przyjechał ten mężczyzna?

- Musiała dochodzić dziewiąta. Skończyliśmy obiad i siedzieliśmy przy kawie, paląc papierosy.

- Mąż pani wyjechał już do Londynu?

- Tak, pociągiem o szóstej piętnaście.

- A na stację pojechał samochodem czy poszedł pieszo?

- Nie ma tu naszego samochodu. Wezwaliśmy jeden z Elmer's Dale, aby go zawiózł.

- Czy pan Pace zachowywał się tamtego wieczoru tak jak zwykle?

- Oczywiście, pod każdym względem.

- Czy mogłaby pani opisać gościa?

- Niestety nie. Nie widziałam go. Pani Middleton wprowadziła go prosto do tamtego saloniku, w którym trzymamy broń, a potem przyszła powiadomić wuja.

- Co powiedział wuj?

- Wydawał się trochę podenerwowany, ale poszedł od razu. Mniej więcej po pięciu minutach usłyszałam podniesione głosy. Wybiegłam na korytarz i omal nie zderzyłam się z panią Middleton. Wtedy usłyszałyśmy strzał. Drzwi od saloniku były zamknięte od środka na klucz, więc wybiegłyśmy na zewnątrz, w stronę okna. Zabrało nam to trochę czasu i oczywiście morderca zdołał już uciec. Biedny wuj - głos jej się załamał - otrzymał strzał prosto w głowę. Od razu wiedziałam, że nie żyje. Posłałam panią Middleton po policję, a sama starałam się

niczego w pokoju nie dotykać, zostawiłam wszystko tak, jak zastałam. Kiwnąłem głową na znak aprobaty.

- A skąd miał broń?

- No cóż, mogę jedynie przypuszczać, kapitanie Hastings. Na ścianie wisiała para rewolwerów męża. Po dokonaniu morderstwa jednego brakowało. Zwróciłam na to uwagę policji, a wtedy oni wzięli ze sobą drugi rewolwer. Kiedy wyjmą z ciała kulę, sądzę, że będą wiedzieli to na pewno.

- Czy mogę obejrzeć salonik?

- Oczywiście. Policja skończyła już tam oględziny. Ale ciało usunięto.

Kobieta poszła ze mną na miejsce zbrodni. Akurat wtedy do przedpokoju wszedł Havering, jego żona przeprosiła mnie krótko i pobiegła do niego. Zostałem sam, aby dalej prowadzić dochodzenie.

Równie dobrze mogę od razu wyznać, że to, co zobaczyłem, było raczej niezadowolające.

W powieściach kryminalnych śladów nie brakuje, tutaj jednak nie mogłem znaleźć niczego niezwykłego, z wyjątkiem olbrzymiej plamy krwi na dywanie, w miejscu, gdzie, jak sądziłem, upadł denat. Obejrzałem wszystko bardzo skrupulatnie i zrobiłem kilka zdjęć wnętrza pokoju małym aparatem, który przywiozłem ze sobą. Obejrzałem również ziemię pod oknem, ale była tak bardzo zdeptana, iż stwierdziłem, że szkoda marnować na to czas. Uznałem, że zobaczyłem wszystko, co Hunter's Lodge mogło mi pokazać, muszę więc wracać do Elmer's Dale i skontaktować się z Jappem. Pożegnałem przeto Hayeringów i odjechałem samochodem, który przywiózł nas wcześniej ze stacji.

Jappa znalazłem w Matlock Arms, zabrał mnie niezwłocznie, abym zobaczył ciało. Harrington Pace był niskim, szczupłym, gładko ogolonym mężczyzną o wyglądzie typowego Amerykanina. Strzelono mu w tył głowy z bliskiej odległości.

- Odwrócił się na chwilę - zauważył Japp - a facet złapał rewolwer i go zastrzelił. Ten, który przekazała nam pani Havering, jest załadowany, a przypuszczam, że i drugi też był. Dziwne, jakie głupie rzeczy ludzie robią. Co za pomysł, żeby powiesić na ścianie dwa naładowane rewolwery.

- Co pan sądzi o tej sprawie? - zapytałem, gdy już opuściliśmy to makabryczne miejsce.

- No cóż, po pierwsze, nie spuszczałbym oka z Haveringa. O, tak! - skwitował mój okrzyk zdumienia. - W jego przeszłości jest parę podejrzanych incydentów. Kiedy jeszcze jako chłopak uczył się w Oksfordzie, coś tam było nie tak z podpisem ojca na jednym z czeków. Oczywiście, wszystko zatuszowano. Poza tym ma duże długi, a nie są one tego rodzaju, by

kiedykolwiek odważył się prosić o pomoc wuja, choćby w obawie, aby ten nie zmienił testamentu. Tak, miałem go na oku i dlatego chciałem z nim mówić, zanim zobaczy się z żoną, ale ich zeznania całkowicie się pokrywają, byłem też na stacji i nie ma najmniejszych wątpliwości, że wyjechał do Londynu pociągiem o szóstej piętnaście. Tym, który tam przyjeżdża około wpół do jedenastej. Jak sam zeznaje, poszedł prosto do klubu i jeśli to potwierdzimy, nie mógł się tu pojawić o dziewiątej jako mężczyzna z czarną brodą, aby zastrzelić wuja.

- O, właśnie, miałem zapytać: co sądzi pan o tej brodzie?

Japp mrugnął porozumiewawczo.

- Myślę, że wyrosła bardzo szybko, w ciągu tych pięciu mil z Elmer's Dale do Hunter's Lodge. Amerykanie, których dotychczas spotkałem, są w większości gładko ogoleni. Tak, mordercy będziemy musieli poszukać wśród amerykańskich kolegów pana Pace. Najpierw wypytałem gosposię, a potem jej panią, ale ich zeznania są całkowicie zgodne, żałuję tylko, że pani Havering nie widziała gościa. To bystra kobieta i mogłaby zauważyć coś, co naprowadziłoby nas na trop.

Usiadłem i napisałem drobiazgowo i długie sprawozdanie dla Poirota. Zanim wysłałem list, zdołałem dodać liczne dalsze informacje.

Kulę wyciągnięto z ciała i okazało się, że została wystrzelona z rewolweru identycznego z tym, który zatrzymała policja. Co więcej, dokładnie sprawdzono, co robił pan Havering tamtego wieczoru, i ponad wszelką wątpliwość ustalono, że przyjechał do Londynu wspomnianym pociągiem. Po trzecie, doszło do sensacyjnego wydarzenia. Pewien dżentelmen mieszkający w Ealing, idąc rankiem przez Haven Green, aby się dostać do District Railway Station, zauważył zawinięty w szary papier pakunek wetknięty pomiędzy metalowe pręty płotu. Otworzywszy go, znalazł wewnątrz rewolwer. Paczkę odniósł na najbliższy posterunek policji i ostatecznie przed wieczorem okazało się, że właśnie owego rewolweru szukamy, pary od tego, który przekazała nam pani Havering. Brakowało w nim jednej kuli.

Wszystko to dołączyłem do swego sprawozdania. Telegram od Poirota nadszedł następnego ranka, akurat gdy jadłem śniadanie.

*Oczywiście mężczyzna z czarną brodą nie był Haveringiem jedynie ty i Japp mogliście wpaść na taki pomysł; opisz mi dokładnie gosposię; które z noszonych przez nią ubrań tamtego ranka były takie same, jakie miała na sobie pani Havering; nie trać czasu na robienie zdjęć wewnątrz, są niedoświetlone i zupełnie nieartystyczne.*

Styl Poirota wydał mi się zanadto niefrasobliwy. Sądziłem również, że przyjaciel był odrobinę zazdrosny o moją pozycję i możliwości pełnego kierowania tą sprawą. Jego prośba o opis ubrań noszonych przez obie kobiety wydała mi się wręcz śmieszna, ale zastosowałem się do niej, na tyle, na ile ja, zwykły mężczyzna, byłem w stanie to uczynić.

O jedenastej nadeszła odpowiedź od Poirota:

*Poradź Jappowi, aby aresztował gosposię, zanim będzie za i późno.*

Oniemiały pokazałem telegram Jappowi. Zaklął cicho pod nosem.

- Jeżeli monsieur Poirot tak mówi, coś w tym musi być. Prawie w ogóle nie zwróciłem uwagi na tę kobietę. Nie wiem, czy wolno mi ją aresztować, ale na pewno nie spuszczę jej z oka. Natychmiast tam pójdziemy i jeszcze raz jej się przyjrzymy.

Ale było za późno, pani Middleton, spokojna kobieta w średnim wieku, która sprawiała wrażenie takiej zwyczajnej i godnej szacunku, rozplynęła się w powietrzu. Został tylko kufer. Zawierał jedynie ubrania. Nie było w nim niczego, co wskazywałoby na jej tożsamość czy miejsce pobytu.

Z pani Havering wydobyliśmy wszystkie znane jej fakty:

- Zatrudniłam ją jakieś trzy tygodnie temu, gdy odeszła nasza poprzednia gosposia, pani Emery. Ta szukała pracy za pośrednictwem agencji pani Selbourne na Mount Street, a jest to wiarygodna instytucja. Całą służbę zatrudniłam dzięki ich pośrednictwu. Przyszli do mnie kilka kobiet, ale akurat pani Middleton wydała mi się najsympatyczniejsza, poza tym miała doskonale referencje. Z miejsca ją przyjąłem i powiadomiłam o tym agencję. Nie mogę uwierzyć, że coś z nią było nie tak. To taka miła, spokojna kobieta.

Wszystko to było bardzo tajemnicze. Oczywiście gosposia nie mogła popełnić zbrodni, bo w chwili gdy padł strzał, pani Havering była wraz z nią w przedpokoju, musiała jednak mieć jakieś powiązania z mordercą - w przeciwnym razie dlaczego tak nagle uciekła?

Doniosłem o tych wydarzeniach Poirotowi, sugerując, iż najlepszy w takiej sytuacji byłby powrót do Londynu i przeprowadzenie dochodzenia w agencji pani Selbourne.

Odpowiedź była natychmiastowa:

*Nie ma sensu dowiadywać się o nią w agencji; nigdy o niej nie słyszeli; sprawdź, jaki samochód przywiózł ją do Huntera Lodge po raz pierwszy.*

Choć mnie to zaskoczyło, zrobiłem, o co prosił. Środki transportu w Elmer's Dale były

ograniczone. Miejscowy garaż miał dwa zmaltretowane fordy, a na dworcu były również dwie dorożki. Tamtego dnia na żaden z pojazdów nie było zapotrzebowania. Zapytana, pani Havering wyjaśniła, że dała kobiecie wystarczająco dużo pieniędzy na opłacenie przejazdu do Derbyshire i wynajęcie samochodu lub dorożki, która zawiozłaby ją do Hunter's Lodge. Zazwyczaj jeden z fordów stał na stacji na wypadek, gdyby ktoś go potrzebował. Biorąc pod uwagę również fakt, że owego fatalnego wieczoru, kiedy dokonano zabójstwa, nikt na stacji nie zauważył przyjazdu kogokolwiek obcego, z brodą czy bez, wszystko wskazuje na to, że morderca przybył na miejsce samochodem, który czekał w pogotowiu, aby pomóc mu w ucieczce, i że ten sam samochód zabrał potem tajemniczą gosposię. Dodam jedynie, że dochodzenie we wspomnianej agencji w Londynie potwierdziło przypuszczenia Poirota. Żadna "pani Middleton" nigdy nie figurowała w ich rejestrach. Otrzymali od szanownej pani Havering prośbę w sprawie gosposi i wysłali tam kilka kandydatek. Pani Havering jednak, przesyłając opłatę za ich usługi, nie wspomniała, którą kobietę wybrała.

Nieco strapiiony wróciłem do Londynu. Zastałem Poirota siedzącego w fotelu przy kominku, w jaskrawym jedwabnym szlafroku. Przywitał mnie wylewnie.

- *Mon ami*, Hastings! Jak miło znów cię zobaczyć. Naprawdę mam do ciebie wiele przywiązania! Dobrze się bawiłeś? Razem z poczciwym Jappem nabiegaliście się tu i tam? Przesłuchiwaliście i badaliście do woli?

- Poirot - zawołałem - to jakaś mroczna tajemnica! Nigdy nie zostanie wyjaśniona.

- Z pewnością nie przysporzy nam ona chwały.

- W samej rzeczy. To twardy orzech do zgryzienia.

- Och, jeżeli o to chodzi, jestem bardzo dobry w gryzieniu orzechów. Prawdziwa ze mnie wiewiórka. Nie to mnie martwi. Wiem dobrze, kto zabił Harringtona Pace.

- Wiesz? Jak to odkryłeś?

- Dzięki twoim pouczającym odpowiedziom na moje telegramy. Tak, Hastings, spróbujmy przeanalizować fakty metodycznie i po kolei. Pan Harrington Pace posiada znaczny majątek, który bez wątpienia zapisuje w testamencie bratankowi. To punkt pierwszy. Powszechnie wiadomo, że bratanek jest kompletnie splukany. Punkt drugi. Wiadomo również, że bratankowi brakuje, że się tak wyrażę, kośćca moralnego. To punkt trzeci.

- Przecież okazało się, że Roger Havering pojechał prosto do Londynu.

- *Precisement*, skoro pan Havering opuścił Elmer's Dale o szóstej piętnaście, a pan Pace nie mógł zostać zabity przed jego odjazdem, chyba że doktor niewłaściwie określił godzinę zgonu, wnioskujemy stąd, że pan Havering nie zastrzelił wuja. Ale jest jeszcze pani Havering, Hastings.

- Niemożliwe! Gdy padł strzał, była z nią gosposia.

- Ach, tak, gosposia. Przecież zniknęła.

- Znajdziemy ją.

- Nie sądzę. Nie uważasz, Hastings, że z osobą gosposi łączy się coś szczególnie nieuchwytnego? Od razu mnie to uderzyło.

- Sądzę, że odegrała swoją rolę, a potem w porę się usunęła.

- A na czym polegała jej rola?

- Cóż, przypuszczalnie na wpuszczeniu współnika, mężczyzny z czarną brodą.

- Och, nie, nie taka była jej rola! Jej rola, o czym przed chwilą wspomniałeś, polegała na dostarczeniu alibi pani Havering w chwili, gdy padł strzał. I nikt jej nigdy nie znajdzie, *mon ami*, ponieważ ona nie istnieje! Nie ma kogoś takiego, jak mówi wasz wielki Szekspir.

- To był Dickens - wymamrotałem, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. - Ale co masz na myśli, Poirot?

- Co mam na myśli? Zoe Havering przed ślubem była aktorką, ty i Japp widzieliście gosposię jedynie w ciemnym przedpokoju, niewyraźną postać w średnim wieku, ubraną na czarno, mówiącą słabym przytłumionym głosem, i w końcu ani wy, ani miejscowa policja, którą sprowadziła gosposia, nikt z was nigdy nie widział pani Middleton i jej pracodawczyni razem. Dla tak bystrej i odważnej kobiety było to dziecinnie proste. Pod pretekstem wezwania pani biegnie na górę, szybko wkłada jaskrawy golf i kapelusz z dopiętą czarną kręconą peruką. Kilka zręcznych muśnięć twarzy i makijaż jest już usunięty, trochę różu i olśniewająca Zoe Havering schodzi na dół, witając przybyłych dźwięcznym głosem. Nikt szczególnie nie przygląda się gosposi. Bo i po co? Nic jej z morderstwem nie łączy. Ona również ma alibi.

- A rewolwer, który znaleziono w Ealing? Pani Havering nie mogła go tam zostawić.

- Nie, zrobił to Roger Havering i to był z ich strony błąd. Tym mnie naprowadzili na właściwy trop. Gdyby mężczyzna zabił ofiarę, strzelając z rewolweru, który tam znalazł, wyrzuciliby go od razu, nie wiozłby go ze sobą do Londynu. Nie, motyw tego działania był oczywisty, przestępcy chcieli skupić uwagę policji na miejscu znacznie oddalonym od Derbyshire, zależało im na jak najszybszym odciążeniu policji od Hunter's Lodge. Oczywiście, rewolwer znaleziony w Ealing nie był tym, z którego zastrzelono pana Pace. Roger Havering oddał z niego jeden strzał, zabrał go do Londynu, poszedł prosto do klubu, aby zapewnić sobie alibi, a potem szybko wyszedł i udał się pieszo do Ealing, co nie mogło mu zająć więcej niż dwadzieścia minut, zostawił paczkę i wrócił do miasta. Tymczasem jego żona, ta czarująca istota, po obiedzie spokojnie strzela do pana Pace, pamiętasz, że strzał padł z tyłu, prawda? To jeszcze jeden istotny szczegół! Ładuje rewolwer, kładzie go z powrotem na

miejsce i zaczyna grać swoją małą komedię.

- Niewiarygodne - wymamrotałem zafascynowany - ale...

- Ale prawdziwe. Bien sur, przyjacielu, prawdziwe. Choć oddanie tej wyjątkowej pary w ręce sprawiedliwości na pewno nie będzie łatwe. Cóż, Japp zrobi, co będzie mógł - dokładnie mu wszystko opisałem - ale bardzo się obawiam, Hastings, że będziemy zmuszeni pozostawić ich opatrzności czy *le bon Dieu*, jak wolisz.

- Występny się pysznił i rozpierał się jak cedr zielony<sup>2</sup> - zacytowałem.

- Ale do czasu, Hastings, do czasu, *croyez-moi!*

Złe przeczucia Poirota potwierdziły się. Japp, choć przekonany o słuszności jego teorii, nie był w stanie zebrać potrzebnych dowodów, aby skazać winnych.

Ogromny majątek pana Pace przeszedł w ręce jego morderców. Ale Nemezis ich dosięgła i gdy przeczytałem w gazecie, że wśród zabitych podczas wypadku samolotu lecącego do Paryża znajdowali się szanowni państwo Roger Havering wraz z małżonką, wiedziałem, że sprawiedliwości stało się zadość.

- Księga Psalmów 37,35; Biblia Tysiąclecia.

---

<sup>2</sup> Księga Psalmów 37,35; Biblia Tysiąclecia.



## Kradzież obligacji za milion dolarów

- Ileż jest teraz kradzieży obligacji! - zauważyłem pewnego ranka, odkładając na bok gazetę. - Poirot, zamiast wykrywać zbrodnie, zabierzmy się raczej do popełniania przestępstw!

- Czyżbyś chciał się zabawić w to, co wy nazywacie "jak się szybko wzbogacić", *mon ami*?

- No cóż, spójrz tylko na ostatni *coup*, obligacje warte milion dolarów, które Bank Londyński i Szkocki wysyłał do Nowego Jorku, w zadziwiający sposób zniknęły z pokładu Olimpi.

- Gdyby nie *mal de mer* i trudność, jaką sprawia mi ćwiczenie wspaniałej metody Laverguiera przez czas dłuższy niż kilka godzin potrzebnych do przekroczenia kanału La Manche, sam chętnie wybrałbym się w podróż jednym z tych wielkich liniowców - mruknął rozmarzony Poirot.

- O tak - odparłem zachwycony. - Niektóre z nich z pewnością przypominają prawdziwe pałace: kryte pływalnie, salony, restauracja, wspaniałe hole, doprawdy, aż trudno uwierzyć, że jest się na morzu.

- Jeżeli o mnie chodzi, zawsze wiem, gdy tam jestem - odrzekł smutno Poirot. - A wszystkie te drobiazgi, które wyliczyłeś, nic dla mnie nie znaczą; ale pomyśl, przyjacielu, ile złych duchów podróżuje tam incognito! Na pokładach takich pływających pałaców, jak je przed chwilą nazwałeś, można by spotkać elitę, *haute noblesse* kryminalnego świata!

Roześmiałem się.

- Więc to jest przyczyną twego zapału! Chciałbyś skrzyżować szpady z człowiekiem, który ukradł te obligacje.

Dalszą rozmowę przerwała nam gospodyni.

- Jakaś młoda dama chce się z panem widzieć, panie Poirot. Oto jej wizytówka.

Znajdował się na niej napis: Panna Esmee Farquhar, i Poirot, dawszy wcześniej nura pod stół, aby wydobyć stamtąd zabłąkane okruszki, po wrzuceniu ich do kosza na śmieci skinął na gospodynię, aby ją wprowadziła.

W następnej chwili jedna z najbardziej czarujących młodych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, weszła do pokoju. Miała około dwudziestu pięciu lat, duże brązowe oczy i doskonałą figurę. Była dobrze ubrana i miała nienaganne maniery.

- Zechce pani usiąść, mademoiselle. To mój przyjaciel, kapitan Hastings, który pomaga mi w rozwiązywaniu tych małych problemów, jakimi się zajmuję.

- Obawiam się, monsieur Poirot, że problem, który mnie do pana sprowadza, jest ogromny - odparła dziewczyna, kłaniając mi się uprzejmie, zanim usiadła. - Przypuszczam, że czytaliście panowie o tym w gazetach. Mówię o kradzieży obligacji ze statku Olimpia. - Zdumienie musiało się odbić na twarzy Poirota, gdyż dodała szybko: - Bez wątpienia zadaje pan sobie pytanie, co mnie łączy z tak poważną instytucją jak Bank Londyński i Szkocki. W pewnym sensie nic, w innym bardzo wiele. Rozumie pan, monsieur Poirot, jestem zaręczona z Filipem Ridgewayem.

- Aha! A Filip Ridgeway...

- Był odpowiedzialny za obligacje, kiedy je skradziono. Oczywiście, nie można mu przypisać żadnej winy za to, co się stało, niczego nie można mu zarzucić. Bardzo się jednak tą sprawą dręczy, a wiem, że jego wuj utrzymuje, iż siostrzeniec musiał nierozważnie komuś o nich wspomnieć. Fatalnie wpłynie to na jego karierę.

- Kim jest wuj?

- To pan Vavasour, jeden z dyrektorów generalnych Banku Londyńskiego i Szkockiego.

- Panno Farquhar, czy zechce mi pani opowiedzieć dokładnie tę historię?

- Proszę bardzo. Jak pan wie, bank pragnął udzielać kredytów również w Ameryce i w tym celu postanowił tam wysłać obligacje za ponad milion dolarów. Pan Vavasour wyznaczył siostrzeńca, który od lat cieszył się w banku zaufaniem i posiadał gruntowną znajomość spraw prowadzonych w Nowym Jorku, aby odbył tę podróż. Olimpia wypływała z Liverpoolu dwudziestego trzeciego, rankiem tamtego dnia pan Vavasour i pan Shaw, dwaj dyrektorzy generalni Banku Londyńskiego i Szkockiego, wręczyli Filipowi obligacje. W jego obecności zostały one przeliczone, zapakowane w paczkę i zaplombowane, po czym on sam zamknął pakunek w swojej walizie.

- Czy waliza miała zwykły zamek?

- Nie, pan Shaw nalegał, aby Hubbs zamontował specjalny zamek. Jak już wspomniałam, Filip umieścił pakunek na spodzie kufra. Paczkę skradziono na kilka godzin przed zawinięciem Olimpii do Nowego Jorku. Bardzo dokładnie przeszukano cały statek, ale bez powodzenia. Obligacje dosłownie rozplynęły się w powietrzu.

Na twarzy Poirota pojawił się grymas.

- Chyba jednak nie całkiem, skoro sprzedano je w małych partiach w ciągu pół godziny po wejściu Olimpii do portu! No cóż, bez wątpienia będę się musiał zobaczyć z panem Ridgewayem.

- Właśnie miałam panom zaproponować wspólny lunch w Cheshire Cheese. Będzie tam

Filip. Umówiliśmy się na spotkanie, choć jeszcze nie wie, iż w jego imieniu zasięgam porady panów.

Całkiem chętnie zgodziliśmy się na tę propozycję; pojechaliliśmy tam taksówką.

Filip Ridgeway był tam przed nami i wyglądał na nieco zdziwionego, gdy jego narzeczona przyjechała w towarzystwie dwóch nieznanomych. Był przystojnym młodym człowiekiem, wysokim i eleganckim, nieco posiwiałym na skroniach, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

Panna Farquhar podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wybacz, Filipie, że poczyniłam pewne kroki bez porozumienia z tobą - powiedziała. - Pozwól, że ci przedstawię pana Herkulesa Poirot, o którym z pewnością wiele słyszałeś, i jego przyjaciela kapitana Hastingsa.

Ridgeway wyglądał na bardzo zdziwionego.

- Oczywiście, że słyszałem o panu, monsieur Poirot - powiedział, gdy wymieniali uściski dłoni. - Ale nie miałem pojęcia, że Esmee myślała o zasięgnięciu pańskiej opinii w sprawie moich... naszych kłopotów.

- Obawiałam się, Filipie, że mi na to nie pozwolisz - powiedziała potulnie panna Farquhar.

- Wzięłaś więc sprawy w swoje ręce - zauważył z uśmiechem. - Mam nadzieję, że monsieur Poirot zdoła wyjaśnić choćby po części tę niezwykle zagadkę, ponieważ ja, gdy o tym myślę, niemal odchodzę od zmysłów ze zmartwienia i niepokoju.

Rzeczywiście twarz miał wymizerowaną i zabiedzoną i aż za dobrze było na niej widać napięcie, z jakim się borykał.

- Dobrze, już dobrze - powiedział Poirot. - Zjedźmy teraz, a po lunchu zastanowimy się wspólnie, co robić dalej. Chciałbym, aby pan Ridgeway sam mi opowiedział tę historię.

Jedliśmy ze smakiem wysmienity stek i cynaderki, Filip Ridgeway opowiadał, w jakich to okolicznościach zniknęły obligacje. Jego wersja zgadzała się co do joty z wersją panny Farquhar. Gdy skończył, Poirot zapytał znowu:

- Kiedy dokładnie odkrył pan, że obligacje zniknęły, panie Ridgeway?

Ten zaśmiał się gorzko.

- Od razu rzuciło mi się to w oczy, monsieur Poirot. Nie mogłem tego nie zauważyć. Kufer w mojej kajucie był na wpół wyciągnięty spod koi, cały porysowany i pocięty w miejscach, gdzie próbowano wyważyć zamek.

- Ale, jeśli dobrze zrozumiałem, otworzono go za pomocą klucza?

- Właśnie tak. Próbowali wyłamać zamek, ale im się to nie udało. W końcu jakoś go

otworzyli.

- Ciekawe - odparł Poirot, a jego oczy zaczęły migotać zielonkawym światłem, które tak dobrze znałem. - Niezwykle ciekawe! Tracą bardzo, bardzo wiele czasu, aby wyważyć zamek, aż wtem, *sapristi!* Okazuje się, że przez cały czas mają klucz, pomimo że każdy z zamków Hubbsa jest unikalny.

- Właśnie dlatego nie mogli mieć klucza. Miałem go cały czas przy sobie.

- Jest pan tego pewien?

- Mogę przysiąc. A poza tym, gdyby mieli klucz albo jego duplikat, po co traciliby czas, próbując wyważyć zamek, którego wyważyć się nie da?

- Ach! To samo pytanie i my sobie zadajemy! Nieśmiało muszę przyznać, że rozwiązanie, o ile je znajdziemy, jest całkowicie uzależnione od tego faktu. Proszę łaskawie odpowiedzieć mi na jeszcze jedno pytanie: czy jest pan całkowicie pewien, że zamknął pan kufer na klucz?

Filip Ridgeway spojrzał jedynie na niego, a Poirot zaczął gestykulować przepaszająco.

- Cóż, takie rzeczy się zdarzają, zapewniam pana! A zatem z kufra skradziono obligacje. Co złodziej z nimi zrobił? Jak zdołał wyjść z nimi na brzeg?

- Ach! - zawołał Ridgeway. - Właśnie o to chodzi. Jak? Poinformowano o tym władze departamentu ceł i każdy bez wyjątku, kto opuszczał statek, był drobiazgowo sprawdzany!

- A obligacje, jak przypuszczam, stanowiły pokaźny pakunek?

- O tak. Z trudem można by je schować na pokładzie i o ile wiemy, nie zostały tam schowane, gdyż w niecałe pół godziny po przyplłynięciu Olimpii wystawiono je na sprzedaż, na długo wcześniej, niż telegraficznie przesłano mi ich numery. Pewien makler zaklina się, że kupił kilka, zanim jeszcze Olimpia zawinęła do portu. Ale przecież nie można przesłać obligacji telegraficznie.

- Telegraficznie nie. Ale czy pojawił się w pobliżu jakiś holownik?

- Jedynie te, które miały prawo tam być, a i to dopiero po ogłoszeniu alarmu, gdy wszyscy pilnie się rozglądali. Sam bardzo uważałem, aby ich w ten sposób nie przekazano. Mój Boże, Poirot, ta sprawa doprowadza mnie do szału! Ludzie zaczynają mówić, że sam je ukradłem.

- Ale i pana przeszukano, gdy zszedł pan ze statku, czyż nie tak? - cicho zapytał Poirot.

-Tak.

Młody mężczyzna, zaintrygowany, zaczął się w niego wpatrywać.

- Widzę, że jeszcze mnie pan nie rozumie - powiedział Poirot, uśmiechając się zagadkowo. - A teraz chciałbym zasięgnąć kilku informacji w banku.

Ridgeway wyjął wizytówkę i nabazgrał na niej parę słów.

- Proszę to przesłać wujowi, a on natychmiast pana przyjmie.

Poirot podziękował mu, pożegnał pannę Farquhar i razem wyruszyliśmy na Threadneedle Street, do siedziby głównej Banku Londyńskiego i Szkockiego. Gdy pokazaliśmy wizytówkę Ridgewaya, poprowadzono nas przez labirynt kantorów i biur, tak że okrążając wpłacających i wypłacających pieniądze urzędników, dotarliśmy do małego biura na pierwszym piętrze, gdzie przyjęli nas główni dyrektorzy. Byli to dwaj poważni dżentelmeni, którzy posiwiali w służbie banku. Pan Vavasour miał krótką białą brodę, pan Shaw był gładko ogolony.

- Jak rozumiem, jest pan wyłącznie prywatnym detektywem - stwierdził pan Vavasour.

- No właśnie, właśnie. My, oczywiście, oddaliśmy się w ręce Scotland Yardu. Inspektor McNeil prowadzi tę sprawę. To bardzo zdolny policjant, jak sądzę.

- Z pewnością - uprzejmie odrzekł Poirot. - Pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań w sprawie siostrzeńca. Jeżeli chodzi o ten zamek, kto go zamówił u Hubbsa?

- Sam go zamówiłem - odparł pan Shaw. - W tej sprawie nie zaufałbym żadnemu urzędnikowi. A co do kluczy, jeden miał pan Ridgeway, a pozostałe dwa były w posiadaniu mego kolegi i moim.

- I żaden urzędnik nie miał do nich dostępu?

Pan Shaw pytająco spojrział na pana Vavasoura.

- Sądzę, że nie minę się z prawdą, stwierdzając, iż od dwudziestego trzeciego były zamknięte w sejfie - powiedział pan Vavasour. - Niestety, dwa tygodnie temu mój kolega zachorował, właściwie tego samego dnia, gdy Filip wyjechał. I dopiero co wyzdrowiał.

- Ostre zapalenie oskrzeli to nie żarty dla człowieka w moim wieku - ze smutkiem zauważył pan Shaw. - Obawiam się jednak, że zdrowie pana Vavasoura znacznie ucierpiało z powodu ciężkiej pracy spowodowanej moją nieobecnością, szczególnie gdy doszło to niespodziewane zmartwienie.

Poirot zadał jeszcze kilka pytań. Sądziłem, że próbował w ten sposób określić, jak bliskie stosunki łączyły wuja z siostrzeńcem. Odpowiedzi pana Vavasoura były krótkie i zwięzłe. Jego siostrzeniec był godnym zaufania pracownikiem, nie miał długów ani innych problemów finansowych, o których by wuj wiedział. W przeszłości powierzano mu już podobne misje. W końcu pożegnaliśmy się uprzejmie.

- Jestem zawiedziony - stwierdził Poirot, gdy wyszliśmy na ulicę.

- Spodziewałeś się dowiedzieć więcej? To tacy konwencjonalni starsi panowie.

- To nie ich konwencjonalność powoduje, że czuję się zawiedziony. Nie spodziewałem

się znaleźć w dyrektorze banku “przenikliwego finansisty o sokolim wzroku”, jak by to ujęto w twoich ulubionych utworach z zakresu beletrystyki. Nie, jestem zawiedziony tą sprawą, jest zbyt łatwa!

- Zbyt łatwa?

- Tak, czy nie uważasz, że jest wręcz dziecinnie prosta?

- Wiesz zatem, kto ukradł obligacje?

-Tak.

- W takim razie... musimy... dlaczego...

- Nie denerwuj się, Hastings. Na razie nic nie zrobimy.

- Ale dlaczego? Na co jeszcze czekasz?

- Na Olimpie. Powinna wrócić z Nowego Jorku we wtorek.

- Ale skoro wiesz, kto ukradł obligacje, po co czekać? W tym czasie złodziej może uciec.

- Na jakąś wyspę na Morzu Południowym, skąd niemożliwa jest ekstradycja? Nie, *mon ami*, tam jego życie byłoby bardzo nieprzyjemne. A jeżeli chodzi o to, dlaczego czekam, *eh bien*, dla Herkulesa Poirota, z uwagi na jego inteligencję, sprawa jest zupełnie jasna, ale biorąc pod uwagę innych, którym dobry Bóg nie dał tak wiele talentu, na przykład inspektora McNeila, dobrze by było zasięgnąć jeszcze informacji, aby ustalić pewne fakty. Trzeba mieć wzgląd na tych, którzy są mniej utalentowani od nas.

- Dobry Boże, Poirot! Wiesz, że dałbym znaczną sumę pieniędzy, żeby zobaczyć, jak choć raz robisz z siebie głupca. Jesteś tak piekielnie zarozumiały!

- Nie wściekaj się, Hastings. Prawdę mówiąc, zauważyłem, że czasami omal mnie nienawidzisz! Niestety, cierpię z powodu wielkości!

Mówiąc to, mój niewysoki przyjaciel wypiął do przodu pierś i westchnął w sposób tak komiczny, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Wtorek zastał nas w przedziale pierwszej klasy pociągu L i NWR pędzącego do Liverpoolu. Poirot uporczywie odmawiał zapoznania mnie ze swoimi podejrzeniami, czy też niezbitymi dowodami. Zadowolił się wyrażeniem zdziwienia, że ja również byłem nie w pełni *au fait* z tą sytuacją. Nie chciałem się sprzeczać, więc swoją ciekawość ukryłem za pozorną obojętnością.

Gdy tylko dotarliśmy do nabrzeża, przy którym zacumował wielki transatlantycki liniowiec, Poirot stał się ożywiony i czujny. Nasze poczynania polegały na przeprowadzeniu rozmowy z czterema kolejnymi stewardami i wypytaniu ich o przyjaciela Poirota, który wypłynął do Nowego Jorku dwudziestego trzeciego.

- Dżentelmen w podeszłym wieku, noszący okulary. Inwalida, prawie że nie opuszczający kajuty.

Opis wydawał się pasować do pana Ventnora, który zajmował kajutę C 24, obok Filipa Ridgeway. Choć nie mogłem pojąć, w jaki sposób Poirot wydedukował, że pan Ventnor istniał i jak wyglądał, byłem niezmiernie podekscytowany.

- Niech mi pan powie - zawołałem - czy ten dżentelmen był jednym z pierwszych, który opuścił statek w Nowym Jorku?

Steward przecząco pokręcił głową.

- Ależ nie, proszę pana, zszedł na ląd jako jeden z ostatnich.

Strapiony usunąłem się na bok, ale zauważyłem, jak Poirot uśmiecha się do mnie szeroko. Podziękował stewardowi, banknot przeszedł z rąk do rąk i wyszliśmy.

- No tak - powiedziałem z zapalem - ale ta ostatnia odpowiedź zniweczyła twoją cenną teorię, teraz możesz się śmiać, jeśli chcesz!

- Jak zwykle niczego nie pojmujesz, Hastings. Wręcz przeciwnie, ostatnia odpowiedź całkowicie ją potwierdza. Zdesperowany wzniosłem ręce do nieba.

- Poddaję się.

Gdy byliśmy już w pociągu pędzącym do Londynu, Poirot pisał z zapalem przez kilka minut, po czym rezultat swojej pracy zakleił w kopercie.

- To dla pocziwego inspektora McNeila. List zostawimy w Scotland Yardzie, gdy będziemy po drodze go mijać, a potem do restauracji Rendez-vous, poprosiłem bowiem pannę Esmee Farquhar, aby uczyniła nam ten zaszczyt i zjadła tam z nami obiad.

- A co z Ridgewayem?

- Co z nim? - zapytał Poirot z błyskiem w oku.

- Jak to, chyba nie sądzisz... nie możesz...

- Stajesz się coraz bardziej chaotyczny, Hastings. Właściwie myślałem o tym. Gdyby to Ridgeway był złodziejem, co zupełnie prawdopodobne, sprawa byłaby zachwycająca; taka czysta metodycznie praca.

- Ale nie byłoby to aż tak zachwycające dla panny Farquhar.

- Chyba masz rację. Dlatego wszystko jest na jak najlepszej drodze. A teraz, Hastings, jeszcze raz rozpatrzmy całą sprawę. Widzę, że nie możesz się tego doczekać. Zaplombowany pakunek po wyjęciu z kufra rozplywa się, jak to ujęła panna Farquhar, w powietrzu. My jednak porzucimy teorię o rozplynięciu się w powietrzu jako niewykonalną przy obecnym stanie nauki i rozważymy, co się mogło z nim stać. Wszyscy zapewnniają, że nie sposób go było przemycić

na ład...

- Tak, ale przecież wiemy...

- Ty być może to wiesz, ja nie. Jestem zdania, iż skoro coś wydaje się niemożliwe, takim też w rzeczywistości jest. Pozostają dwie możliwości: albo ukryto go na pokładzie, co byłoby bardzo trudne, albo wyrzucono za burtę.

- Z przymocowanym do niego korkiem?

- Bez korka.

Wytrzeszczyłem ze zdumienia oczy.

- Ale gdyby obligacje wyrzucono za burtę, nie można byłoby ich sprzedać w Nowym Jorku.

- Podziwiam logikę twego rozumowania, Hastings. Obligacje sprzedano w Nowym Jorku, dlatego z pewnością nie wyrzucono ich za burtę. Rozumiesz, do czego nas to prowadzi?

- Do punktu, od którego zaczęliśmy wywód.

- *Jamais de la vie!* Jeżeli pakunek wyrzucono za burtę, a obligacje sprzedano w Nowym Jorku, pakunek nie mógł zawierać obligacji. Czy jest jakiś dowód na to, iż rzeczywiście były w nim obligacje? Nie zapominaj, że pan Ridgeway nie otwierał go od czasu, gdy mu go wręczono w Londynie.

- Tak, ale w takim razie...

Poirot zniecierpliwiony machnął ręką.

- Pozwól, że dokończę. Po raz ostatni widziano obligacje w biurze Banku Londyńskiego i Szkockiego rankiem dwudziestego trzeciego. W Nowym Jorku pojawiły się w pół godziny po przyplłynięciu Olimpii, a pewien człowiek, którego nikt nie słucha, twierdzi nawet, że zanim wpłynęła do portu. Przypuśćmy więc, że w ogóle ich nie było na Olimpii. Czy mogły dotrzeć do Nowego Jorku w inny sposób? Ależ tak. Gigantic wypływa z Southampton tego samego dnia co Olimpia, ale płynie przez Atlantyk szybciej. Przewożone Gigantikiem, obligacje byłyby w Nowym Jorku dzień wcześniej. I tu sprawa zaczyna wyjaśniać się sama. Zaplombowany pakunek jest jedynie atrapą, a zamiany musiano dokonać jeszcze w biurze banku. Żaden z trzech obecnych tam mężczyzn nie miałby trudności z przygotowaniem dodatkowej paczki i podłożeniem jej zamiast prawdziwej. *Tres bien*, obligacje wysłano wspólnikowi w Nowym Jorku, z instrukcją, aby je sprzedał, gdy tylko Olimpia będzie w porcie, ale ktoś musi płynąć Olimpia, aby dokonać rzekomej kradzieży.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ Ridgeway po otworzeniu pakunku stwierdziłby, że to atrapa, i podejrzania natychmiast zostałyby skierowane do Londynu. Nie, mężczyzna z sąsiedniej kajuty na statku



wykonuje swoje zadanie, udaje, że wyważa zamek, aby zasugerować rabunek, a naprawdę otwiera kufer zapasowym kluczem, wyrzuca paczkę za burtę i jako ostatni opuszcza statek. Oczywiście, nosi okulary, aby ukryć oczy, i jest inwalidą, gdyż nie chce ryzykować spotkania z Ridgewayem. Wychodzi na brzeg w Nowym Jorku i wraca z powrotem pierwszym statkiem.

- Ale kto... kim on jest?

- To człowiek, który miał zapasowy klucz, człowiek, który zamówił zamek, człowiek, który tak naprawdę nie był ciężko chory na zapalenie oskrzeli, *enfin* to “konwencjonalny” staruszek, pan Shaw! Czasami, przyjacielu, można spotkać przestępców i na wysokich stanowiskach. Ach, tutaj, mademoiselle, odniosłem sukces! Pozwoli pani?

I rozpromieniony Poirot lekko pocałował zdumioną dziewczynę w oba policzki!

## Tajemnica egipskiego grobowca

Zawsze uważałem, że jedną z najbardziej ekscytujących i dramatycznych przygód, w jakich wraz z Poirotem brałem udział, była ta, gdy prowadziliśmy śledztwo w sprawie łańcucha tajemniczych zgonów, które nastąpiły po odkryciu i otwarciu grobowca faraona Men-her-Ra.

Tuż po tym, gdy lord Carnarvon odkrył grobowiec Tutanchamona, sir John Willard i pan Bleibner z Nowego Jorku, prowadząc wykopaliska niedaleko Kairu, w pobliżu piramid w Gizie, nieoczekiwanie natrafili na ciąg komnat grzebalnych. Odkrycie to wzbudziło olbrzymie zainteresowanie. Okazało się bowiem, że jest to grobowiec faraona Men-her-Ra, jednego z tych tajemniczych władców Ósmej Dynastii, kiedy to Stare Państwo chyliło się ku upadkowi. Niewiele wiedziano o tym okresie, toteż odkrycie było szeroko opisywane w gazetach.

Wkrótce jednak doszło do wydarzenia, które całkowicie odwróciło uwagę opinii publicznej. Sir John Willard niespodziewanie umarł na atak serca.

Te z gazet, które nastawione były na sensację, natychmiast skorzystały ze sposobności, aby przypomnieć wszystkie przesyczone przesadami historie, mówiące o nieszczęściu, jakie towarzyszyło pewnym egipskim skarbow. Stara jak świat historia o pechowej mumii z Muzeum Brytyjskiego znowu nabrała pikanterii, i choć zaprzeczyło temu Muzeum, historia cieszyła się niesłabnącym powodzeniem.

Dwa tygodnie później umarł na ostrą posocznicę pan Bleibner, a po kilku dniach jego bratanek zastrzelił się w Nowym Jorku. "Klątwa Men-her-Ra" stała się głównym tematem, a magiczna siła dawno minionego Egiptu osiągnęła punkt kulminacyjny.

W tym czasie Poirot otrzymał krótki list od lady Willard, wdowy po zmarłym archeologu, w którym prosiła go o wizytę w jej domu przy Kensington Square. Poszedłem tam wraz z nim.

Lady Willard była wysoką, szczupłą kobietą, ubraną w żałobę. Jej wymizerowana twarz stanowiła wymowne świadectwo przeżytego ostatnio smutku.

- Jakże miło z pańskiej strony, że przybył pan tak szybko, monsieur Poirot.
- Jestem do pani usług, lady Willard. Chciała pani zasięgnąć mojej rady?
- Jest pan, o ile mi wiadomo, detektywem, ale nie tylko dlatego chciałam się z panem widzieć. Jest pan również człowiekiem o niecodziennych poglądach, jak wiem, ma pan wyobraźnię i bogate doświadczenie; proszę mi powiedzieć, monsieur Poirot: co pan sądzi o zjawiskach nadprzyrodzonych?

Poirot wahał się przez chwilę, nim udzielił odpowiedzi. Wyglądał tak, jakby się nad

czymś zastanawiał. W końcu odparł:

- Chciałbym, abyśmy się dobrze zrozumieli, lady Willard. Pytanie, które mi właśnie pani zadała, nie jest pytaniem ogólnym. Ma ono osobisty kontekst; czyż nie tak? Odwołuje się w nim pani pośrednio do śmierci swego świętej pamięci męża?

- Istotnie - przyznała.

- Czy chce pani, abym zbadał, w jakich okolicznościach doszło do jego śmierci?

- Chcę, aby pan dokładnie ustalił, ile w tym, o czym piszą gazety, jest pustego gadania, a ile może być prawdą. Trzy zgony, monsieur Poirot, każdy z osobna można łatwo wytłumaczyć, ale razem wzięte stanowią wręcz niewiarygodny zbieg okoliczności, a wszystko to w niecały miesiąc po otwarciu grobowca! Możliwe, że to jedynie przesąd, ale niewykluczone również, że jakaś potężna klątwa rzucona w przeszłości działa w sposób, o jakim współczesnej nauce nawet się nie śni. Pozostaje niezbity fakt: trzy zgony! Dlatego niepokoję się, monsieur Poirot, bardzo się niepokoję. To może jeszcze nie koniec.

- O kogo się pani niepokoi?

- O mego syna. Kiedy dotarły do mnie wieści o śmierci męża, byłam chora. Syn, wróciwszy akurat z Oksfordu, pojechał tam. Przywiózł... zwłoki do domu, ale teraz wyjechał znowu, pomimo moich zaklęć i usilnych próśb. Jest tak zafascynowany tym, co tam zobaczył, że zamierza zastąpić ojca w prowadzeniu wykopalisk. Być może sądzi pan, że jestem głupią, łatwowierną kobietą, ale, monsieur Poirot, naprawdę się niepokoję. A jeśli duch faraona nie nasycił się jeszcze śmiercią? Może pańskim zdaniem mówię od rzeczy...

- Ależ nie, lady Willard - odparł szybko Poirot. - Ja również wierzę w siłę przesądów, jedną z największych sił, jakie zna świat.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Nigdy bym nie uwierzył, że Poirot jest przesądny. Ale mój przyjaciel najwyraźniej mówił serio.

- Tym, czego się pani naprawdę domaga, jest, abym chronił pani syna. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie stała mu się krzywda.

- Istotnie, ale tu nie chodzi o zwykłe niebezpieczeństwo, lecz o siły tajemne.

- W średniowiecznych księgach, lady Willard, znajdzie pani wiele sposobów na przeciwdziałanie czarnej magii. Być może wiedziano wtedy więcej niż dziś, chociaż tak bardzo szcycimy się rozwojem nauki. A teraz przejdźmy do faktów, które mogą mieć znaczenie. Mąż pani zawsze był zapalonym egiptologiem, nieprawdaż?

- Tak, od czasów młodości. Był jednym z największych, pośród żyjących, autorytetów w tej dziedzinie.

- Ale pan Bleibner, jak rozumiem, był tylko amatorem?

- O, tak. Był bardzo bogatym człowiekiem, który zajmował się w formie hobby każdym tematem, jaki przypadł mu do gustu. Mąż zdołał go zainteresować egiptologią i ta ekspedycja w znacznym stopniu była finansowana przez pana Bleibnera.

- A bratanek? Co pani wie o jego upodobaniach? Czy też był członkiem wyprawy?

- Nie sędzę. Właściwie w ogóle nie wiedziałam, że istnieje, dopóki nie przeczytałam w gazecie o jego śmierci. Przypuszczam, że on i pan Bleibner nie byli ze sobą w bliskich stosunkach. Nigdy nie wspominał, że ma jakichś krewnych.

- Kim są pozostali członkowie wyprawy?

- Otóż jest tam doktor Tosswill, niższy rangą urzędnik związany z Muzeum Brytyjskim; pan Schneider z Metropolitan Museum w Nowym Jorku; młody Amerykanin, sekretarz; doktor Ames, który jest lekarzem wyprawy, i Hasan, oddany sługa męża.

- Czy pamięta pani nazwisko tego Amerykanina, sekretarza?

- Chyba Harper, ale nie jestem pewna. O ile wiem, od niedawna pracuje u pana Bleibnera. Bardzo miły młodzieniec.

- Dziękuję, lady Willard.

- Czy coś jeszcze...

- Na razie nic. Proszę się zdać na mnie i pamiętać, że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby ochronić pani syna.

Słowa te nie mogły w pełni uspokoić lady Willard, zauważyłem nawet, jak się skrzywiła, gdy je wypowiadał. Niemniej sam fakt, że nie wyśmiał jej obaw, mógł stanowić dla niej pewną ulgę.

Jeżeli o mnie chodzi, nigdy wcześniej nie podejrzewałem, że Poirot jest taki przesądny. Zagadnałem go o to, gdy wracaliśmy do domu. Odpowiedział mi zupełnie poważnie.

- Ależ tak, Hastings. Wierzę w to. Nie wolno nie doceniać siły przesądów.

- Co teraz zrobimy?

- *Toujours pratique* wystarczy, Hastings! Na początek zdepesujemy do Nowego Jorku, aby dowiedzieć się czegoś więcej o okolicznościach śmierci młodego Bleibnera.

Zgodnie z planem wysłał telegram. Nadeszła wyczerpująca odpowiedź. Młody Rupert Bleibner od kilku lat był w poważnych tarapatkach finansowych. Przez jakiś czas utrzymywał się z tego, co ocean wyrzuci na brzeg. Był też na kilku wyspach Morza Południowego i wtedy otrzymywał pieniądze przekazami pocztowymi. Ale przed dwoma laty wrócił do Nowego Jorku i zaczął pograżać się coraz bardziej. Według mnie najważniejszy jest fakt, że ostatnio zdołał pożyczyć wystarczająco dużo pieniędzy, aby wyjechać do Egiptu. "Mam tam dobrego przyjaciela, od którego mogę sporo pożyczyć" - oznajmił. Tu jednak jego plany zupełnie się nie

powiodły. Wrócił do Nowego Jorku, przeklinając skąpstwo wuja, który bardziej dbał o szczątki dawno zmarłych faraonów niż o własną rodzinę. Akurat w trakcie jego pobytu w Egipcie zmarł sir John Willard. W Nowym Jorku Rupert powrócił do próżniaczego życia, po czym niespodziewanie popełnił samobójstwo, zostawiając po sobie list, który zawierał kilka dziwnych zwrotów. Można było odnieść wrażenie, że został napisany pod wpływem nagłych wyrzutów sumienia. Mówił tam o sobie jako o trędowatym i wyrzutku, a zakończył list stwierdzeniem, że w takiej sytuacji lepiej byłoby dla niego, gdyby nie żył.

Niewyraźna teoria zarysowała mi się w mózgu. Nigdy naprawdę nie wierzyłem w zemstę dawno zmarłego faraona. Dostrzegłem w tym bardziej nowożytną zbrodnię. Przypuśćmy, że młody człowiek postanowił pozbyć się wuja, najlepiej za pomocą trucizny. Przez pomyłkę tę śmiertelną dawkę przyjmuje sir John Willard. Młody człowiek wraca do Nowego Jorku, nie mogąc zaznać spokoju z powodu popełnionej zbrodni. Dociera do niego wiadomość o śmierci wuja. Wtedy uświadamia sobie, jak bezcelowa była jego zbrodnia, i ogarnięty wyrzutami sumienia odbiera sobie życie.

Przedstawiłem Poirotowi w zarysie moją wersję. Zainteresowało go to.

- Pomysłowe, naprawdę pomysłowe. Być może to nawet prawda. Ale nie bierzesz tu pod uwagę zgubnego działania grobowca.

Wzruszyłem ramionami.

- Nadal uważasz, że ma z tym coś wspólnego?

- Aż tak wiele, *mon ami*, że jutro wyruszamy do Egiptu.

- Co? - zawołałem zdumiony.

- To, co słyszałeś. - Twarz Poirota przybrała wyraz świadomego heroizmu. Po czym jęknął. - Och - zaczął biadać - ale morze, to okropne morze!

Tydzień później mieliśmy pod stopami złoty piasek pustyni. Słońce prażyło niemilosiernie. Poirot, teraz obraz nędzy i rozpacz, włókł się u mego boku. Mój przyjaciel nie był okazem podróżnika. Czterodniowy rejs statkiem z Marsylii stanowił dla niego niekończące się pasmo udręk. Gdy wyszedł na brzeg w Aleksandrii, był cieniem człowieka, przestał nawet przywiązywać tak wielką jak zazwyczaj wagę do swego wyglądu. Przyjechaliśmy do Kairu i natychmiast udaliśmy się do hotelu Mena House, położonego w pobliżu piramid.

Egipt mnie zauroczył. Ale nie Poirota. Ubrany dokładnie tak samo jak w Londynie, stale nosił w kieszeni malutką szczoteczkę do ubrań i toczył nieustającą wojnę z kurzem, który gromadził się na jego odzieży.

- Ach, moje buty! - jęknął. - Spójrz tylko na nie, Hastings. Moje buty z najlepiej

wyprawionej skóry, zazwyczaj takie eleganckie i błyszczące. Teraz piasek znajduje się i wewnątrz nich, co sprawia ból, i na zewnątrz, co stanowi doprawdy odpychający widok. A poza tym ten upał powoduje, że wąsy mi obwisły, ależ tak, obwisły!

- Popatrz na Sfinksa - nalegałem. - Nawet ja odczuwam tę tajemnicę i urok, jakie roztacza.

Poirot przyjrzał mu się niezadowolony.

- Nie wygląda na szczęśliwego - oznajmił. - Jak mógłby być, skoro do połowy jest tak niechlujnie zasypany piaskiem!

- Przecież i w Belgii jest mnóstwo piasku - odrzekłem pomny wakacji, jakie spędziłem w Knocke-sur-mer, pośród *les dunes impeccables*, jak określono to w przewodniku.

- Ale nie w Brukseli - oznajmił Poirot. Przez czas jakiś wpatrywał się w zamyśleniu w piramidy. - To prawda, że mają czyste geometrycznie kształty, ale ich nierówna powierzchnia jest zupełnie pozbawiona uroku. I nie podobają mi się te palmy. Nie są nawet równo posadzone!

Przerwałem jego bładania, proponując, abyśmy wyruszyli do obozu. Mieliśmy się tam udać na wielbłądach i zwierzęta, pod opieką kilku barwnie wyglądających chłopców prowadzonych przez dobrego przewodnika, cierpliwie już klęczały, czekając, aż ich dosiądziemy.

Milczeniem pomijam obraz, jaki przedstawiał Poirot siedzący na wielbłądzie. Rozpoczął od jęków i lamentowania, a skończył na piskach, gestykulacji i wzywaniu Marii Panny i wszystkich świętych. W końcu, świadomy przegranej, zszedł z wielbłąda i dokończył podróży na osiołku. Muszę przyznać, że biegnący truchtem wielbłąd nie jest niczym zabawnym dla człowieka nieprzyzwyczajonego do tego typu środków lokomocji. Byłem potem obolały przez kilka dni.

Wreszcie zbliżyliśmy się do miejsca wykopalisk. Opalony, siwobrody mężczyzna w białym ubraniu i hełmie na głowie podszedł, aby się z nami przywitać.

- Monsieur Poirot i kapitan Hastings? Otrzymaliśmy telegram panów. Przepraszam, że nikt na panów nie czekał w Kairze. Ale zdarzył się tu niespodziewany wypadek, który całkowicie pokrzyżował nasze plany.

Poirot pobladł. Jego ręka, która sięgała po szczoteczkę do ubrań, nagle się zatrzymała.

- Chyba nie kolejny zgon? - wymamrotał.

- Niestety tak.

- Sir Guy Willard? - zawołałem.

- Nie, kapitanie Hastings. Mój amerykański kolega, pan Schneider.

- A przyczyna śmierci? - zapytał Poirot.

- Tęzec.

Pobladłem. Poczulem nagle, że wszędzie wokół mnie czai się zło, wyrafinowane i groźne. Przyszła mi do głowy straszna myśl. A jeśli ja będę następny?

- *Mon Dieu* - cicho odparł Poirot - nie rozumiem. To straszne. Proszę mi powiedzieć, monsieur: czy nie ma żadnych wątpliwości, że to tęzec?

- Sądzę, że nie. Ale doktor Ames udzieli panu więcej informacji na ten temat.

- Ach, oczywiście, nie jest pan lekarzem.

- Nazywam się Tosswill.

A więc to brytyjski ekspert, którego lady Willard opisała jako pomniejszego urzędnika Muzeum Brytyjskiego. Było w jego zachowaniu coś poważnego i budzącego zaufanie, co przypadło mi do gustu.

- Proszę iść za mną - ciągnął doktor Tosswill. - Zaprowadzę panów do sir Willarda. Bardzo mu zależało, aby go powiadomić, gdy tylko panowie przybędą.

Przeszliśmy przez obóz do olbrzymiego namiotu. Doktor Tosswill podniósł plandekę i weszliśmy do środka. Siedziało tam trzech mężczyzn.

- Sir Guy, przyjechali monsieur Poirot i kapitan Hastings - powiedział Tosswill.

Najmłodszy z mężczyzn zerwał się na równe nogi i podszedł, aby nas przywitać. W jego zachowaniu widoczna była pewna impulsywność, czym przypominał swoją matkę. Był o wiele słabiej opalony od pozostałych, co w połączeniu z pewnym wymizerowaniem widocznym wokół oczu sprawiało, że wyglądał na więcej niż dwadzieścia dwa lata. Najwyraźniej usiłował dzielnie znosić jakieś silne psychiczne napięcie.

Przedstawił swoich dwóch towarzyszy, doktora Amesa, trzydziestokilkuletniego mężczyznę o nieco posiwiałych skroniach, który wyglądał na człowieka uzdolnionego, i pana Harpera, sekretarza, miłego szczupłego młodzieńca, noszącego narodowe insygnia w postaci oprawionych w róg okularów.

Po kilku minutach zdawkowej rozmowy ten ostatni wyszedł, a doktor Tosswill podążył za nim. Zostaliśmy z sir Willardem i lekarzem.

- Proszę zadawać takie pytania, jakie tylko pan życzy, monsieur Poirot - powiedział sir Guy. - Ciąg tych niesamowitych nieszczęść wprawił nas w całkowite osłupienie, ale nie jest on, nie może być, niczym innym, jak zwykłym zbiegiem okoliczności.

Jego zachowaniu towarzyszył pewien niepokój, który przeczył słowom. Widziałem, że Poirot bacznie mu się przygląda.

- Zaangażował się pan w tę pracę, sir Guy, całym sercem?

- O tak. Nieważne, co się będzie działo czy co z tego wymknie; praca nadal będzie trwać.

Poirot odwrócił się do drugiego mężczyzny.

- Co pan na to, *monsieur le docteur*?

- No cóż - przeciągle powiedział doktor - nie wyłamuję się.

Poirot zrobił jeden z tych swoich pełnych wyrazu grymasów twarzy.

- W takim razie, *evidemment*, musimy ustalić kilka rzeczy. Kiedy zmarł pan Schneider?

- Trzy dni temu.

- Jest pan pewien, że to był tężec?

- Całkowicie.

- Nie da się tego pomylić na przykład z otruciem strychniną?

- Nie, *monsieur Poirot*, wiem, do czego pan zmierza. Ale to był ewidentny przypadek tężca.

- Nie otrzymał zastrzyku surowicy?

- Oczywiście, że tak - odparł oschle doktor. - Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe.

- Czy miał pan tu surowicę?

- Nie. Przywieźliśmy ją z Kairu.

- Czy były jeszcze jakieś przypadki tężca w obozie?

- Nie, ani jednego.

- Czy jest pan pewien, że śmierć pana Bleibnera nie była spowodowana tężcem?

- Jestem tego całkowicie pewien. Miał zadrapanie na kciuku, w które wdało się zakażenie, i wywiązała się z tego posocznica. Przypuszczam, że dla laika brzmi to zupełnie tak samo, ale są to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Więc mamy cztery zgony, absolutnie do siebie niepodobne: niewydolność krążenia, posocznicę, samobójstwo i tężec.

- Dokładnie, *monsieur Poirot*.

- Czy jest pan pewien, że nic tych zgonów nie łączy?

- Nie bardzo pana rozumiem?

- Wyrażę się jaśniej. Czy ci czterej mężczyźni nie zrobili czegoś, co mogłoby uchodzić za lekceważenie Men-her-Ra?

Zdumiony doktor zaczął wpatrywać się w Poirota.

- Mówi pan od rzeczy, *monsieur Poirot*. Chyba nie uwierzył pan w te brednie, które wypisują gazety?

- Całkowita bzdura - wymamrotał rozgniewany Willard.



Poirot pozostał nieruchomy, mrużąc z lekka swoje zielone kocie oczy.

- Więc pan w to nie wierzy, *monsieur le docteur*?

- Nie, proszę pana, nie wierzę - zdecydowanie oświadczył doktor. - Jestem człowiekiem nauki i wierzę tylko w to, o czym mówi nauka.

- Czyż w starożytnym Egipcie nie istniała nauka? - zapytał cicho Poirot. Nie czekał na odpowiedź i rzeczywiście doktor Ames wydawał się przez chwilę zupełnie zbity z tropu. -Nie, niech mi pan nie odpowiada, chciałbym się raczej dowiedzieć, co myślą tubylcy.

- Sądzę - powiedział doktor Ames - że gdzie Biali tracą głowy, tubylcy nie pozostają daleko w tyle. Przyznaję, że zaczynają bać się, jak by pan to ujął, ale nie mają ku temu żadnego powodu,

- Ciekawe - powiedział Poirot wymijająco.

Sir Guy pochylił się do przodu.

- Chyba nie wierzy pan... - zawołał pełen powątpiewania - och, przecież to absurdalne! Nie wie pan nic o starożytnym Egipcie, jeżeli pan tak uważa,

W odpowiedzi Poirot wyjął z kieszeni małą książeczkę, stary, podarty egzemplarz. Gdy go wyciągnął, zobaczyłem tytuł "Magia u Egipcjan i Chaldejczyków". Potem, obróciwszy się, spokojnie wyszedł z namiotu. Doktor utkwiał we mnie wzrok.

- Czy ma jakiś mały pomysł?

Zdrobnienie to, tak często używane przez Poirota, wywołało u mnie uśmiech, gdy usłyszałem, jak wypowiada je ktoś inny.

- Nie wiem dokładnie - wyznałem. - Sądzę, że zamierza odprawić egzorcyzmy nad złymi duchami.

Wyszedłem szukać Poirota, znalazłem go rozmawiającego z młodzieńcem o pociągłej twarzy, który był sekretarzem świętej pamięci pana Bleibnera.

- Nie - mówił Harper. - Jestem z wyprawą zaledwie od sześciu miesięcy. Tak, orientowałem się w sprawach pana Bleibnera całkiem dobrze.

- Czy może mi pan opowiedzieć wszystko, co ma jakikolwiek związek z jego bratankiem?

- Pojawił się tu pewnego dnia. Całkiem przystojny facet. Nigdy go wcześniej nie spotkałem, ale inni tak, Ames, jak sądzę, i Schneider. Staruszek wcale nie był zadowolony, że go widzi. Wkrótce zaczęli drzeć ze sobą koty. "Ani centa! - krzyczał staruszek. - Ani centa teraz i po mojej śmierci. Zamierzam przeznaczyć majątek na kontynuację dzieła mego życia. Rozmawiałem już dzisiaj o tym z panem Schneiderem". I jeszcze więcej w tym tonie. Młody Bleibner zaraz potem wyjechał do Kairu,

- Czy był wtedy całkiem zdrowy?

- Kto, staruszek?

- Nie, bratanek.

- Chyba wspominał, że coś z nim nie w porządku. Ale nie mogło to być nic poważnego, inaczej bym pamiętał.

- I jeszcze jedno. Czy pan Bleibner zostawił testament?

- O ile wiemy, nie.

- Czy zostaje pan z wyprawą, panie Harper?

- Nie, proszę pana, nie zostaję. Wyjeżdżam do Nowego Jorku, jak tylko tu wszystko pozalutwiam. Być może będzie się pan śmiał, ale nie zamierzam być następną ofiarą tego przeklętego Men-her-Ra. Dopadnie mnie, jeśli tu zostanę.

Młodzieniec otarł pot z czoła.

Poirot obrócił się. Z nieodgadnionym uśmiechem rzucił jeszcze przez ramię:

- Niech pan nie zapomina, że jedną ze swych ofiar dopadł w Nowym Jorku.

- Och, psiakrew! - dosadnie stwierdził Harper.

- Młody człowiek jest podenerwowany - stwierdził w zamyśleniu Poirot. - Ma rozstrojone nerwy, zupełnie rozstrojone.

W zaciekawieniu spojrziałem na Poirota, ale jego zagadkowy uśmiech niczego nie wyjaśnił. Sir Guy Willard i doktor Tosswill oprowadzili nas po wykopaliskach. Główne znaleziska zostały już przewiezione do Kairu, ale i to, co pozostało z wyposażenia grobowca, było niezwykle interesujące. Entuzjazm młodego baroneta był oczywisty, lecz wydawało mi się, że dostrzegłem w jego zachowaniu cień zdenerwowania, jak gdyby nie całkiem zdołał się uwolnić od wiszącego w powietrzu niebezpieczeństwa. Gdy wchodziliśmy do namiotu, który nam przydzielono, aby się umyć przed wieczornym posiłkiem, wysoka postać w białych szatach stanęła z boku, pozwalając nam tym samym przejść, i smagły mężczyzna z pełnym wdzięku gestem wypowiedział półgłosem arabskie pozdrowienie. Poirot się zatrzymał.

- Ty jesteś Hasan, sługa świętej pamięci sir Johna Willarda?

- Służyłem lordowi sir Johnowi, a teraz służę jego synowi. - Zrobił krok w naszą stronę i zniżył głos. - Mówią, że jesteś mądrym człowiekiem, potrafisz poradzić sobie ze złymi duchami. Spraw, aby młody pan stąd wyjechał. W powietrzu wokół nas czai się zło.

I wykonawszy nagły ruch ręką, nie czekając na odpowiedź, oddalił się.

- Zło czai się w powietrzu - wymamrotał Poirot. - Tak, czuję je.

Posiłek trudno było uznać za udany. Przez cały czas głos zabierał doktor Tosswill, który nie przestawał mówić o starożytnym Egipcie. Akurat mieliśmy się udać na spoczynek, gdy sir

Guy schwycił Poirota za ramię, wskazując przed siebie. Wśród namiotów przesuwiał się zagadkowy kształt. Nie był to człowiek, lecz postać z psią głową, jakie wcześniej widywałem na ścianach grobowca.

Widok ten zmroził mi krew w żyłach.

- *Mon Dieu!* - wymamrotał Poirot, energicznie się żegnając. - Anubis z głową szakala, bóg zmarłych.

- Ktoś próbuje nas nabrać! - zawołał doktor Tosswill, zrywając się z oburzeniem na równe nogi.

- Wszedł do twego namiotu, Harper - wymamrotał okropnie pobladły sir Guy.

- Nie - odparł kręcąc głową Poirot - do tego, w którym śpi doktor Ames.

Doktor pełen niedowierzania wpatrzył się w mówiącego, po czym powtarzając za Tosswillem, zawołał:

- Ktoś próbuje nas nabrać! Chodźcie, zaraz go złapiemy.

Energicznie rzucił się w pościg za tajemniczą zjawą. Pobiegłem za nim, ale choć szukaliśmy wszędzie, nie znaleźliśmy śladu żadnej żywej istoty. Wróciliśmy nieco zaniepokojeni, znaleźliśmy Poirota, który po swojemu podejmował pewne energiczne środki zaradcze mające zapewnić mu bezpieczeństwo. Pracowicie rysował na piasku wokół namiotu różne diagramy i inskrypcje. Widziałem pięcioramienną gwiazdę, czyli pentagram, powtarzającą się wielokrotnie. Tak jak miał w zwyczaju, Poirot jednocześnie wygłaszał wykład na temat czarów i magii w ogóle, białej magii, nie czarnej, często odwołując się do ka i Księgi Umarłych.

To wydawało się wzbudzać najszczerszą pogardę doktora Tosswilla, który odciągnąwszy mnie na bok, dosłownie prychnął z wściekłości.

- Brednie, proszę pana! - zawołał gniewnie. - Zwyczajne brednie. Ten człowiek to oszust. Nie widzi różnicy pomiędzy i zabobonami średniowiecza a wierzeniami starożytnego Egiptu. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej mieszaniny ignorancji i naiwności.

Uspokoilem podekscytowanego eksperta i wszedłem za Poirotem do namiotu. Mój przyjaciel emanował radością.

- Teraz możemy spać spokojnie - oznajmił uszczęśliwiony. - A ja potrzebuję snu. Głowa mi pęka, boli mnie okropnie. Och, żeby tak jeszcze napić się dobrej *tisane!*

Jak gdyby w odpowiedzi na modlitwę plandeka namiotu uniosła się i pojawił się Hasan z filiżanką gorącego napoju, który zaferował Poirotowi. Napój okazał się herbatką z rumianku, którą mój przyjaciel niezmiernie lubił. Gdy podziękował Hasanowi, a ja zareagowałem odmownie na propozycję filiżanki herbatki także dla mnie, znowu zostaliśmy

sami. Przebrawszy się do snu, stanąłem u wejścia namiotu, patrząc na pustynię.

- Cudowne miejsce - powiedziałem głośno. - I cudowna praca. To życie na pustyni, badanie minionej cywilizacji. Z całą pewnością, Poirot, musisz również odczuwać ten urok?

Gdy nie usłyszałem odpowiedzi, odwróciłem się nieco poirytowany. Moja irytacja szybko zamieniła się w niepokój. Poirot leżał na prymitywnej leżance, twarz miał okropnie wykrzywioną pod wpływem bólu. Obok niego stała pusta filiżanka. Ruszyłem w jego stronę, potem rzuciłem się na zewnątrz, przez obóz, do namiotu doktora Amesa.

- Doktorze Ames! - zawołałem. - Niech pan tu natychmiast przyjdzie!

- O co chodzi? - spytał doktor, pojawiając się w piżamie.

- Mój przyjaciel. Jest chory. Umiera. Herbata z rumianku. Hasan nie może opuścić obozu.

Doktor błyskawicznie pobiegł do naszego namiotu. Poirot leżał tak, jak go zostawiłem.

- Zdziwiałe! - zawołał. - Wygląda, że to atak... albo... jak pan powiedział? Co on wypił? - Podniósł pustą filiżankę.

- Tak się składa, że tego nie wypilem! - odrzekł spokojnie czyjś głos.

Odwróciliśmy się zaskoczeni. Poirot siedział na łóżku. Uśmiechał się.

- Nie - odparł łagodnie - nie wypilem tego. Podczas gdy mój przyjaciel Hastings wygłaszał monolog, podziwiając noc, skorzystałem ze sposobności, aby to przelać, nie do gardła, lecz do małej buteleczki. Zostanie przekazana do badań analitycznych. Nie - tu doktor wykonał nagły ruch - jest pan człowiekiem rozsądnym, więc zrozumie pan, że przemoc na nic się nie zda. Gdy Hastings pobiegł po pana, miałem wystarczająco dużo czasu, aby ukryć buteleczkę w bezpiecznym miejscu. Och, szybko, Hastings, trzymaj go!

Opacznie zrozumiałem lęk Poirota. Aby ocalić przyjaciela, rzuciłem się do przodu, chcąc go zasłonić. Ale szybki ruch, jaki wykonał doktor, miał zupełnie inne znaczenie. Jego ręka powędrowała do ust, zapach gorzkich migdałów napełnił powietrze, doktor zachwiał się i upadł.

- Kolejna ofiara - stwierdził poważnie Poirot - ale tym razem ostatnia. Być może to najlepsze wyjście. Miał na swoim koncie trzy zabójstwa.

- Doktor Ames? - zawołałem oszołomiony. - Ależ sądziłem, że przypisujesz to działaniu sił nadprzyrodzonych!

- Źle mnie rozumiałeś, Hastings. Miałem na myśli straszną siłę, z jaką działa przesąd. Gdy się już raz uwierzy, że cały ciąg zgonów jest spowodowany przez siły nadprzyrodzone, człowiek może zostać zasztyletowany w biały dzień, a i tak przypisze się to działaniu klątwy. Tak silnie zakorzeniona jest wiara ludzi w okultyzm. Od razu podejrzywałem, że ktoś próbuje z

tego skorzystać. Na pomysł ten, jak mi się wydaje, musiał wpaść po śmierci sir Johna Willarda, gdyż zaraz po niej doszło do prawdziwej eksplozji przesądów. O ile wiem, nikt nie mógł odnieść szczególnych korzyści po śmierci sir Johna. Zupełnie inaczej rzecz się miała z panem Bleibnerem. Był on człowiekiem niezwykle zamożnym. Informacje, które otrzymałem z Nowego Jorku, zawierały wiele jednoznacznych wskazówek. Po pierwsze, dowiedziałem się, iż młody Bleibner stwierdził, że ma w Egipcie dobrego przyjaciela, od którego może sporo pożyczyć. Sądono wówczas, że ma na myśli wuja, ale moim zdaniem gdyby tak było, powiedziałby o tym wprost. Słowa te raczej sugerują dobrego kolegę. Co więcej, choć zdobył tyle pieniędzy, żeby pojechać do Egiptu, wuj na pewno nie dał mu ani pensa, a pomimo to był w stanie opłacić podróż powrotną do Nowego Jorku. Ktoś musiał mu pożyczyć pieniądze.

- Ale to wszystko jest mało przekonujące - zaoponowałem.

- Jest tego więcej. Często się zdarza, że słowa, które wypowiadamy metaforycznie, brane są dosłownie. Bywa i odwrotnie. W tym przypadku słowa, które miały znaczenie dosłowne, potraktowano jak metaforę. Młody Bleibner napisał wyraźnie: *Jestem trędowaty*, ale nikt nie uświadomił sobie, że zastrzelił się, ponieważ wierzył, iż nabawił się tej strasznej choroby. - Co takiego? - wykrzyknąłem. - Był to chytry pomysł szatańskiego umysłu. Młody Bleibner cierpiał na jakąś niegroźną chorobę skórną; wcześniej mieszkał na wyspach Morza Południowego, gdzie trąd występuje dosyć często. Nawet mu się nie śniło podawać w wątpliwość słów Amesa, dawnego kolegi i cenionego lekarza. Kiedy tu przyjechałem, moje podejrzenia padły na Harpera i doktora Amesa, ale wkrótce uświadomiłem sobie, że tylko doktor mógł popełnić i zatuszować te zbrodnie, a od Harpera dowiedziałem się, że już wcześniej znalazł młodego Bleibnera, który bez wątplenia wcześniej czy później ubezpieczył się na życie albo sporządził testament na korzyść doktora. Ten dostrzegł możliwość zdobycia majątku. Bez trudu zainfekował pana Bleibnera śmiertelnymi zarazkami. Następnie jego bratanek, ogarnięty rozpaczą po usłyszeniu wiadomości, jaką przekazał mu przyjaciel, strzelił do siebie. Pan Bleibner, bez względu na to, jakie miał zamiary, nie pozostawił testamentu. Jego fortuna przeszłaby na bratanka, a potem na doktora.

- A pan Schneider?

- Tu nie mam pewności. Nie zapominaj, że również znał młodego Bleibnera i mógł coś podejrzewać albo też doktor mógł pomyśleć, że jeszcze jedna śmierć pozbawiona motywu wzmocni istniejący już przesąd. Powiem ci też o pewnej psychologicznej prawidłowości, Hastings. Morderca zawsze odczuwa silną pokusę, aby jeszcze raz dokonać uwieńczonej powodzeniem zbrodni, popełnianie jej bowiem sprawia mu coraz większą przyjemność. Stąd moje obawy o młodego Willarda. W postać Anubisa, którego widziałeś dziś wieczorem, wcielił

się Hasan, przebrał się na moje polecenie. Chciałem zobaczyć, czy uda mi się przestraszyć doktora. Ale żeby go przestraszyć, trzeba by czegoś więcej niż siły nadprzyrodzone. Widziałem, że pozory mojej wiary w okultyzm nie zdołały go oszukać. Ta mała komedia, którą dla niego zagrałem, nie wyprowadziła go w pole. Zacząłem podejrzewać, że będzie próbował uczynić ze mnie następną ofiarę. Ach, ale pomimo *la mer maudite*, odrażającego upału i dokuczliwego piasku szare komórki nie przestały pracować!

Okazało się, że Poirot miał całkowitą rację. Młody Bleibner kilka lat wcześniej w napadzie pijackiej wesołości sporządził żartobliwy testament. Napisał w nim: *papierośnicę, która zawsze tak bardzo mu się podobała, i wszystko inne, w posiadaniu czego będę w chwili śmierci, zostawiam mojemu drogiemu przyjacielowi Robertowi Amesowi, który niegdyś ocalił mi życie, ratując przed niechybnym utonięciem.*

Sprawa ta, na ile to było możliwe, została zatuszowana i do dzisiejszego dnia ludzie mówią o niepojętym łańcuchu zgonów, jakie nastąpiły po otwarciu grobowca Men-her-Ra, traktując to jako dowód koronny świadczący o zemście faraona na osobach profanujących jego grobowiec, choć przeświadczenie to, na co zwrócił moją uwagę Poirot, jest całkowicie sprzeczne z egipską religią i nauką.

## Kradzież w hotelu Grand Metropolitan

- Poirot - powiedziałem - krótka przerwa w pracy dobrze by ci zrobiła.

- Tak uważasz, *mon ami*?

- Jestem tego pewien.

- Aha - odparł mój przyjaciel, uśmiechając się. - A więc wszystko jest już przygotowane!

- Zgadzasz się?

- A gdzie zamierzasz mnie zabrać?

- Do Brighton. Prawdę powiedziawszy, mój znajomy z City powiadomił mnie o pewnej bardzo korzystnej transakcji i, no cóż, teraz, jak to się mówi, mam pieniędzy jak lodu. Sądzę, że weekend w Grand Metropolitan sprawiłby nam obu dużą przyjemność.

- Dziękuję za zaproszenie, przyjmuję je z prawdziwą wdzięcznością. Masz dobre serce, skoro pomyślałeś o takim staruszkę jak ja. A swoją drogą, dobre serce warte jest tyle co wszystkie szare komórki. Tak, tak, sam zdaję się często o tym zapominać.

Nie byłem zachwycony tą implikacją. Wydaje mi się, że czasem Poirot nie docenia moich zdolności umysłowych. Ale jego zadowolenie było tak oczywiste, że starałem się opanować lekką irytację.

- A zatem uzgodnione - powiedziałem pośpiesznie.

W sobotni wieczór jedliśmy już obiad w Grand Metropolitan, pośród wesołego tłumu. Wydawało się, że w Brighton jest cała śmietanka towarzyska. Suknie były cudowne, a klejnoty, noszone czasem bardziej dla chęci pokazania się niż dodania toalecie wykwintu, wprost wspaniałe.

- Co za widok! - wymamrotał Poirot. - Ależ to prawdziwy dom paskarza; czyż nie mam racji, Hastings?

- Chyba tak - odparłem. - Miejmy jednak nadzieję, że nie wszyscy tu zebrani posiadają jego przywary.

Poirot spokojnie rozejrzał się dookoła.

- Widok tak wielu kosztowności sprawia, że zaczynam żałować, iż zajmuję się wykrywaniem przestępstw, a nie ich popełnianiem. Co za okazja dla wytrawnego złodzieja! Popatrz, Hastings, na tę tęgą kobietę tuż przy filarze. Jest wręcz obwieszona klejnotami.

Przeniosłem tam wzrok.

- Ależ to pani Opalsen! - wykrzyknąłem.

- Znasz ją?

- Trochę. Jej mąż jest bogatym maklerem giełdowym, który zbił fortunę na dobrej ostatnio koniunkturze w ropie naftowej.

Po obiedzie natknęliśmy się na Opalsenów w holu i wtedy przedstawiłem im Poirota. Gawędziliśmy przez kilka minut, po czym wspólnie wypiliśmy kawę.

Poirot pochwalił kilka z cenniejszych klejnotów pyszniących się na okazałym biurze damy, skutkiem czego natychmiast się rozpromieniła.

- To moje hobby, monsieur Poirot. Uwielbiam wręcz biżuterię. Ed zna moją słabość i za każdym razem, gdy interesy idą dobrze, przynosi mi coś nowego. Interesują pana kamienie szlachetne?

- Miałem z nimi sporo do czynienia, madame. Dzięki wykonywanemu zawodowi zetknąłem się z kilkoma najsłynniejszymi klejnotami na świecie.

Zaczął opowiadać historię rodowych klejnotów pewnego domu panującego, zmieniając dla zachowania dyskrecji imiona i nazwiska biorących w niej udział osób, a pani Opalsen słuchała z zapartym tchem.

- Och! - wykrzyknęła, gdy skończył. - Aż trudno uwierzyć! Wie pan, są w moim posiadaniu perły, z którymi również łączy się pewna historia. Sądzę, że stanowią jeden z najpiękniejszych naszyjników na świecie, są tak doskonale dobrane i tak idealnego koloru. Muszę pobiec na górę i je przynieść!

- Ależ, madame - zaprotestował Poirot - jest pani nazbyt uprzejma. Proszę nie sprawiać sobie kłopotu.

- Och, jednak chciałabym je panu pokazać.

Dorodna matrona dosyć żwawo poczłapała w kierunku windy. Jej mąż, który akurat ze mną rozmawiał, pytająco popatrzył na Poirota.

- Madame, pańska żona, jest tak uprzejma, iż nalega, aby mi pokazać swój naszyjnik z pereł - wyjaśnił mój przyjaciel.

- Och, perły! - uśmiechnął się z zadowoleniem Opalsen. - Rzeczywiście, warto je zobaczyć. Niemało też kosztowały! Ale warte były tych pieniędzy. Zresztą zawsze będę mógł dostać za nie tyle, ile zapłaciłem, być może więcej. Niewykluczone również, że będę musiał je sprzedać, jeżeli sprawy nadal będą szły tak jak teraz. Krucho ostatnio z pieniędzmi w City. Wszystko przez te piekielne odwierty. - Grzmiał dalej, wdając się w szczegóły, z którymi nie bardzo byłem obeznany. Przerwał mu chłopiec hotelowy, który zbliżył się do niego i szepnął mu coś do ucha.

- He, co? Już idę. Nie rozchorowała się? Przepraszam, panowie.



Opuścił nas nagle, Poirot pochylił się do tyłu i zapalił jednego ze swoich cienkich rosyjskich papierosów. Potem ostrożnie i skrupulatnie ustawił puste filiżanki po kawie w równy szereg i widząc rezultat swojej pracy, rozpromienił się szczęśliwy.

Czas mijał. Opalsenowie nie wracali.

- Ciekawe - zauważyłem wreszcie. - Zastanawiam się, kiedy wrócą.

Poirot śledził uważnie wznoszące się ku górze pasemko dymu, po czym powiedział w zamyśleniu:

- Nie wrócą.

- Dlaczego?

- Ponieważ, przyjacielu, coś się wydarzyło.

- Ale co? Skąd o tym wiesz? - zapytałem zaciekawiony.

Poirot się uśmiechnął.

- Kilka minut temu dyrektor wyszedł pośpiesznie ze swego biura i pobiegł na górę. Był bardzo poruszony. Windziarz jest pogrążony w rozmowie z jednym z chłopców hotelowych. Dzwonek przywołujący windę dzwonił już trzykrotnie, ale on nie zwraca na to uwagi. Po trzecie, nawet kelnerzy są *distract*; a żeby sprawić, aby kelner był *distract*... - Poirot stanowczo potrząsnął głową - sprawa musi być doprawdy niezwyklej wagi. Ach, jest tak, jak myślałem! Oto i policja.

Dwaj mężczyźni weszli do hotelu: jeden w mundurze, drugi ubrany po cywilnemu. Porozmawiali z chłopcem hotelowym i natychmiast udali się na górę. Kilka minut później ten sam chłopiec podszedł do nas.

- Wyrazy uszanowania od pana Opalsena. Zechcą panowie wejść na górę.

Poirot zważowo skoczył na równe nogi. Można by powiedzieć, że się tego spodziewał. Podążyłem za nim równie ochoczo.

Apartamenty Opalsenów znajdowały się na pierwszym piętrze. Zapukawszy do drzwi, chłopiec hotelowy oddalił się, a my czekaliśmy na wezwanie.

- Proszę wejść!

Naszym oczom ukazał się osobliwy widok. Pokój był sypialnią pani Opalsen, a wspomniana dama leżała na fotelu, szlochając gwałtownie. Wyglądała doprawdy niezwykle, gdyż łyzy porobiły głębokie bruzdy w pudrze, którym jej twarz była suto pokryta. Pan Opalsen chodził rozgniewany w tę i z powrotem. Dwaj policjanci stali pośrodku pokoju, jeden z notesem w ręce. Pokojówka pracująca w hotelu, śmiertelnie przerażona, stała przy kominku; w drugim końcu pokoju jakaś Francuzka, najwyraźniej pokojówka pani Opalsen, łkała i załamywała ręce z takim żalem, że mogłaby konkurować ze swą pracodawczynią.

W tę wrzawę wkroczył Poirot, elegancki i uśmiechnięty. Pani Opalsen z energią zadziwiającą przy jej tuszy skoczyła w jego kierunku.

- Otóż, Ed może mówić, co chce, ale ja wierzę w szczęśliwy zbieg okoliczności, naprawdę. To musiało być przeznaczenie, skoro spotkałam pana dzisiaj wieczorem, i mam wrażenie, że jeśli pan nie odzyska moich pereł, nikt tego nie dokona.

- Proszę się uspokoić, błagam panią, madame. - Poirot kojąco poklepał ją po dłoni. - Niech pani nie upada na duchu. Wszystko będzie dobrze. Herkules Poirot pani pomoże!

Pan Opalsen zwrócił się do inspektora policji:

- Sądzę, że nie będziecie panowie mieli nic przeciwko temu, jeżeli poproszę o zajęcie się tą sprawą również i tego dżentelmena?

- Ależ oczywiście, proszę pana - odparł uprzejmie mężczyzna, choć z całkowitą obojętnością. - Być może teraz pańska małżonka poczuje się nieco lepiej i zapozna nas z faktami.

Pani Opalsen popatrzyła bezradnie na Poirota. Ten poprowadził ją z powrotem w kierunku fotela.

- Proszę usiąść, madame, i opowiedzieć nam wszystko w miarę spokojnie.

Zapanowawszy zatem nad emocjami, pani Opalsen ostrożnie osuszyła oczy i zaczęła mówić:

- Po obiedzie weszłam na górę po perły, aby pokazać je obecnemu tu panu Poirotowi. Pokojówka z hotelu i Celestine były w sypialni, jak zwykle...

- Proszę mi wybaczyć, madame, ale co to znaczy "jak zwykle"?

Wyjaśnił to pan Opalsen:

- Zarządziłem, aby nikt nie wchodził do pokoju, jeśli nie ma w nim Celestine, pokojówki żony. Pokojówka pracująca w hotelu rano sprząta sypialnię w obecności Celestine, a po obiedzie przychodzi przygotować łóżka w tych samych okolicznościach. Inaczej nie weszłaby do pokoju.

- Zatem, tak jak mówiłam - ciągnęła dalej pani Opalsen - weszłam na górę. Podeszłam do szuflady, o tutaj - wskazała na dolną szufladę z prawej strony toaletki - wyjęłam szkatułkę z biżuterią i otworzyłam ją. Wyglądała tak jak zazwyczaj, ale pereł w środku nie było!

Inspektor zajęty był notowaniem.

- Kiedy widziała je pani po raz ostatni? - zapytałem.

- Były tam, gdy schodziłam na obiad.

- Jest pani tego pewna?

- Całkowicie. Zastanawiałam się, czy ich nie włożyć, ale w końcu zdecydowałam się na

szmaragdy, a perły odłożyłam z powrotem do szkatułki.

- Kto zamknął szkatułkę?

- Ja. Kluczyk na łańcuszku stale noszę na szyi - mówiąc to, wyjęła go.

Inspektor obejrzał kluczyk dokładnie, po czym wzruszył ramionami.

- Złodziej musiał mieć duplikat. To zresztą nic trudnego. Zamek wydaje się całkiem prosty. Co pani zrobiła po zamknięciu szkatułki?

- Włożyłam ją z powrotem do dolnej szuflady, zawsze ją tam trzymam.

- Nie zamknęła pani szuflady?

- Nie, nigdy tego nie robię. Moja pokojówka za każdym razem zostaje tu aż do mego powrotu, więc nie ma takiej potrzeby.

Twarz inspektora poszarzała.

- Mam rozumieć, że klejnoty były tam, gdy zeszła pani na obiad, i że od tego czasu pokojówka nie opuszczała sypialni?

Nagle, jak gdyby groza sytuacji dopiero do niej dotarła, Celestine wydała przeszywający pisk i rzuciła się w kierunku Poirota, wylewając z siebie potok niespójnej francuszczyzny.

Ależ ta sugestia jest niedorzeczna! Jakże ona mogłaby ograbić madame! Policja dobrze wie, że to niemożliwe! Jednak monsieur, który jest Francuzem...

- Belgiem - wtrącił Poirot, ale Celestine nie zwróciła na to uwagi.

Monsieur nie stałby z boku i nie przyglądałby się spokojnie, jak bezpodstawnie się ją oskarża, pozwalając jednocześnie, aby pokojówce z hotelu postępek taki uszedł płazem. Nigdy jej nie lubiła, taka krzykliwa, czerwona na twarzy, urodzona złodziejka. Od samego początku mówiła, że tamta nie jest uczciwa. Bacznie też ją obserwowała, kiedy ta sprzątała pokój madame! Niech ci idioci policjanci ją przeszukają, a na pewno znajdą przy niej perły!

Chociaż ta oracja została wygłoszona bardzo szybko i zjadliwą francuszczyzną, Celestine naszpikowała ją takim bogactwem gestów, że pracująca w hotelu pokojówka w końcu pojęła jej ogólny sens. Poczzerwieniała na to ze złości,

- Jeżeli ta cudzoziemka twierdzi, że wzięłam perły, to kłamie! - oznajmiła zapalczywie.

- Nigdy ich nawet nie widziałam.

- Przeszukajcie ją - krzyczała tamta - a znajdziecie je przy niej!

- Kłamiesz, słyszysz? - odparła pracująca w hotelu pokojówka, przesuwając się w kierunku tamtej. - Sama je ukradła, a teraz chce to zwalić na mnie. Patrzcie ją, byłam w pokoju niecałe trzy minuty, zanim weszła pani, a ona siedzi tu przez cały czas, jak zwykle, niczym kot pilnujący myszy.

Inspektor popatrzył dociekliwie na Celestine.

- Czy to prawda? W ogóle nie opuszczałaś pokoju?

- Właściwie nie zostawiłam jej samej - niechętnie przyznała Celestine - ale dwukrotnie weszłam przez te drzwi do swego pokoju: raz, żeby wziąć szpulkę bawełny, i raz po nożyczki. Wtedy musiała to zrobić.

- Nie było cię mniej niż minutę - gniewnie odparta tamta. - Wpadłaś tam i wyskoczyłaś z powrotem. Będę zadowolona, gdy policja mnie przeszuka. Nie mam się czego bać.

W tej samej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi. Inspektor poszedł je otworzyć. Twarz mu się rozjaśniła, gdy zobaczył, kto za nimi stoi.

- Ach! - powiedział - bardzo dobrze się składa. Posłałem po policjantkę, aby można było zrewidować kobiety, i właśnie przyszła. Zechce pani udać się z nią do sąsiedniego pokoju.

Popatrzył na pokojówkę z hotelu, która przechodząc przez próg, gwałtownie odrzuciła do tyłu głowę. Policjantka podążała tuż za nią.

Młoda Francuzka, szlochając, osunęła się na krzesło. Poirot rozglądał się po pokoju, którego szkic zamieszczam poniżej.

- Dokąd prowadzą te drzwi? - zapytał, wskazując głową na te, które znajdowały się przy oknie.

- Do następnego apartamentu, jak sądzę - odparł inspektor. - W każdym razie po tej stronie są zaryglowane.

Poirot podszedł do nich, spróbował je otworzyć, odsunął rygiel, po czym spróbował otworzyć je jeszcze raz.

- Po tamtej także - zauważył. - No cóż, wydaje się, że należy je wykluczyć. - Zbliżył się do okien, przyglądając się po kolei każdemu z nich. - I znowu nic. Nie ma nawet balkonu.

- Nawet gdyby był - odparł zniecierpliwiony inspektor - nie rozumiem, w czym by nam pomógł, skoro pokojówka nie opuszczała sypialni.

- *Evidemment* - stwierdził Poirot bez cienia zakłopotania. - Jako że mademoiselle jest pewna, iż nie opuszczała sypialni...

Dalszą rozmowę przerwało ponowne pojawienie się pokojówki z hotelu i policjantki.

- Nic - stwierdziła lakonicznie ta ostatnia.

- Mam nadzieję - cnotliwie odparła zatrudniona w hotelu pokojówka. - A ta zuchwała Francuzka powinna się wstydzić, że chciała zepsuć reputację uczciwej dziewczyny.

- No już, dziewczyno, uspokój się - powiedział inspektor, otwierając drzwi. - Możesz iść i z powrotem zabrać się do pracy.

Pokojówka wychodziła niechętnie.

- Ja przeszukajcie - zażądała, wskazując na Celestine.

- Tak, tak! - zamknął za nią drzwi i przekreślił klucz. Teraz z kolei Celestine poszła z policjantką do pokoiku obok. Wróciła po kilku minutach. I przy niej niczego nie znaleziono.

Inspektor spoważniał.

- Obawiam się, panienko, że mimo to będziesz musiała pójść z nami. - Zwrócił się do pani Opalsen: - Przykro mi, proszę pani, ale wszystkie poszlaki przemawiają przeciwko niej. Skoro nie ma ich przy sobie, muszą być schowane w pokoju.

Celestine wydała przeszywający pisk, po czym przywarła do ramienia Poirota. Ten pochylił się i szepnął dziewczynie coś do ucha. Popatrzyła na niego niepewnie.

- *Si, si, mon enfant*, zapewniam cię, że lepiej się nie opierać. - Następnie zwrócił się do inspektora: - Pozwoli pan, monsieur? Wykonam mały eksperyment, wyłącznie dla własnej satysfakcji.

- Zależy, co to będzie - odpowiedział wymijająco oficer śledczy.

Poirot raz jeszcze przemówił do Celestine:

- Powiedziała nam pani, że poszła do swego pokoju po szpulkę bawełny. Gdzie ona leżała?

- Na komodzie, monsieur.

- A nożyczki?

- Również.

- Mademoiselle, proszę pokazać, co pani wtedy robiła. Siedzi tu pani ze swoją robótką.

Celestine usiadła, po czym na dany przez Poirota znak podniosła się, przeszła do sąsiedniego pokoju, wzięła z komody jakiś przedmiot i wróciła.

Poirot podzielił uwagę pomiędzy tym, co pokazywała, a olbrzymim kieszonkowym zegarkiem, który trzymał w dłoni.

- I jeszcze raz, bardzo proszę, mademoiselle. Na zakończenie zapisał coś w notesie i włożył zegarek z powrotem do kieszeni.

- Dziękuję, mademoiselle. I panu, monsieur - skinął głową w kierunku inspektora - za pańską uprzejmość.

Inspektor był dość zdziwiony jego niezwykłą grzecznością. Celestine, w potoku łez, wyszła w towarzystwie kobiety i policjanta ubranego po cywilnemu.

Po czym inspektor, przeprosiwszy panią Opalsen, zaczął przetrząsać pokój. Wyciągnął szuflady, otworzył toaletki, dokładnie sprawdził łóżko, opukał podłogi. Pan Opalsen przyglądał się temu sceptycznie.

- Naprawdę sądzi pan, że je odnajdzie?

- Tak, proszę pana. To zrozumiałe. Nie miała czasu wynieść ich z pokoju. Odkrycie przez pańską żonę kradzieży tak szybko pokrzyżowało jej plany. Nie, nadal są tutaj. Jedna z nich musiała je ukryć, a jest bardzo mało prawdopodobne, aby zrobiła to pokojówka z hotelu.

- Wręcz niemożliwe! - odparł cicho Poirot.

- Co? - Inspektor spojrział na niego ze zdziwieniem.

Poirot uśmiechnął się skromnie.

- Zademonstruję to państwu. Hastings, przyjacielu, potrzyмай mój zegarek. Ostrożnie, to pamiątka rodzinna! Przed chwilą zmierzyłem, jak długo trwały nieobecności mademoiselle w pokoju: pierwsza - dwanaście sekund, druga - piętnaście. Teraz proszę obserwować to, co robię. Madame, zechce pani dać mi klucz od szkatułki na biżuterię. Dziękuję. Hastings, przyjacielu, bądź tak uprzejmy i powiedz "Start!".

- Start! - rzekłem.

Z niewiarygodną wręcz szybkością Poirot szarpnięciem otworzył szufladę od toaletki, wyjął z niej szkatułkę na biżuterię, włożył do zamka klucz, otworzył szkatułkę, wybrał jakiś klejnot, zamknął szkatułkę i przekręcił w niej klucz, włożył z powrotem do szuflady, którą pchnięciem wsunął z powrotem. Ruchy jego były błyskawiczne.

- I jak, *mon ami*? - zapytał zdyszany.

- Czterdzieści sześć sekund - odparłem.

- Pojmujecie państwo? - rozejrział się dookoła. - Pokojówka z hotelu nie miałaby nawet tyle czasu, aby wyjąć naszyjnik, nie mówiąc już o jego ukryciu.

- Zatem wszystko wskazuje na pokojówkę pani Opalsen - powiedział z satysfakcją inspektor, wracając do przerwanej rewizji. Przeszedł obok, do sypialni Celestine.

Poirot w zamyśleniu zmarszczył brwi. Nagle zagadnął Opalsena:

- Ten naszyjnik był bez wątpienia ubezpieczony?

Opalsen wydawał się nieco zaskoczony pytaniem.

- Tak - odparł niepewnie - w samej rzeczy.

- Ale jakie to ma znaczenie? - wtrąciła zapłakana pani Opalsen. - Chcę odzyskać naszyjnik. Był unikalny. Nie zastąpią mi go żadne pieniądze.

- Rozumiem panią, madame - odparł uspokajająco Poirot. - Rozumiem panią doskonale. Dla *la femme* sentyment jest najważniejszy, czyż nie tak? Ale, monsieur, pan, który nie jest aż tak wrażliwy, znalazłby niejaką pociechę w tym fakcie.

- Oczywiście, oczywiście - dosyć niepewnie odparł pan Opalsen. - Mimo to...

Przerwał mu okrzyk triumfu wydany przez inspektora. Gdy wszedł, coś zwieszało się pomiędzy jego palcami.

Z okrzykiem na ustach pani Opalsen podniosła się z fotela. W mgnieniu oka stała się inną kobietą.

- Och, och, mój naszyjnik!

Obiema rękami przycisnęła go do piersi. Zebraliśmy się wokół niej.

- Gdzie był? - zapytał Opalsen.

- W łóżku pokojówki. Między sprężynami materaca. Musiała go ukraść i ukryć tam, zanim pojawiła się pokojówka z hotelu.

- Pozwoli pani, madame - powiedział łagodnie Poirot. Wziął od niej naszyjnik i uważnie obejrzał; po czym z ukłonem oddał go jej z powrotem.

- Obawiam się, że na razie musi nam go pani przekazać - stwierdził inspektor. - Będzie nam potrzebny. Ale zostanie pani zwrócony tak szybko, jak to tylko możliwe.

Pan Opalsen zmarszczył brwi.

- Czy to konieczne?

- Obawiam się, że tak, proszę pana. Ale to tylko formalność.

- Och, Ed, niech go weźmie! - zawołała jego żona. - Będę wtedy spokojniejsza. Ta nędzna dziewczyna! Nigdy bym w to nie uwierzyła.

- Już dobrze, dobrze, moja droga, nie przejmuj się tak.

Ktoś lekko schwycił mnie za ramię. Był to Poirot.

- Może byśmy się teraz wymknęli, przyjacielu. Nie sądzę, aby nasze usługi były tu jeszcze potrzebne.

Na zewnątrz jednak zawahał się, po czym, ku memu ogromnemu zdziwieniu, zauważył:

- Bardzo chciałbym zobaczyć sąsiedni pokój.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszliśmy. Był to olbrzymi dwuosobowy apartament, niezamieszkaany. Wszystko wokół pokrywała widoczna warstwa kurzu, a mój wrażliwy na tym punkcie przyjaciel zrobił charakterystyczny grymas, gdy przeciągnął palcem wokół prostokątnego znaku, który jakiś przedmiot zostawił na stoliku pod oknem.

- Obsługa pozostawia tu wiele do życzenia - zauważył oschle.

Zamyślony wyjrzał przez okno, wydawało się, że zapadł w zadumę.

- A zatem? - zapytałem zniecierpliwiony. - Po co tu przyszliśmy?

Wzdrygnął się.

- *Je vous demande pardon, mon ami.* Chciałem zobaczyć, czy i po tej stronie drzwi są zaryglowane.

- No cóż - odparłem, spoglądając na drzwi prowadzące do apartamentu, z którego właśnie wyszliśmy - są zaryglowane.

Poirot skinął głową. Nadal wydawał się nad czymś zastanawiać.

- A poza tym, jakie to ma znaczenie? Sprawa jest skończona. Szkoda, że nie miałeś sposobności, aby się bardziej wykazać. Ale był to ten rodzaj sprawy, że nawet taki skończony idiota jak inspektor nie mógł jej zaprzepaścić.

Poirot przecząco pokręcił głową.

- Sprawa nie jest skończona, przyjacielu. I nie będzie, dopóki nie dowiemy się, kto ukradł perły.

- Ależ zrobiła to pokojówka.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Jak to? - zacząłem się jąkać. - Przecież znaleziono je w jej materacu.

- Tak? - odparł zniecierpliwiony Poirot. - To nie były perły.

- Co?

- Imitacja, *mon ami*.

Stwierdzenie to odebrało mi dech w piersiach. Poirot uśmiechał się spokojnie.

- Poczciwy inspektor najwyraźniej nie zna się na klejnotach. Ale wkrótce zrobi się niezły harmider!

- Chodź! - zawołałem, ciągnąc go za ramię.

- Dokąd?

- Musimy natychmiast powiedzieć o tym Opalsenom.

- Nie sądzę.

- Ale ta biedna kobieta...

- *Eh bien*; ta biedna kobieta, jak ją nazwałeś, będzie miała dużo spokojniejszą noc, wierząc, że klejnoty są bezpieczne.

- Ale w tym czasie złodziej może z nimi uciec!

- Jak zwykle, przyjacielu, mówisz bez zastanowienia. Skąd wiesz, że perły, które dzisiejszego wieczoru pani Opalsen zamknęła w szkatułce tak starannie, nie były fałszywe i że prawdziwej kradzieży nie dokonano dużo wcześniej?

- Och! - jęknąłem zdezorientowany.

- No właśnie - powiedział rozpromieniony Poirot. - Zaczynamy od nowa.

Wyszedł z pokoju pierwszy, przystanął na chwilę, jak gdyby coś rozważając, a potem przeszedł przez cały korytarz, zatrzymując się przy malutkim pomieszczeniu, gdzie zebrały się pokojówki i służący z poszczególnych pięter. Wydawało się, iż nasza pokojówka, która opowiadała pełnej uznania publiczności o swoich ostatnich przeżyciach, spotkała się z prawdziwym podziwem. Nagle urwała w połowie zdania. Poirot uklonił się jej ze zwykłą sobie



uprzejmością.

- Proszę mi wybaczyć, że panią niepokoję, ale byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciała pani otworzyć mi pokój pana Opalsena.

Kobieta podniosła się ochoczo, a my udaliśmy się za nią, znowu idąc tym samym korytarzem. Pokój pana Opalsena znajdował się po drugiej stronie przejścia, *vis-a-vis* pokoju żony. Pokojówka otworzyła go zapasowym kluczem i weszliśmy do środka.

Gdy miała już odejść, Poirot ją zatrzymał.

- Jedną chwileczkę; czy widziała pani wśród rzeczy osobistych pana Opalsena taką wizytówkę?

Podał jej gładki biały kartonik, pokryty czymś błyszczącym i o dosyć niecodziennym wyglądzie. Pokojówka obejrzała go uważnie.

- Nie, proszę pana, nie sędzę. A tak w ogóle, to przeważnie służący zajmują się pokojami dżentelmenów.

- Rozumiem. Dziękuję.

Poirot wziął wizytówkę. Kobieta odeszła. On natomiast przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem szybko skinął głową.

- Bardzo cię proszę, Hastings, użyj dzwonka. Zadzwoń trzy razy na służącego.

Spełniłem jego prośbę, nie mogąc się oprzeć ciekawości. Tymczasem Poirot opróżnił kosz na śmieci, szybko przeglądając jego zawartość.

Po kilku chwilach pojawił się służący. I jemu Poirot zadał to samo pytanie i wręczył wizytówkę do obejrzenia. Ale odpowiedź była taka sama. Służący nigdy nie widział podobnej wizytówki pomiędzy rzeczami pana Opalsena. Poirot podziękował mu, a ten się wycofał, trochę niechętnie, rzucając dociekliwe spojrzenia na przewrócony kosz i śmieci na podłodze. Mimochodem usłyszał uwagę wypowiedzianą w zamyśleniu przez Poirota, gdy z powrotem pakował papiery do kosza.

- A naszyjnik był ubezpieczony na dużą sumę...

- Poirot! - zawołałem. - Rozumiem...

- Nic nie rozumiesz, przyjacielu - szybko odparł - jak zwykle, zupełnie nic! Niewiarygodne, ale tak jest. Wróćmy do naszych apartamentów.

Ruszyliśmy w milczeniu. Gdy już się tam znaleźliśmy, ku memu ogromnemu zdziwieniu, Poirot szybko zmienił ubranie.

- Dziś wieczorem jadę do Londynu - wyjaśnił - to konieczne.

- Co?

- Bezwzględnie! Prawdziwa praca, praca umysłu (ach, dzielne szare komórki) jest już

skończona. Jadę, aby potwierdzić to, co już wiem. I potwierdzę! Nie można oszukać Herkulesa Poirot!

- Skompromitujesz się kiedyś - zauważyłem, oburzony jego próżnością.

- Proszę, nie złość się na mnie, *mon ami*. Liczę, że oddasz mi pewną przyjacielską przysługę.

- Oczywiście - odparłem z zapalem, trochę zawstydzony swoją gwałtownością. - O co chodzi?

- O rękaw mego płaszcza, który właśnie zdjąłem. Czy zechciałbyś go wyczyścić? Widzisz, jest na nim trochę białego proszku. Na pewno zauważyłeś, jak wodziłem palcem po krawędzi szuflady toaletki?

- Nie.

- Powinieneś obserwować moje ruchy, przyjacielu. I zostało mi na palcu trochę proszku, a będąc nieco podekscytowanym, wytarłem go o rękaw; bezwiedne działanie, nad którym ubolewam, sprzeczne z moimi zasadami.

- Ale co to za proszek? - zapytałem, nieszczerze zainteresowany zasadami Poirota.

- Na pewno nie trucizna Borgiów - odparł Poirot z błyskiem w oku. - Widzę, że zaczyna działać twoja wyobraźnia. A gdybym powiedział, że to talk?

- Talk?

- Tak, stolarze robiący meble nacierają nim krawędzie szuflad, aby łatwo się otwierały i zamykały.

Roześmiałem się.

- Stary grzeszniku! Myślałem, że zajmujesz się czymś ekscytującym.

- *Au revoir*, przyjacielu. Oszczędzam sobie trudu. Uciekam!

Drzwi się za nim zamknęły. Z uśmiechem na wpół szyderczym, na wpół czułym wziąłem jego płaszcz i wyciągnąłem rękę po szczoteczkę do ubrań.

Następnego ranka, nie mając żadnych wieści od Poirota, wyszedłem na spacer, spotkałem paru starych znajomych i zjadłem z nimi lunch w ich hotelu. Po południu wybraliśmy się na przejażdżkę. Przebita opona opóźniła nasz powrót, tak że w Grand Metropolitan byłem dopiero po ósmej.

Od razu spostrzegłem Poirota. Siedział wciśnięty pomiędzy Opalsenów - wydawał się nawet mniejszy niż zazwyczaj - z oznakami spokojnej satysfakcji na twarzy.

- *Mon ami* Hastings! - zawołał i skoczył na równe nogi, aby mnie przywitać. - Uściśnij mnie, przyjacielu; wszystko potoczyło się po mojej myśli!

Na szczęście uścisk był jedynie symboliczny, nie taki, jakiego zwykle można się spodziewać po Poirocie.

- Czy chcesz powiedzieć... - zacząłem.

- To po prostu cudowne! - stwierdziła pani Opalsen, uśmiechając się szeroko. - A nie mówiłam, Ed, że jeśli on nie znajdzie moich pereł, nikomu się to nie uda?

- Ależ tak, kochanie, tak. I miałaś rację.

Popatrzyłem bezradnie na Poirota, a on dostrzegł to spojrzenie.

- Mój przyjaciel Hastings jest, jak to się mówi w Anglii, niezorientowany. Usiądź, a zrelacjonuję ci całą sprawę, która się zakończyła tak szczęśliwie.

- Zakończyła?

- Ależ tak. Są aresztowani.

- Kto jest aresztowany?

- Pokojówka i służący z hotelu, *parbleu!* Niczego nie podejrzewałeś? Nawet wtedy, gdy przed wyjazdem napomknąłem o talku?

- Stwierdziłeś, że stolarze robiący meble nacierają nim krawędzie szuflad.

- O tak, aby się łatwo otwierały i zamykały. Ktoś chciał, żeby otwierały się bezgłośnie. Komu na tym zależało? Oczywiście, jedynie pokojówce z hotelu. Plan był tak pomysłowy, że trudno go było przejrzeć, miał z tym trudności nawet Herkules Poirot.

Posłuchaj teraz, na czym polegał. Służący przez cały czas i czeka w pustym pokoju obok. Celestine opuszcza pokój. Pokojówka z hotelu błyskawicznie otwiera szufladę, wyjmując kasetkę z biżuterią i odsuwając zasuwę, podaje ją przez drzwi. Służący może ją teraz spokojnie otworzyć zapasowym kluczem, który sobie wcześniej przygotował, wyjmując naszyjnik i czeka stosownej chwili. Celestine opuszcza pokój po raz drugi i - pst! - kasetka błyskawicznie wraca do pokoju i z powrotem do szuflady.

Wraca madame, kradzież zostaje odkryta. Pokojówka z hotelu, bardzo oburzona, nalega, aby ją przeszukano, i wolna od podejrzeń opuszcza pokój. Wcześniej chowa w łóżku Francuzki fałszywy naszyjnik, który ma już przygotowany - mistrzowskie posunięcie, *ca!*

- Ale po co wyjeżdżałeś do Londynu?

- Pamiętasz wizytówkę?

- Oczywiście. Bardzo mnie zaintrygowała... i nadał intryguje. Sądziłem... - Zawahałem się nieco, spoglądając na pana Opalsena.

Poirot roześmiał się serdecznie.

- *Une blague!* Ze względu na służącego. Chodziło o to, aby się mogły na niej odbić odciski palców. Potem pojechałem prosto do Scotland Yardu, spotkałem się z naszym starym

przyjacielem inspektorem Jappem i zapoznałem go z faktami. Tak jak podejrzewałem, tych dwoje było znanymi złodziejami klejnotów, poszukiwanymi od jakiegoś czasu przez policję. Japp przyjechał tu wraz ze mną, złodzieje zostali aresztowani, a naszyjnik odnaleziono wśród rzeczy służącego. Sprytna para, ale zawiodła ich metoda. Czy nie mówiłem ci, Hastings, przynajmniej ze trzydzieści sześć razy, że bez odpowiedniej metody...

- Przynajmniej ze trzydzieści sześć tysięcy razy! - przerwałem mu. - Ale w czym tkwił błąd?

- *Mon ami*, pomysł, aby przyjąć rolę pokojówki i służącego, był dobry, ale nie można się wtedy wymigiwać od pracy. Ten wolny pokój obok pozostawili nieodkurzony. I dlatego, gdy mężczyzna postawił kasetkę z biżuterią na stoliku przy drzwiach, zostawiła ślad...

- Pamiętam! - zawołałem.

- Na początku miałem pewne wątpliwości. Potem wiedziałem już na pewno! Nastąpiła chwila ciszy.

- I oto mam swoje perły - niczym chór grecki zakończyła pani Opalsen.

- No cóż - odparłem - zjadłbym coś.

Poirot udał się wraz ze mną.

- To zapewne dodało ci prestiżu - zauważyłem.

- *Pas du tout* - spokojnie odparł Poirot - Japp i miejscowy inspektor podzielili się uznaniem. Ale - poklepał się po kieszeni - mam tu czek od pana Opalsena, co ty na to, przyjacielu? Ten weekend nie minął nam zgodnie z planem. Może wrócimy tu w następnym, tym razem na mój koszt!

## Porwanie premiera

Teraz, gdy wojna i jej problemy należą już do przeszłości, sądzę, iż mogę odważyć się wyjawić światu rolę, jaką mój przyjaciel Poirot odegrał w chwili narodowego kryzysu. Sekret ten był bardzo dobrze strzeżony. Ani słowo nie przedostało się do prasy. Teraz jednak, gdy nie ma już potrzeby dalszego dochowywania tajemnicy, uważam, że Anglia powinna się dowiedzieć, ile zawdzięcza memu przyjacielowi, którego zdumiewający umysł tak umiejętnie zażegnał grożącą nam katastrofę.

Pewnego wieczoru po obiedzie, nie podam tu żadnej dokładnej daty; wystarczy, iż nadmienię, że był to okres, gdy "pokój osiągnięty drogą negocjacji" stał się ulubionym frazesem wrogów Anglii, mój przyjaciel i ja siedzieliśmy u niego w mieszkaniu. Kiedy bowiem zwolniono mnie ze służby w wojsku z powodu złego stanu zdrowia i otrzymałem pracę w wojskowej komisji uzupełnień, weszło mi w zwyczaj wpadanie wieczorami, po obiedzie, do Poirota, aby porozmawiać z nim o wszelkich interesujących sprawach, o jakich akurat słyszał.

Właśnie próbowałem omówić z nim sensacyjną wiadomość dnia, ni mniej, ni więcej, tylko próbę zabójstwa pana Davida MacAdama, premiera Anglii. Relacje na ten temat w gazetach były najwyraźniej dokładnie ocenzurowane. Nie podano żadnych szczegółów, ograniczając się do tego, że premier cudem uniknął śmierci i że kula otarła mu się o policzek.

Uważałem, że nasza policja musiała być bardzo niedbała, skoro doszło do takiego skandalu. Byłem w stanie zrozumieć, iż niemieccy agenci działający w Anglii daliby wiele, aby osiągnąć taki rezultat. "Nieugięty Mac", jak go nazwano w jego własnej partii, z uporem zwalczał też tendencje pacyfistyczne, ostatnio coraz powszechniejsze.

Był nie tylko premierem Anglii, był samą Anglią, i usunięcie go ze sfery wpływów stanowiłoby druzgocący i paraliżujący cios dla Wielkiej Brytanii.

Poirot zajęty był czyszczeniem szarego garnituru malutką gąbką. Trudno o większego dandysa niż Herkules Poirot. Elegancja i porządek były jego pasją. Teraz, gdy woń benzenu wypełniła powietrze, nie był w stanie poświęcić mi wystarczająco dużo uwagi.

- Jeszcze chwilę, przyjacielu. Już prawie skończyłem. Ta tłusta plama... nie podoba mi się... usunę ją, o tak! - Zaczął wymachiwać gąbką.

Uśmiechnąłem się, zapalając kolejnego papierosa.

- Pracujesz nad czymś interesującym? - zapytałem po chwili.

- Pomagam... jak to się mówi po angielsku?... posługaczce odnaleźć męża. Trudna sprawa, wymagająca taktu. Sądzę, że gdy go już odnajdę, nie będzie z tego zadowolony.

Czegóż chcesz? Jeśli o mnie chodzi, współczuję temu człowiekowi. Zależało mu na tym, żeby się zgubić.

Roześmiałem się.

- Nareszcie! Ta tłusta plama... zniknęła! Jestem do twojej dyspozycji.

- Pytałem, co sądzisz o próbie zabójstwa MacAdama.

- *Enfantillage!* - natychmiast odparł Poirot. - Trudno traktować to poważnie. Żeby strzelać z karabinu, to nie może się powieść. Takie pomysły należą już do przeszłości.

- Niewiele brakowało, a tym razem by się udało - zauważyłem.

Poirot, zniecierpliwiony, przecząco pokręcił głową. Miał mi właśnie odpowiedzieć, gdy gospodyni wsunęła głowę przez drzwi i oznajmiła, że na dole czeka dwóch dżentelmenów, którzy chcieliby się z nim widzieć.

- Nie podali nazwisk, proszę pana, ale mówią, że to bardzo ważne.

- Proszę ich wprowadzić - odparł Poirot, starannie składając swoje szare spodnie.

Po kilku minutach goście weszli; na ich widok serce zabiło mi żywiej, gdyż w pierwszej osobistości rozpoznałem lorda Estair, przewodniczącego Izby Gmin, jego towarzyszem był pan Bernard Dodge, członek Rady Ministrów i o ile mi wiadomo, bliski przyjaciel premiera.

- Monsieur Poirot? - indagował lord Estair. Mój przyjaciel skinął głową. Mąż stanu spojrzał na mnie i zawahał się. - Moja sprawa ma charakter poufny.

- Może pan mówić bez obaw przy kapitanie Hastingsie - stwierdził mój przyjaciel, kiwnąwszy w moim kierunku głową na znak, abym został. - Choć nie posiada wszystkich możliwych przymiotów, jednak ręczę za jego dyskrecję!

Lord Estair mimo to nadal się wahał, ale pan Dodge nagle wtrącił:

- No już, nie przeciągajmy tego! Wkrótce będzie o tym wiedzieć cała Anglia. W tej chwili liczy się tylko czas.

- Proszę usiąść, messieurs - powiedział uprzejmie Poirot.

- Zechce pan zająć to wielkie krzesło, milordzie.

Lord Estair nieznacznie drgnął.

- Pan mnie zna?

Poirot uśmiechnął się.

- Oczywiście. Czytuję gazety, a w nich pojawiają się pańskie zdjęcia. Jak mógłbym pana nie znać?

- Monsieur Poirot, przyszedłem, aby zasięgnąć pańskiej rady w bardzo pilnej sprawie. Muszę pana prosić o całkowitą dyskrecję.

- Herkules Poirot ręczy za to swym honorem; sądzę, że nie muszę dodawać nic więcej!

- pompatycznie odparł mój przyjaciel.

- Sprawa dotyczy premiera. Jesteśmy w poważnym kłopotcie.

- Jesteśmy przyparci do muru! - wtrącił pan Dodge.

- Obrażenia są zatem poważne? - zapytałem.

- Jakie obrażenia?

- Od kuli.

- Ach, o to chodzi! - zawołał pogardliwie pan Dodge. - To stara historia.

- Jak powiedział mój kolega - kontynuował lord Estair - ta sprawa jest już zakończona.

Na szczęście nie powiodła się. Chciałbym móc powiedzieć to samo o drugiej próbie.

- A więc była i druga próba?

- Tak, chociaż nie tego samego rodzaju, monsieur Poirot, premier zniknął.

- Co?

- Został porwany!

- Niemożliwe! - zawołałem oszołomiony.

Poirot rzucił w moim kierunku miazdzące spojrzenie, które, o czym wiedziałem, miało mnie zachęcić do milczenia.

- Niestety, choć wydaje się to niemożliwe, to jednak prawda - ciągnął dalej jego lordowska mość. Poirot popatrzył na pana Dodge'a.

- Przed chwilą powiedział pan, że liczy się tylko czas. Co pan miał na myśli?

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia, po czym lord Estair odparł:

- Czy słyszał pan, monsieur Poirot, o zbliżającej się konferencji aliantów?

Mój przyjaciel skinął głową.

- Z wiadomych powodów nie podano do publicznej wiadomości, kiedy ani gdzie ma mieć ona miejsce. Lecz chociaż nie dotarło to do gazet, jej data jest dokładnie znana w kręgach dyplomatycznych. Konferencja ma się odbyć jutro wieczorem, to znaczy we czwartek, w Wersalu. Teraz zapewne uświadamia pan sobie całą powagę sytuacji. Nie będę ukrywał, że obecność premiera na konferencji jest konieczna. Pacyfistyczna propaganda, zapoczątkowana i podsycana przez niemieckich agentów działających w naszym kraju, jest ostatnio bardzo silna. Powszechnie też uważa się, że to, czy dojdzie do punktu zwrotnego na tej konferencji, zależy od silnej osobowości naszego premiera. Jego nieobecność może mieć jak najdalej idące skutki, łącznie z przedwczesnym, katastrofalnym dla aliantów pokojem. A nie mamy nikogo, kto mógłby go zastąpić. On jest w stanie reprezentować Anglię w pojedynkę.

Twarz Poirota stała się bardzo poważna.

- A zatem uważa pan, że porwanie premiera miało na celu uniemożliwienie mu

uczestnictwa w konferencji?

- Z całą pewnością. Był w tym czasie akurat w drodze do Francji.

- A konferencja ma się rozpocząć...

- Jutro o dziewiątej wieczorem.

Poirot wyciągnął z kieszeni ogromny zegarek.

- Jest teraz za kwadrans dziewiąta.

- Za dwadzieścia cztery godziny - odparł pogrążony w myślach pan Dodge.

- I kwadrans - dorzucił Poirot. - Niech pan nie zapomina o tym kwadransie, monsieur, może okazać się bardzo ważny. A teraz jeżeli chodzi o szczegóły: czy uprowadzenie miało miejsce w Anglii, czy we Francji?

- We Francji. Pan MacAdam opuścił Anglię dziś rano. Noc miał spędzić u głównodowodzącego sił zbrojnych, a jutro kontynuować podróż do Paryża. Przez kanał przewiózł go niszczyciel. W Boulogne czekał na niego samochód i jeden z adiutantów z kwatery głównej.

- *Eh bien?*

- No cóż, wyruszyli z Boulogne i ślad po nich zaginął.

- Co?

- Monsieur Poirot, to był fałszywy samochód i fałszywy adiutant. Prawdziwy samochód odnaleziono na bocznej drodze, a w nim szofer a adiutanta zgrabnie związanych i zakneblowanych.

- A co się stało z fałszywym samochodem?

- Nie wiadomo.

Poirot zareagował gestem zniecierpliwienia.

- Niewiarygodne! Z pewnością niedługo zostanie odnaleziony.

- Tak też sądziliśmy. Wydawało się, że wystarczy przeprowadzić gruntowne poszukiwania. W tej części Francji obowiązuje prawo wojskowe. Byliśmy przekonani, że samochód nie na długo wymknie się spod naszej kontroli. Policja francuska i nasi ludzie ze Scotland Yardu, jak również wojsko, wyteżali wszystkie siły. To, jak się pan wyraził, niewiarygodne, ale niczego nie znaleziono!

W tej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi i wszedł młody oficer z zapieczętowaną kopertą, którą podał lordowi Estair.

- Właśnie otrzymaliśmy to z Francji, sir. Dostarczyłem ją tu, tak jak pan polecił.

Minister szybko otworzył kopertę i podekscytowany wykrzyknął. Oficer wyszedł.

- Nareszcie są wiadomości! Telegram właśnie odszyfrowano. Znaleźli drugi samochód



i sekretarza Danielsa, uśpionego chloroformem, zakneblowanego i związanego, na opuszczonej farmie w pobliżu C. Niczego nie pamięta, z wyjątkiem tego, że ktoś od tyłu przycisnął mu do nosa i ust jakąś szmatę i że próbował się bronić. Policja jest przekonana o prawdziwości jego zeznań.

- Czy niczego więcej nie znaleźli?

- Nie.

- A więc nie znaleziono też ciała premiera. Zatem jest jeszcze nadzieja. A swoją drogą, to dziwne. Dlaczego po rannej próbie zastrzelenia go teraz zadają sobie tak wiele trudu, aby go utrzymać przy życiu?

Dodge potrząsnął głową.

- Jedno jest pewne. Chcą za wszelką cenę powstrzymać premiera od wzięcia udziału w konferencji.

- Jeśli uwolnienie go leży w ludzkiej mocy, premier będzie na niej obecny. Bóg świadkiem, że nie jest jeszcze za późno. A teraz, messieurs, proszę mi dokładnie o wszystkim opowiedzieć, od samego początku. O tej strzelaninie również.

- Ubiegłego wieczoru premier w towarzystwie jednego ze swoich sekretarzy, kapitana Danielsa...

- Tego samego, który towarzyszył mu do Francji?

- Tak. Jak już wspomniałem, jechali do Windsoru, gdzie premier miał się stawić na audiencję. Wczesnym rankiem wracał do miasta i właśnie wtedy doszło do tego zamachu.

- Jedną chwileczkę, bardzo proszę. Kim jest kapitan Daniels? Ma pan jego *dossier*?

Lord Estair uśmiechnął się.

- Przypuszczałem, że mnie pan o to zapyta. Nie wiemy o nim zbyt wiele. Nie pochodzi z żadnej znamienitej rodziny. Służył w angielskim wojsku, jest niezwykle uzdolnionym sekretarzem i wyjątkowo świetnym lingwistą. O ile wiem, włada siedmioma językami. I właśnie z tego powodu premier wybrał akurat jego, aby mu towarzyszył w podróży do Francji.

- Czy ma jakichś krewnych w Anglii?

- Dwie ciotki. Niejaką panią Everard, zamieszkałą w Hampstead, i niejaką pannę Daniels, mieszkającą w pobliżu Ascot.

- Ascot? Ależ to niedaleko Windsoru, prawda?

- Nie przeoczyliśmy tego. Ale ten ślad nigdzie nas nie doprowadził.

- A zatem uważa pan, że kapitan Daniels jest poza podejrzeniem?

Jakaś gorycz dała się słyszeć w głosie lorda Estair, gdy odpowiadał:

- Nie, monsieur Poirot. W dzisiejszych czasach bardzo bym się zastanawiał, zanim

wydałbym opinię, że ktokolwiek jest poza podejrzeniem.

- *Tres bien*. Rozumiem więc, milordzie, że premier znajdował się pod czujnym okiem policji, która miała uniemożliwić każdy skierowany na niego atak?

Lord Estair na znak potwierdzenia skinął głową.

- Rzeczywiście tak było. Za samochodem premiera podążał zawsze inny samochód, w którym znajdowali się detektywi ubrani po cywilnemu. Pan MacAdam nie był świadomy tych środków ostrożności. Sam jest człowiekiem nieustraszonym i zapewne zechciałby się ich pozbyć w sposób arbitralny. Ale, oczywiście, policja zawsze czyni pewne kroki na własną rękę. I tak szofer premiera, O'Murphy, jest pracownikiem brytyjskiej policji kryminalnej.

- O'Murphy? To irlandzkie nazwisko, prawda?

- Tak, jest Irlandczykiem.

- Z jakiej części Irlandii?

- Z County Clare, jak sądzę.

- *Tiens!* Ale proszę kontynuować, milordzie.

- Premier wyruszył do Londynu z kapitanem Danielsem. Drugi samochód, jak zwykle, podążał za nimi. Ale niestety samochód premiera z jakichś nieznanych bliżej powodów zjechał z głównej drogi...

- W miejscu, gdzie droga skręca.

- Tak. Skąd pan to wie?

- Och, *c'est evident!* Proszę kontynuować.

- Z bliżej nieznanych powodów - ciągnął lord Estair - samochód premiera zmienił trasę. Samochód policyjny, nieświadomy tej zmiany, pojechał dalej szosą. Po przejechaniu niewielkiej odległości tą mało uczęszczaną drogą samochód premiera został nagle zatrzymany przez bandę zamaskowanych mężczyzn. Szofer...

- Ten dzielny O'Murphy! - mruknął zamyślony Poirot.

- Szofer, przez chwilę osłupiały, nacisnął hamulec. Premier wychylił głowę przez okno. Nagle padł strzał, potem następny. Pierwsza kula musnęła jego policzek, druga na szczęście przeszła obok. Szofer, świadom grożącego niebezpieczeństwa, ruszył wprost przed siebie, rozpędzając bandę.

- Niewiele brakowało - wykrzyknąłem dygocząc.

- Pan MacAdam wzbraniał się przed robieniem zamieszania wokół niewielkiej rany, jaką odniósł. Oznajmił, że to jedynie draśnięcie. Zatrzymał się w miejscowym wiejskim szpitalu, gdzie zdezynfekowano i opatrzono obrażenie, oczywiście, nie wyjawiał swej tożsamości. Potem zgodnie z planem pojechał prosto na Charing Cross, gdzie czekał na niego

specjalny pociąg do Dover, i po krótkiej relacji na temat tego, co się stało, jakiej kapitan Daniels udzielił zaniepokojonej policji, odjechał do Francji. W Dover wszedł na pokład oczekującego niszczyciela. W Boulogne, jak pan wie, czekał już na niego fałszywy samochód, do złudzenia przypominający prawdziwy, posiadał nawet flagę brytyjską.

- Czy to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?

-Tak.

- Nie pominął pan żadnych szczegółów, milordzie?

- No cóż, jest jeden, dosyć ważny szczegół.

- Tak?

- Samochód nie wrócił do garażu po odwiezieniu premiera na Charing Cross. Policji bardzo zależało, aby przesłuchać O'Murphy'ego, więc natychmiast wszczęła poszukiwania. Samochód odnaleziono przed pewną podejrzaną restauracyjką w Soho, znaną jako miejsce spotkań niemieckich agentów.

- A szofer?

- Szofera nie znaleziono. On również zniknął.

- A zatem - odparł pograżony w myślach Poirot - mamy dwa zniknięcia; premiera we Francji i O'Murphy'ego w Londynie.

Przyjrzał się bacznie lordowi Estair, który wykonał rozpaczliwy gest.

- Mogę powiedzieć panu tylko tyle, monsieur Poirot, że gdyby wczoraj ktoś mi zasugerował, iż O'Murphy jest zdrajcą, roześmiałbym się mu w twarz.

- A dzisiaj?

- Dzisiaj sam już nie wiem, co myśleć.

Poirot z powagą skinął głową. Jeszcze raz popatrzył na swój ogromny zegarek.

- Rozumiem, że mam *carte blanche*, messieurs - we wszystkim. Będę mógł się udać, gdzie chcę i jak chcę.

- Oczywiście. Za godzinę wyrusza do Dover specjalny pociąg z dodatkowym kontyngentem ze Scotland Yardu. Towarzystwa dotrzymają panu wojskowy oficer i człowiek z Brytyjskiej Policji Kryminalnej; będą całkowicie do pana dyspozycji. Czy to pana zadowala?

- Całkowicie. Jeszcze jedno pytanie, messieurs, zanim wyjdziecie. Dlaczego przyszlście panowie akurat do mnie? Jestem przecież nieznany w tym waszym wielkim Londynie.

- Odszukaliśmy pana po tym, jak nam go zarekomendowała pewna bardzo ważna w pańskim kraju osobistość.

- *Comment?* Mój stary przyjaciel *prefet*...?

Lord Estair przecząco pokręcił głową.

- Ktoś ważniejszy niż *prefet*. Jego słowo było kiedyś w Belgii prawem... i znowu będzie! To Anglia sobie poprzysięgła!

Dłoń Poirota szybko powędrowała do góry, energicznie salutując.

- Amen! Och, mój pan nie zapomina... *messieurs*, ja, Herkules Poirot, będę wam służył wiernie. Wszystko w ręku Boga. Ale sprawa jest tak niejasna... niejasna... nie pojmuję.

- No i cóż, Poirot - zwołałem zniecierpliwiony, gdy drzwi zamknęły się za ministrami  
- co o tym sądzisz?

Mój przyjaciel był zajęty pakowaniem rzeczy do małej walizeczki szybkimi, zgrabnymi ruchami. Zamyślony potrząsnął głową.

- Sam nie wiem, co o tym myśleć. Umysł mnie zawodzi.

- Dlaczego, tak jak sam stwierdziłeś, porywać go, skoro wystarczyłoby uderzenie w głowę? - zacząłem się zastanawiać.

- Przepraszam, *mon ami*, ale nie to miałem na myśli. Bez wątpienia, porwanie go dużo bardziej leży w ich interesie.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ niepewność wywołuje panikę. To po pierwsze. Gdyby premier nie żył, byłaby to straszna katastrofa, ale sytuacja byłaby jasna i musiano by stawić jej czoło. A tak masz paraliż. Czy premier znowu się pojawi, czy też nie? Czy żyje jeszcze, czy może już go zabito? Nikt nic nie wie i dopóki to trwa, nic stanowczego nie da się przedsięwziąć. Tak jak mówię, niepewność rodzi panikę, a na to właśnie liczą *les Boches*. Co więcej, jeżeli porywacze przetrzymują go gdzieś w ukryciu, mają tę przewagę, że mogą uzgodnić warunki z obiema stronami. Rząd niemiecki z reguły nie jest hojnym płatnikiem, ale bez wątpienia wyłożyłby znaczną sumę w przypadku takim jak ten. Po trzecie, nie grozi im za to szubienica. Och, to oczywiste, że porwanie leży w ich interesie.

- Jeżeli tak jest, dlaczego na początku próbowali go zabić?

Poirot wykonał gniewny gest.

- Ach, tego właśnie nie pojmuję! To zupełnie niezrozumiale, wręcz głupie! Poczynili wszelkie przygotowania do uprowadzenia (i zrobili to dobrze!), a potem narazili na niebezpieczeństwo całą sprawę, wykonując melodramatyczny atak, godny kina i całkiem iluzoryczny. Aż trudno w to uwierzyć, jak i w tę bandę zamaskowanych mężczyzn o niecałe dwadzieścia mil od Londynu!

- Może były to dwa zupełnie różne zajścia, które nie miały ze sobą nic wspólnego - zasugerowałem.

- O nie, byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Poza tym ktoś zdradził? Musiał być zdrajca, przynajmniej za pierwszym razem. Ale kto nim był, Daniels czy O'Murphy? To musiał być jeden z nich, inaczej samochód nie zboczyłby z drogi. Nie możemy natomiast zakładać, że premier z nimi współdziałał w zamachu na własne życie! Czy O'Murphy sam skrzywił, czy kazał mu to zrobić Daniels?

- To z pewnością musiała być sprawka O'Murphy'ego.

- Tak, ponieważ gdyby to był Daniels, premier usłyszałby polecenie i zapytałby o przyczynę. Ale ogólnie biorąc, jest w tej sprawie zbyt wiele wątpliwości i co więcej, przeczą one sobie nawzajem. Jeżeli O'Murphy jest prawym człowiekiem, dlaczego zboczył z drogi? Jeżeli jest nieuczciwy, dlaczego ponownie uruchomił silnik, gdy padły zaledwie dwa strzały, tym samym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ratując premierowi życie? I znowu, jeżeli jest uczciwy, dlaczego natychmiast po opuszczeniu Charing Cross pojechał na miejsce spotkania niemieckich szpiegów?

- Wygląda to źle - odparłem.

- Przyjrzyjmy się tej sprawie metodycznie. Jakie mamy za i przeciw w stosunku do każdego z mężczyzn? Weźmy najpierw O'Murphy'ego. Przeciw: to, że zmienił trasę, jest podejrzane; że jest Irlandczykiem z County Clare; że zniknął w bardzo niedwuznaczny sposób. Za: szybkość, z jaką ponownie uruchomił samochód, uratowała premierowi życie; pracuje w Scotland Yardzie i jest, o czym świadczy praca, jaką mu przydzielono, godnym zaufania detektywem. Teraz Daniels. Niewiele świadczy przeciwko niemu, z wyjątkiem tego, że nic nie wiadomo o jego przodkach i że jak na porządnego Anglika włada zbyt wieloma językami! Wybacz mi, *mon ami*, ale jako lingwiści jesteście godni ubolewania! Natomiast przemawia za nim fakt, że znaleziono go zakneblowanego, związanego i uspiętego chloroformem, co mogłoby świadczyć, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

- Mógł się sam zakneblować i związać, aby odwrócić podejrzania.

Poirot potrząsnął głową.

- Policja francuska nie popełniłaby takiego błędu. Poza tym, gdyby już osiągnął swój cel i premier został porwany, pozostawienie go nie miałoby większego sensu. Jego wspólnicy mogli, oczywiście, zakneblować go i uspić chloroformem, ale nie bardzo rozumiem, co chcieli przez to osiągnąć. Nie mieliby z niego większego pożytku, gdyż do czasu wyjaśnienia sprawy na pewno byłby dokładnie obserwowany.

- Może chciał naprowadzić policję na fałszywy trop?

- Więc dlaczego tego nie zrobił? Stwierdził jedynie, że przyciśnięto mu coś do nosa i ust. I że niczego więcej nie pamięta. Gdzie tu fałszywy ślad? Brzmi to bardzo wiarygodnie.

- No cóż - odparłem, spoglądając na zegarek. - Sądzę, że powinniśmy już wyruszyć na stację. Możliwe, że znajdziesz więcej wskazówek we Francji.

- Być może, *mon ami*, choć mam wątpliwości. Nadal wydaje mi się wręcz niewiarygodne, że nie odnaleziono premiera na tak ograniczonym obszarze, gdzie ukrycie go musi stanowić niezwykle trudność. Jeżeli wojsko i policja dwóch krajów nie odnalazła go, jak ja to zdołam zrobić?

Na Charing Cross czekał na nas pan Dodge.

- To detektyw Barnes ze Scotland Yardu i major Norman. Pozostaną do pana wyłącznej dyspozycji. Powodzenia. Sprawa jest poważna, ale nie tracę nadziei. Teraz muszę się już pożegnać. - I minister szybko się oddalił.

Gawędziliśmy trochę z majorem Normanem. W grupce mężczyzn stojących na peronie rozpoznałem niewysokiego jegomościa o twarzy przypominającej pyszczek fretki, który rozmawiał z wysokim, jasnowłosym mężczyzną. Był to stary znajomy Poirota, detektyw-inspektor Japp, podobno jeden z najbystrzejszych oficerów w Scotland Yardzie. Podszedł i ochotczo przywitał się z moim przyjacielem.

- Słyszałem, że i pan się tym zajmuje. Zrobili dobrą robotę. Jak dotąd, udawało im się wyjść z tego bez szwanku. Ale trudno mi uwierzyć, że będą w stanie długo go ukrywać. Nasi ludzie dokładnie przeczesują Francję. Francuzi również. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że teraz to tylko kwestia godzin.

- Jeżeli jeszcze żyje - zauważył posepnie wysoki detektyw.

Jappowi zrzęda mina.

- Tak... trudno to wytłumaczyć, ale mam przeczucie, że premier żyje.

Poirot skinął głową.

- Tak, tak, żyje. Ale czy odnajdziemy go na czas? Podobnie jak pan, nie wierzę, aby byli w stanie długo go ukrywać.

Dał się słyszeć gwizd i wszyscy weszliśmy do wagonu pulmanowskiego. Powolnym, niechętnym szarpnięciem pociąg ruszył ze stacji.

Była to szczególna podróż. Ludzie ze Scotland Yardu usiedli razem. Mapy północnej Francji zostały rozłożone, a palce wskazujące gorliwie śledziły linie dróg i kolejne wsie. Każdy miał swoją własną teorię. Zachowanie Poirota było teraz pozbawione typowej dla niego gadatliwości, siedział z oczami wpatrzonymi przed siebie i wyrazem twarzy, który przypominał głowiące się nad czymś dziecko. Ja natomiast rozmawiałem z Normanem, w którym znalazłem wesołego towarzysza. To, co zrobił Poirot w Dover, ogromnie mnie rozbawiło: mój przyjaciel, gdy tylko wszedł na pokład statku, desperacko uchwycił się mego

ramienia. Wiał silny wiatr.

- *Mon Dieu!* - wymamrotał. - To straszne!

- Odwagi, Poirot! - zawołałem. - Odniesiesz sukces. Odnajdziesz go. Jestem tego pewien.

- Ach, *mon ami*, mylnie interpretujesz moje emocje. Dręczy mnie to okropne morze! *Mal de mer*, to okropna dolegliwość!

- Och! - odparłem dosyć zmieszany.

Dał się słyszeć warkot silników, Poirot jęknął i zamknął oczy.

- Major Norman ma mapę północnej Francji, może chciałbyś ją przestudiować?

Poirot zniecierpliwiony potrząsnął głową.

- Ależ nie, nie. Zostaw mnie, przyjacielu. Widzisz, żeby człowiek mógł myśleć, żołądek i mózg muszą ze sobą współdziałać. Laverguier opracował doskonałą metodę na umknienie *mal de mer*. Wdychasz powietrze i wydychasz, wolno, o tak, odwracając głowę od lewej strony do prawej i licząc do sześciu przed każdym kolejnym oddechem.

Zostawiłem go, aby w samotności oddawał się swoim ćwiczeniom, i poszedłem na pokład.

Gdy wolno wpływaliśmy do portu Boulogne, pojawił się Poirot, elegancki i uśmiechnięty, i szeptem oświadczył mi, że system Laverguiera poskutkowało "wręcz zdumiewająco".

Palec Jappa nadal wskazywał wymyślone drogi na mapie.

- Nonsens! Samochód wyruszył z Boulogne - tu się rozdzielili. Następnie, wydaje mi się, wraz z premierem przesiedli się do innego samochodu. Rozumiecie?

- No cóż - odparł wysoki detektyw - kierowałbym się w stronę portów. Stawiam dziesięć do jednego, że przemycili go na pokład jakiegoś statku.

Japp przecząco pokręcił głową.

- Za bardzo rzucaloby się to w oczy. Od razu wydano rozkaz, aby zamknąć wszystkie porty.

Świtało, gdy wyszliśmy na ląd. Major Norman dotknął ramienia Poirota.

- Czeka tu na pana wojskowy samochód, sir.

- Dziękuję, monsieur, ale w tej chwili nie zamierzam opuszczać Boulogne.

- Co?

- Nie, wejdziemy do tego hotelu przy nabrzeżu.

Zrobił tak, jak powiedział, zażądał osobnego pokoju i otrzymał go. My trzej podążyliśmy za nim, zakłopotani i niewiele z tego rozumiejący. Rzucił nam krótkie spojrzenie.

- Nie tak się powinien zachowywać dobry detektyw, prawda? Czytam to w waszych myślach. Musi być pełen energii. Musi śpieszyć się tu i tam. Z twarzą przy ziemi powinien szukać na zakurzonej drodze śladów kół. Musi zebrać niedopałki papierosów, upuszczoną zapalną. Tak to widzicie, czyż nie mam racji? - Jego oczy rzuciły nam wyzwanie. - Ale ja, Herkules Poirot, mówię wam, że to nieprawda! Prawdziwe wskazówki są o tu! - Dotknął ręką czoła. - No cóż, niepotrzebnie wyjeżdżałem z Londynu. Wystarczyło spokojnie usiąść w mieszkaniu. Liczą się jedynie szare komórki. Po cichu i niepostrzeżeniu robią, co do nich należy, dopóki nagle nie poproszę o mapę i nie położę palca na jakimś miejscu, o tak, i nie powiem: premier jest tu! Na tym to polega! Jeśli się zna metodę i logikę, można osiągnąć wszystko! Ten szalony pośpiech, z jakim jechaliśmy do Francji, był błędem - i przypominał zabawę dzieci w chowanego. Ale teraz, choć może jest już za późno, zabiorę się do pracy we właściwy sposób, od sedna sprawy. Uczście się, przyjaciele, bardzo proszę.

I przez pięć długich godzin mój niewysoki przyjaciel siedział bez ruchu, przymykając powieki niczym kot i mrużąc oczy, które przybierały coraz bardziej intensywną barwę. Pracownik Scotland Yardu, oczywiście, zareagował na to pogardą, major Norman był znudzony i zniecierpliwiony, a mnie samemu wydawało się, że czas płynie niezmiernie wolno.

W końcu wstałem i podszedłem do okna, próbując przy tym robić jak najmniej hałasu. Cała sprawa powoli zaczęła zamieniać się w farsę. W skrytości ducha niepokoiłem się o swego przyjaciela. Jeśli mu się nie powiedzie, wołałbym, aby się przy tym mniej ośmieszył. Dla zabicia czasu patrzyłem przez okno na odpływający statek, który, przepływając obok nabrzeża, wyrzucił z siebie cztery słupy dymu.

Nagle wyrwał mnie z zamyślenia głos Poirota, tuż przy i moim łokciu.

- *Mes amis*, zaczynajmy!

Odwróciłem się. Nadzwyczajna przemiana zaszła w moim przyjacielu. Oczy mu błyszczały na skutek podniecenia, klatka piersiowa rozszerzyła się maksymalnie.

- Byłem imbecylem, przyjaciele! Ale wreszcie widzę światło dnia.

Major Norman spiesznie ruszył w stronę drzwi.

- Wezwę samochód.

- Nie ma po co. Nie będzie mi potrzebny. Dzięki Bogu, wiatr już osłabł,

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że wybiera się pan na spacer, sir?

- Nie, młody przyjacielu. Nie jestem świętym Piotrem. Wolę przepłynąć się przez morze statkiem.

- Przepłynąć się przez morze?

- Tak. Aby pracować metodycznie, trzeba zacząć od samego początku. A początek tej



sprawy miał miejsce w Anglii. Zatem wracamy do Anglii,

O trzeciej znowu staliśmy na peronie Charing Cross. Poirot był głuchy na nasze wymówki, wielokrotnie powtarzając, że rozpoczęcie sprawy od samego początku nie jest stratą czasu, lecz jedynym wyjściem. Po drodze cicho naradzał się z Normanem, po czym ten ostatni wysłał z Dover plik telegramów.

Dzięki specjalnym przepustkom, jakie posiadał Norman, mogliśmy wszędzie dotrzeć w rekordowo krótkim czasie. W Londynie czekał już na nas wielki wóz policyjny z kilkoma ludźmi ubranymi po cywilnemu, z których jeden wręczył memu przyjacielowi kartkę maszynopisu. Ten, dostrzegłszy mój pytający wzrok, rzekł:

- To lista wiejskich szpitali znajdujących się w niezbyt dużej odległości na zachód od Londynu. Poprosiłem o nią telegraficznie z Dover.

Błyskawicznie pędziliśmy ulicami Londynu. Znaleźliśmy się na Bath Road. Dojechaliśmy tam przez Hammersmith, Chiswick i Brentford. Zacząłem dostrzegać nasz cel. Potem przez Windsor i dalej, do Ascot. Serce zabiło mi mocniej..

Przecież w Ascot mieszka ciotka Danielsa. A zatem to na nim skupiły się podejrzenia, a nie na O'Murphym.

Zatrzymaliśmy się u wejścia do dobrze utrzymanej willi. Poirot wyskoczył z samochodu i zadzwonił do drzwi. Dostrzegłem, że na jego twarzy pojawiła się zmarszczka zaniepokolenia. Najwyraźniej nie był zadowolony. Drzwi się otworzyły. Wpuszczono go do środka. Po kilku chwilach pojawił się znowu i wsiadł do samochodu, krótko, gwałtownie potrząsając głową. Moje nadzieje zaczęły słabnąć. Minęła czwarta.

Nawet gdyby znalazł jakieś dowody obciążające Danielsa, co by mu z tego przyszło, dopóki nie wycisnąłby z kogoś, w jakim dokładnie miejscu we Francji jest przetrzymywany premier?

Nasza trasa powrotna do Londynu obfitowała w zmiany kursu. Kilkakrotnie zbaczaliśmy z drogi, a czasem zatrzymywaliśmy się przy małym budynku, w którym bez trudu rozpoznawałem wiejski szpital. Poirot w każdym z nich spędził zaledwie kilka minut, ale przy każdym postoju jego pewność siebie rosła.

Szepnął coś do Normana, na co ten odpowiedział:

- Tak, jeżeli skręci pan w lewo, znajdzie ich pan czekających przy moście.

Skręciliśmy w boczną drogę i wkrótce w zapadającym zmierzchu dostrzegłem czekający przy drodze samochód. Siedziało w nim dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Poirot wyszedł, aby z nimi porozmawiać, po czym ruszyliśmy na północ, a tuż za nami tamten samochód.

Jechaliśmy przez jakiś czas, naszym celem było najwyraźniej jedno z północnych przedmieść Londynu. W końcu podjechaliśmy do drzwi wejściowych wysokiego domu, nieco odwróconego od ulicy.

Norman i ja zostaliśmy w samochodzie. Poirot i jeden z detektywów podeszli do drzwi i zadzwonili. Otworzyła je schludnie wyglądająca pokojówka. Detektyw powiedział:

- Jestem oficerem policji i mam nakaz rewizji.

Dziewczyna wydała stłumiony okrzyk i natychmiast w przedpokoju pojawiła się wysoka, ładna kobieta w średnim wieku.

- Zamknij drzwi, Edith. To włamywacze, jak przypuszczam.

Ale Poirot szybko włożył stopę w drzwi i użył gwizdka. Natychmiast przybiegli pozostali detektywi i wpadli do domu, zamykając za sobą drzwi.

Norman i ja spędziliśmy około pięciu minut na przeklinaniu naszej przymusowej bezczynności. W końcu drzwi ponownie się otworzyły i nasi ludzie wyszli, eskortując troje więźniów - kobietę i dwóch mężczyzn. Kobietę i jednego z mężczyzn zabrano do tamtego samochodu. Drugiego mężczyznę posadzono w naszym, obok Poirota.

- Muszę, przyjacielu, pojechać z tamtymi. Ale miej pieczę nad tym dżentelmenem. Nie znasz go, prawda? *Eh bien*, pozwól, że ci przedstawię pana O'Murphy'ego!

O'Murphy! Gdy tylko ruszyliśmy, zacząłem się w niego wpatrywać, otwierając przy tym usta. Nie był skuty kajdankami, ale nie wyglądał jak ktoś, kto będzie próbował uciekać. Siedział tam, oszołomiony, patrząc bezmyślnie przed siebie. W każdym razie Norman i ja daliśmy sobie z nim radę.

Ku memu zaskoczeniu nadal jechaliśmy na północ. Nie wracaliśmy zatem do Londynu! Bardzo zaczęło mnie to intrygować. Wtem, gdy samochód zwolnił, dostrzegłem, że zbliżamy się do lotniska Hendon. Natychmiast pojąłem, o co chodzi Poirotowi. Zamierzał dotrzeć do Francji samolotem.

Pomysł był przedni, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że niewykonalny. Telegram byłby znacznie szybszy. Liczył się tylko czas. Musi zrezygnować ze sławy uwolnienia premiera na rzecz innych.

Gdy dojechaliśmy, major Norman wyskoczył z samochodu, a jego miejsce zajął jeden z mężczyzn ubranych po cywilnemu. Naradzał się z Poirotem przez kilka chwil, po czym szybko wysiadł.

Ja również wyskoczyłem z samochodu i złapałem Poirota za rękę.

- Gratuluję, stary! Powiedzieli ci, gdzie mają kryjówkę? Ale, słuchaj, musisz natychmiast zatelegrafować do Francji. Podróż tam zabrałaby ci zbyt wiele czasu.

Przez minutę czy dwie Poirot patrzył na mnie zdumiony.

- Niestety, przyjacielu, nie wszystko można przesłać telegraficznie.

W tej chwili wrócił major Norman w towarzystwie młodego oficera w mundurze korpusu lotniczego.

- To kapitan Lyall, przewiezie pana do Francji. Może startować już teraz.

- Proszę się czymś ciepłym okryć, sir - rzekł młody pilot.

- Mogę panu pożyczyć płaszcz, jeżeli pan chce.

Poirot zerknął na swój ogromny zegarek. Wymamrotał do siebie: "Tak, czas, już czas".

Po czym podniósł wzrok i uklonił się uprzejmie młodemu oficerowi.

- Dziękuję panu, monsieur. Ale nie ja jestem pasażerem, tylko ten oto dżentelmen.

Mówiąc to, odsunął się nieco na bok i z mroku wyłoniła się jakaś postać. Był to drugi z uwieczionych mężczyzn i gdy jego twarz znalazła się w kręgu światła, drgnąłem zaskoczony.

Był to premier!

- Na miłość boską, opowiedz mi wszystko! - zawołałem zniecierpliwiony, gdy wraz z Poirotem i Normanem jechaliśmy z powrotem do Londynu. - Jak, u licha, zdołali przemycić go z powrotem do Anglii?

- Nie było takiej potrzeby - odparł ironicznie Poirot. - Premier nigdy nie opuścił Anglii. Został porwany w drodze z Windsoru do Londynu.

- Co?

- Wyjaśnię ci to. Premier znajdował się w samochodzie, jego sekretarz siedział obok. Nagle tampon nasączony chloroformem zostaje przyciśnięty do jego twarzy...

- Ale kto to zrobił?

- Sprytny lingwista, kapitan Daniels. Gdy tylko premier stracił przytomność, Daniels bierze telefon tubowy i każe O'Murphy'emu skrócić w prawo, co szofer, zupełnie nieświadomy faktycznego stanu rzeczy, czyni. Kilka jardów dalej stoi wielki samochód, najwyraźniej zepsuty. Kierowca daje znaki O'Murphy'emu, aby się zatrzymał. O'Murphy zwalnia. Nieznajomy podchodzi. Daniels wychyla się przez okno i prawdopodobnie, używając jakiegoś szybko działającego środka usypiającego, takiego jak chlorek etylu, powtarza sztuczkę z chloroformem. W ciągu kilku sekund dwaj bezbronni mężczyźni zostają wyciągnięci i przeniesieni do innego samochodu, a para sobowtórów zajmuje ich miejsca.

- Niemożliwe!

- *Pas du tout!* Czy nie widziałeś wodewili, w których znane osobistości naśladowano z niezwykłą wręcz precyzją? Nie ma nic łatwiejszego niż odgrywanie ról postaci publicznych.

Premier Anglii jest dużo łatwiejszą do dublowania rolą niż, powiedzmy, John Smith z Clapham. A co do dublera O'Murphy'ego, to do czasu wyjazdu premiera nikt nie zwracał na niego większej uwagi, a potem ten się ulotnił. Pojechał prosto z Charing Cross na miejsce spotkań swoich kolegów, Wszedł jako O'Murphy, a wyszedł jako ktoś zupełnie inny.

O'Murphy zniknął, pozostawiając za sobą dogodny dla nich, podejrzany ślad.

- Ale przecież każdy widział człowieka, który podawał się za premiera!

- Nie widział go nikt z tych, którzy znają go blisko czy choćby osobiście. A wszystkim innym uniemożliwił z nim kontakt Daniels, na ile to tylko było możliwe. Poza tym miał zabandażowaną twarz, a każde nietypowe dla niego zachowanie można było wytłumaczyć szokiem, jakiego doznał po próbie zamachu na jego życie. Pan MacAdam ma słabe struny głosowe i zawsze unika rozmów przed wygłoszeniem przemówienia. Dlatego aż do Francji tak łatwo można było utrzymać to oszustwo w tajemnicy. Tam byłoby to niemożliwe, więc premier znika. Policja tego kraju w pośpiechu przeprawia się przez kanał i nikt nie zadaje sobie tyle trudu, aby rozpatrzyć szczegóły pierwszego napadu. Aby podtrzymać iluzję, że porwanie miało miejsce we Francji, Daniels zostaje zakneblowany i uspiiony chloroformem.

- A co się dzieje z człowiekiem, który odgrywał rolę premiera?

- Przestaje się kamuflować. On i fałszywy szofer mogą zostać aresztowani jako podejrzani, ale nikomu nie przyjdzie na myśl, jaka była ich prawdziwa rola w tym dramacie, więc w końcu z braku dowodów zostaną zwolnieni.

- A prawdziwy premier?

- On i O'Murphy zostali zawiezieni prosto do domu pani Everard w Hampstead, tak zwanej ciotki Danielsa. W rzeczywistości to Frau Bertha Ebenthal, której już od jakiegoś czasu poszukuje policja. Tym samym zrobiłem im cenny prezent, nie mówiąc już o Danielsie! Ach, plan był sprytny, ale nie wzięli pod uwagę inteligencji Herkulesa Poirot!

Sądzę, że można wybaczyć memu przyjacielowi tę chwilę próżności.

- Kiedy wpadłeś na właściwy trop?

- Kiedy zabrałem się do pracy we właściwy sposób - od samego sedna! Nie mogłem dopasować tej sprawy z postrzeleniem, ale gdy dostrzegłem, iż ostatecznym jej rezultatem było to, że premier pojechał do Francji z zabandażowaną twarzą, zacząłem w końcu pojmywać. A gdy odwiedziłem wszystkie wiejskie szpitale pomiędzy Windsorem i Londynem i stwierdziłem, że nikomu o podanym przeze mnie rysopisie nie opatrywano tamtego ranka rany, byłem pewien! Mimo wszystko było to dziecinnie proste dla umysłu takiego jak mój!

Następnego ranka Poirot pokazał mi telegram, który właśnie otrzymał. Nie podano adresu nadawcy, nie było też podpisu. Brzmiał następująco:

*W samą porę.*

Tego samego dnia wieczorne gazety opublikowały sprawozdanie z konferencji aliantów. Kładły w nim szczególny nacisk na wspaniałą owację, jaką otrzymał pan David MacAdam, którego porywające przemówienie wywarło głębokie i niezatarte wrażenie.

## Zniknięcie pana Davenheima

Poirot i ja spodziewaliśmy się przybycia naszego starego przyjaciela, inspektora Jappa ze Scotland Yardu, na herbatę. Siedzieliśmy przy małym stoliku do podwieczorku, czekając, aż się zjawi. Poirot właśnie skończył poprawiać filiżanki i spodeczki, które nasza gospodyni miała zwyczaj raczej rzucać niż ustawiać na stole. Chuchał też intensywnie na metalowy dzbanek do herbaty, który następnie wypolerował jedwabną chusteczką. Woda w czajniku akurat się gotowała, a w małym emaliowanym rondlu obok była przygotowana gęsta, słodka czekolada, która bardziej odpowiadała podniebieniu Poirota niż to, co zwykł określać “wasza angielska trucizna”.

Na dole dało się słyszeć stanowcze stukanie do drzwi i kilka minut później energicznym krokiem wszedł do pokoju Japp.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłem - oświadczył na powitanie. - Mówiąc szczerze, zagadałem się z Millerem, człowiekiem, który prowadzi sprawę Davenheima.

Nadstawiłem uszu. Od trzech dni gazety nie przestawały pisać o dziwnym zniknięciu pana Davenheima, starszego rangą wspólnika spółki Davenheim i Salmon, znanych bankierów i finansistów. W ubiegłą sobotę wyszedł z domu i już go więcej nie widziano. Spodziewałem się, że Japp wyjawi nam jakieś interesujące szczegóły.

- Wydawać by się mogło - wtrąciłem - że w dzisiejszych czasach “zniknięcie” jest rzeczą prawie niemożliwą.

Poirot przesunął o ósmą cala talerz z kanapkami, po czym odparł stanowczo:

- Czy mógłbyś, przyjacielu, to uściślić? Co masz właściwie na myśli, mówiąc “zniknięcie”? O jakim rodzaju zniknięcia mówisz?

- Czyżby więc były one klasyfikowane i nazywane w zależności od rodzaju? - zauważyłem ze śmiechem.

Japp uśmiechnął się również. Poirot, w odpowiedzi, zmarszczył brwi.

- Ależ oczywiście, że tak! Dzielą się na trzy kategorie. Pierwsza, najczęściej spotykana, celowe zniknięcie. Druga to tak często dziś nadużywany przypadek “utruty pamięci” - rzadki, choć czasem prawdziwy. Trzecia, morderstwo i w rezultacie mniej lub bardziej udane pozbycie się ciała. Czy twoim zdaniem wszystkie trzy są w dzisiejszych czasach niemożliwe?

- Prawie niemożliwe, tak mi się przynajmniej wydaje. Można stracić pamięć, ale z całą pewnością zostanie się przez kogoś rozpoznany, szczególnie gdy przypadek dotyczy tak znanego człowieka jak Davenheim. Z kolei “ciała” nie rozpyływają się w powietrzu. Wcześniej

czy później znajduje się je, ukryte w odludnych miejscach bądź kufrach. Morderstwo zawsze wyjdzie na jaw. Podobnie ma się sprawa ze zbiegłym urzędnikiem czy człowiekiem niewywiązującym się z podjętych zobowiązań, w których zatrzymywaniu w dzisiejszych czasach tak ważną rolę odgrywa telegraf. Bywają zawracani z granicy; porty i dworce kolejowe są obserwowane; a co do możliwości ukrycia się w kraju, to ich rysy twarzy i wygląd zewnętrzny będą dobrze znane każdemu, kto czyta codzienną prasę. Wszystko sprzysięgnię się przeciwko nim.

- *Mon ami* - odparł Poirot - popełniasz pewien błąd. Nie bierzesz pod uwagę faktu, że człowiek, który zdecydował się pozbyć innego człowieka - bądź siebie w znaczeniu metaforycznym - może posiadać ową rzadką umiejętność, jaką jest metodyczne działanie. Wykonując swoje dzieło, może posłużyć się inteligencją, talentem i drobiazgowym zaplanowaniem szczegółów, a w takim razie nie pojmuję, dlaczego nie miałyby mu się powieść pokrzyżowanie planów policji.

- Ale nie panu, jak sądzę? - stwierdził dobrodusznie Japp, mrugając w moją stronę. - Pana nie wyprowadziłby w pole, monsieur Poirot.

Poirot próbował, zresztą bez większych rezultatów, przybrać skromną minę.

- Mnie również! Dlaczego nie? To prawda, że podchodzę do takich zagadnień metodycznie, z matematyczną precyzją, co wydaje się, niestety, raczej obce nowej generacji detektywów!

Japp uśmiechnął się jeszcze szerzej,

- No, nie wiem - odparł. - Miller, człowiek, który pracuje nad tą sprawą, to bystry facet. Może być pan pewien, że nie przeoczy śladu stopy, popiołu z cygara, a nawet okruszyny. Jego oczy widzą wszystko.

- Tak jak, *mon ami* - odparł Poirot - oczy wróbla w Londynie. Nie prosiłbym jednak tego małego szarego ptaszka o rozwikłanie sprawy pana Davenheima.

- Ależ, monsieur, nie zamierza pan chyba zaprzeczać znaczeniu takich szczegółów jako dowodów w sprawie?

- W żadnym wypadku. Na swój sposób są bardzo potrzebne. Niebezpieczeństwo tkwi w tym, że można im przypisać zbyt dużą wartość. Większość szczegółów jest dla sprawy nieistotna; jeden czy dwa mają zasadnicze znaczenie. To szare komórki, mózg - tu dotknął ręką czoła - jest tym organem, na którym należy polegać. Zmysły mogą zawieść. Prawdy należy szukać nim, a nie poza nim.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, monsieur Poirot, że podjąłby się pan rozwikłania jakiejś sprawy, nie ruszając się z fotela?

- Dokładnie tak, gdyby zapoznano mnie z faktami. Uważam się za kogoś w rodzaju specjalisty konsultanta.

Japp klepnął się po kolanie.

- Niech mnie kule biją, jeśli nie wezmę pana za słowo. Zakładam się o piątką, że się panu nie uda odszukać albo raczej wskazać mi, gdzie szukać pana Davenheima, żywego czy umarłego, przed upływem tygodnia.

Poirot zamyślił się.

- *Eh bien, mon ami*, przyjmuję zakład. *Le sport* to wasza angielska pasja. A teraz - fakty.

- W ubiegłą sobotę, tak jak zazwyczaj, pan Davenheim pojechał pociągiem o dwunastej czterdzieści ze stacji Victoria do Chingside, gdzie się znajduje jego wspaniała wiejska rezydencja, Cedars. Po lunchu przechadzał się po posiadłości i udzielił ogrodnikom kilku wskazówek. Wszyscy są zgodni, że zachowywał się zupełnie normalnie i tak jak zawsze. Po podwieczorku wsunął głowę do buduaru żony, mówiąc, że zamierza przespacerować się do wsi i wysłać kilka listów. Dodał, że spodziewa się przybycia niejakiego pana Lowena, w interesach. Gdyby akurat przyszedł, zanim on wróci, należy wprowadzić go do gabinetu i poprosić, aby zaczekał. Po czym pan Davenheim wyszedł z domu frontowymi drzwiami, spokojnie przeszedł wzdłuż podjazdu prowadzącego do rezydencji, potem przez bramę i - więcej już go nie widziano. Od tamtej pory słuch po nim zaginął.

- Ładnie, bardzo ładnie. Ogólnie rzecz biorąc, uroczy mały problem - wymamrotał Poirot. - Proszę kontynuować, przyjacielu.

- Mniej więcej kwadrans później wysoki, śniady mężczyzna o bujnym czarnym wąsie zadzwonił do drzwi wejściowych i wyjaśnił, że umówił się na spotkanie z panem Davenheimem. Przedstawił się jako Lowen i zgodnie z poleceniem bankiera został wprowadzony do gabinetu. Minęła niemal godzina. Pan Davenheim nie wracał. W końcu pan Lowen zadzwonił i wyjaśnił, że nie może już dłużej czekać, musi bowiem zdążyć na powrotny pociąg do miasta.

Pani Davenheim przeprosiła za nieobecność męża, trudną do wytłumaczenia, gdyż wiedziała, że oczekiwał gościa. Pan Lowen jeszcze raz wyraził swój żal i wyszedł.

- Cóż, jak wszyscy wiemy, pan Davenheim nie wrócił. W niedzielę wcześniej rano została o tym powiadomiona policja, niewiele jednak mogła tu pomóc. Wydawało się, że pan Davenheim dosłownie rozpułnął się w powietrzu. Nie był na poczcie, nie widziano, aby przechodził przez wieś. Na stacji byli pewni, że nie odjechał żadnym pociągiem. Jego auto zostało w garażu. Gdyby wynajął samochód, który miał po niego przyjechać w jakieś ustronne miejsce, wydaje się niemal pewne, że do chwili obecnej, zważywszy na olbrzymią nagrodę,



jaką ofiarowano za udzielenie informacji, kierowca zgłosiłby się, aby opowiedzieć o tym, co wie. To prawda, że w oddalonym o pięć mil Entfield odbywały się wyścigi konne i gdyby poszedł pieszo do tej stacji, mógłby niezauważony przejść w tłumie. Potem jednak jego fotografia i szczegółowy rysopis pojawiały się we wszystkich gazetach i nikt nie był w stanie przekazać o nim żadnej informacji. Otrzymaliśmy, oczywiście, wiele listów z całej Anglii, ale każdy trop, jak dotychczas, kończył się niepowodzeniem.

W poniedziałek rano dokonano kolejnego sensacyjnego odkrycia. W gabinecie pana Davenheima za *portiere* stoi sejf i właśnie do tego sejfu włamano się i go opróżniono. Okna były mocno zamknięte od środka, co wydaje się wykluczać włamanie, o ile, oczywiście, nie zamknął ich później wspólnik włamywaczy znajdujący się na terenie domu. Z drugiej strony, ponieważ w niedzielę wśród służby panował duży zamęt, możliwe, że włamanie miało miejsce w sobotę i pozostało niewykryte aż do poniedziałku.

- *Precisement* - odparł ironicznie Poirot. - cóż, czy aresztowano *ce pauvre monsieur* Lowen?

Japp uśmiechnął się szeroko.

- Jeszcze nie. Ale jest pod naszym ścisłym nadzorem.

Poirot skinął głową.

- Co zabrano z sejfu? Czy wie pan coś na ten temat?

- Rozmawialiśmy o tym z młodszym wspólnikiem firmy i panią Davenheim. Najwyraźniej była tam znaczna kwota w obligacjach na okaziciela i bardzo duża suma w banknotach, jako że została akurat przeprowadzona jakaś wielka transakcja. Znajdowała się tam również prawdziwa fortuna w kosztownościach. Wszystkie klejnoty pani Davenheim leżały w tym sejfie. Kupowanie ich stało się ostatnimi laty prawdziwą pasją jej męża i prawie co miesiąc dawał jej w prezencie jakiś rzadki i kosztowny kamień.

- W sumie wyborny łup - odparł Poirot w zamyśleniu. - A właściwie co z Lowenem? Czy wiadomo, w jakiej sprawie przyszedł tamtego wieczoru do Davenheima?

- Cóż, najwyraźniej obaj mężczyźni nie byli ze sobą w najlepszych stosunkach. Lowen jest graczem giełdowym na dosyć małą skalę. Niemniej raz czy dwa udało mu się mistrzowskim posunięciem zakasować na rynku Davenheima, choć wydaje się, że bardzo rzadko albo nawet nigdy osobiście się nie spotkali. Sprawa, w której bankier umówił się z nim na spotkanie, dotyczyła południowoamerykańskich akcji.

- Czyżby więc Davenheim prowadził interesy w Ameryce Południowej?

- Sądzę, że tak. Pani Davenheim mimochodem wspomniała, że całą ubiegłą jesień spędził w Buenos Aires.

- Miał jakieś kłopoty w domu? Czy mąż i żona pozostawali ze sobą w dobrych stosunkach?

- Powiedziałbym, że jego życie prywatne było całkowicie spokojne i monotonne. Pani Davenheim jest miłą i dosyć ograniczoną kobietą. Nic szczególnego, jak sądzę.

- A zatem nie tu należy szukać rozwiązania tajemnicy. Czy miał wrogów?

- Miał mnóstwo rywali wśród finansistów i bez wątpienia wielu ludzi, nad którymi zdobył przewagę, nie było mu życzliwych. Nikt jednak raczej nie chciał się go pozbyć. A nawet gdyby tak było, gdzie jest ciało?

- Właśnie. Jak mawia Hastings, ciała mają zwyczaj wychodzić na jaw z niezwykłą uporczywością.

- Nawiasem mówiąc, jeden z ogrodników twierdzi, że widział jakąś postać idącą od strony domu w kierunku ogrodu. Duże oszklone drzwi od gabinetu wychodzą wprost na różany ogród i pan Davenheim często tamtędy wchodził i wychodził. Ale ogrodnik, który znajdował się daleko i był zajęty pracą przy inspekcji z ogórkami, nie jest nawet w stanie stwierdzić, czy był to jego pracodawca. Nie potrafi również podać dokładnie czasu. Z pewnością widział ową postać przed szóstą, gdyż o tej porze ogrodnicy kończą pracę.

- A pan Davenheim wyszedł z domu...

- Około wpół do szóstej, mniej więcej.

- Co znajduje się za różanym ogrodem?

- Jezioro.

- Czy jest wioślarska przystań?

- Tak, stoi tam kilka płaskodennych łodzi. Przypuszczam, że pomyślał pan o samobójstwie, monsieur Poirot? Cóż, chętnie panu powiem, że jutro przyjeżdża Miller po to tylko, aby przeszukać jezioro. Proszę, jaki to człowiek!

Poirot uśmiechnął się blado i odwrócił w moją stronę.

- Hastings, bardzo cię proszę, podaj mi ten egzemplarz "Daily Megaphone". O ile dobrze pamiętam, jest tam zamieszczone niezwykle wyraźne zdjęcie zaginionego.

Podniosłem się i znalazłem gazetę, o którą prosił. Poirot uważnie przestudiował rysy twarzy pana Davenheima.

- Hm! - wymamrotał. - Ma dosyć długie, falujące włosy, sumiaste wąsy, spiczastą brodę i krzaczaste brwi. Oczy ciemne?

- Tak.

- Włosy i broda nieco posiwiałe?

Detektyw skinął głową.

- A zatem, monsieur Poirot, co pan na to? Jasne jak słońce, czy tak?

- Wręcz przeciwnie, bardzo zagmatwane.

Pracownik Scotland Yardu wyglądał na zadowolonego.

- Co utwierdza mnie w przekonaniu, że to rozwiążę... - zakończył spokojnie Poirot.

- Co?

- Gdy sprawa jest niejasna, uważam to za dobry znak. Gdyby było odwrotnie - *eh bien*, przyjąłbym to z dużą rezerwą! Wtedy musiałoby komuś zależeć, aby tak to wyglądało.

Japp potrząsnął głową niemal ze współczuciem.

- Cóż, to kwestia gustu. Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, aby widzieć całą sprawę wyraźnie.

- Nie zależy mi na tym, żeby widzieć - wymamrotał Poirot. - Zamykam oczy i myślę.

Japp westchnął.

- A zatem ma pan cały tydzień na myślenie.

- A pan będzie mnie informował o wszystkich nowych wydarzeniach w tej sprawie, na przykład o rezultatach pracy sumiennego i bystrookiego inspektora Millera?

- Naturalnie. Zawarliśmy przecież umowę.

- Wstyd mi - rzucił w moją stronę Japp, gdy go odprowadzałem do drzwi - czuję się tak, jakbym okradał dziecko!

Nie mogąc się z nim nie zgodzić, pozwoliłem sobie na uśmiech. Nadal się uśmiechałem, gdy wróciłem do pokoju.

- *Eh bien!* - stwierdził natychmiast mój przyjaciel. - Wyśmiewasz się z papy Poirota, prawda? - Pogroził mi palcem. - Nie masz zaufania do jego szarych komórek? Och, nie bądź taki zażenowany! Lepiej przedyskutujmy tę sprawę. Wymaga jeszcze uzupełnienia, przyznaję, ale już odsłania jeden czy dwa interesujące szczegóły.

- Jezioro! - odparłem znacząco.

- Nawet więcej niż jezioro, przystań wioślarska!

Popatrzyłem spod oka na Poirota. Uśmiechał się w niezwykle zagadkowy sposób. Wiedziałem, że w tej chwili zadawanie mu dalszych pytań nie miałoby większego sensu.

Japp nie dawał znaku życia aż do następnego wieczoru, kiedy to zjawił się około dziewiątej. Od razu poznałem po wyrazie jego twarzy, że ma do zakomunikowania jakieś wiadomości.

- *Eh bien*, przyjacielu - zauważył Poirot. - Czy wszystko idzie dobrze? Tylko niech mi pan nie mówi, że znaleźliście w jeziorze zwłoki pana Davenheima, nie uwierzyłbym w to.

- Nie znaleźliśmy zwłok, ale natknęliśmy się na jego ubranie, identyczne z tym, jakie

nosił pamiętnego dnia. Co pan na to?

- Czy w domu brakuje jeszcze jakichś ubrań?

- Nie, służący pana Davenheima jest tego pewien. Reszta garderoby pozostała nietknięta. Co więcej, aresztowaliśmy Lowena. Jedna z pokojówek, do której obowiązków należy zamykanie okien w sypialniach, twierdzi, że mniej więcej kwadrans po szóstej widziała Lowena w ogrodzie różanym, jak szedł w stronę gabinetu.

- A co powiedział on sam?

- Na początku zaprzeczył, że w ogóle opuszczał gabinet. Ale pokojówka obstawała przy swoim, więc potem udał, jakoby zapomniał, że wyszedł na chwilę do ogrodu, aby obejrzyć rzadkie gatunki róż. Dostyc słaba wymówka! A teraz pojawił się nowy dowód przeciwko niemu. Pan Davenheim zawsze nosił na małym palcu prawej ręki gruby, złoty pierścień z brylantem. Otóż pierścień ten został zastawiony w Londynie w sobotę wieczorem przez niejakiego Billy'ego Kelletta! Już wcześniej był on znany policji; ubiegłej jesieni przesiedział trzy miesiące w więzieniu za kradzież zegarka pewnemu sędziwemu dżentelmenowi. Wygląda na to, że próbował zastawić pierścień w co najmniej pięciu różnych miejscach, udało mu się w ostatnim. Za pieniądze, które dostał, upił się, poturbował policjanta i w rezultacie trafił do więzienia. Poszedłem z Millerem na Bow Street, aby go zobaczyć. Jest teraz wystarczająco trzeźwy i muszę przyznać, że nieźle go nastraszyliśmy, sugerując, iż może być oskarżony o morderstwo. A oto jego opowieść, jest bardzo dziwna:

W sobotę był na wyścigach konnych w Entfield, choć przypuszczam, że bardziej go interesowały złote szpilki od krawatów niż zakłady. W każdym razie miał zły dzień, szczęście mu nie dopisywało. Włókł się drogą do Chingside i zanim doszedł do wsi, usiadł w rowie, żeby odpocząć. Kilka minut później zauważył mężczyznę idącego drogą w stronę wsi. "Śniady gość, z dużym wąsem, jeden z tych miejskich elegancików" - tak go opisał.

Od strony drogi Kellett był zasłonięty przez stos kamieni. Mężczyzna prawie się z nim zrównał, gdy wtem przystanął, popatrzył szybko w obu kierunkach na drogę i najwyraźniej uznając ją za opustoszałą, wyjął z kieszeni jakiś mały przedmiot i rzucił w krzaki. Potem udał się w kierunku stacji kolejowej. Otóż przedmiot, który wyrzucił, upadł z lekkim brzękiem, co wzbudziło zaciekawienie obwiesia siedzącego w rowie. Zaczął to sprawdzać i po krótkich poszukiwaniach znalazł pierścień! To wersja Kelletta. Powinienem jeszcze nadmienić, że Lowen całkowicie temu zaprzecza i, rzecz jasna, w najmniejszym nawet stopniu nie możemy polegać na słowach takiego człowieka jak Kellett. Niewykluczone, że spotkał przypadkiem Davenheima, obrabował go i zabił.

Poirot przecząco pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne, *mon ami*. Jak w takim razie pozbył się ciała? Do dziś już by je znaleziono. Po drugie, gdyby dokonał morderstwa, aby zdobyć pierścień, nie próbowałby później tak otwarcie go zastawić. Po trzecie, zakradający się chyłkiem złodziej rzadko zostaje mordercą. Po czwarte, skoro jest w więzieniu od soboty, byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby przypadkiem udało mu się podać dokładny rysopis Lowena.

Japp potakująco skinął głową.

- Nie twierdzę, że nie ma pan racji. Nie zdoła pan jednak nakłonić ławy przysięgłych, aby wzięła pod uwagę zeznania kryminalisty. Natomiast dziwi mnie, że Lowen nie znalazł lepszego sposobu na pozbycie się pierścienia.

Poirot wzruszył ramionami.

- Przecież gdyby znaleziono go w pobliżu domu, niewykluczone, że zaczęto by utrzymywać, iż Davenheim sam go zgubił.

- Ale po co w ogóle go zdejmował? - zawołałem.

- Możliwe, że był ku temu powód - odparł Japp. - Czy wiecie, że mała furka za jeziołem prowadzi na wzgórze i idąc tamtędy, po niecałych trzech minutach dochodzi się do - jak sądzicie? - pieca do wypalania wapna.

- Wielki Boże! - zawołałem. - Chce pan powiedzieć, że wapno, które zniszczyło ciało, nie podziałałoby na pierścień?

- Dokładnie.

- Wydaje mi się - odparłem - że to wyjaśnia wszystko. Co za okropna zbrodnia!

Obaj jednocześnie odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na Poirota. Wydawał się zatopiony w zadumie, czoło miał zmarszczone, jak gdyby w jakimś olbrzymim umysłowym wysiłku. Poczulem, że w końcu dochodzi do głosu jego błyskotliwa inteligencja. Jakie będą jego pierwsze słowa? Nie kazał nam długo na nie czekać. Gdy westchnął, napięcie widoczne w jego postawie opadło i odwróciwszy się do Jappa, zapytał:

- Być może wie pan, przyjacielu, czy państwo Davenheim dzielili sypialnię?

Pytanie było do tego stopnia niestosowne, że przez chwilę obaj patrzyliśmy osłupiali ze zdumienia. Po czym Japp wybuchnął głośnym śmiechem.

- Mój Boże, monsieur Poirot, sądziłem, że ma pan na myśli coś naprawdę ważnego. A co do pańskiego pytania, przyznam, że nie wiem.

- Czy mógłby się pan tego dowiedzieć? - zapytał z dziwną stanowczością Poirot.

- Och, naturalnie, jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć.

- *Merci, mon ami*. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby dołożył pan w tej sprawie starań.

Japp przyglądał mu się jeszcze przez kilka minut, ale Poirot sprawiał wrażenie, jakby zupełnie o nas zapomniał. Detektyw, patrząc na mnie, smutno potrząsnął głową i mamrocząc "Biedny staruszek! Wojna mu chyba pomieszała zmysły!", ostrożnie wycofał się z pokoju.

Ponieważ wydawało się, że Poirot jest wciąż pogrążony w myślach, wziąłem kartkę papieru i zacząłem robić notatki. Oderwał mnie od nich głos przyjaciela. Ocknął się już z zadumy i wyglądał teraz na ożywionego i uważnego.

- *Que faites-vous la, mon ami?*

- Próbowałem zanotować w punktach to, co w tej sprawie wydaje mi się najważniejsze.

- Zaczynasz działać metodycznie. Nareszcie! - odparł aprobująco Poirot.

Ukryłem zadowolenie.

- Czy mam ci przeczytać?

- Oczywiście,

Odchrząknąłem.

- Punkt pierwszy: Wszystkie dowody wskazują na to, że właśnie Lowen włamał się do sejfów.

Punkt drugi: Żywił urazę do Davenheima.

Punkt trzeci: Skłamał, gdy na początku zeznał, że nie opuszczał gabinetu.

Punkt czwarty: Gdyby uznać historię Billy'ego Kelletta za prawdziwą, Lowen niewątpliwie brał w niej udział.

I cóż? - zapytałem, mając wrażenie, że nie pominąłem żadnego istotnego faktu.

Poirot popatrzył na mnie ze współczuciem, lekko potrząsając głową.

- *Mon pauvre ami!* Ależ nie masz do tego daru. W ogóle i nie bierzesz pod uwagę ważnych szczegółów. Twoje rozumowanie też jest błędne.

- Jak to?

- Pozwól mi przeanalizować twoje punkty. Pierwszy: Pan Lowen prawdopodobnie nie wiedział, że pojawi się przed nim szansa otworzenia sejfów. Przyszedł na spotkanie w interesach. Nie mógł wcześniej wiedzieć, że pan Davenheim wyjdzie wysłać list i że w rezultacie zostanie sam w gabinecie.

- Mógł skorzystać z nadarzającej się okazji - zasugerowałem.

- A narzędzia? Miejscy dżentelmeni nie noszą ze sobą na wszelki wypadek sprzętu potrzebnego do włamań. A nie można włamać się do sejfów za pomocą scyzoryka, *bien entendu!*

- Dobrze, a co z punktem drugim?

- Twierdzisz, że Lowen żywi urazę do pana Davenheima. Masz na myśli fakt, że raz czy dwa okazał się lepszy od niego w interesach. Najprawdopodobniej transakcje te dostarczyły mu

pewnych korzyści materialnych. Poza tym nie żywi się urazy do człowieka, od którego było się lepszym, częściej bywa na odwrót. Jeżeli w ogóle można mówić o jakiegokolwiek urazie, to raczej w przypadku pana Davenheima.

- Ale nie zaprzeczysz, że skłamał, mówiąc, iż nie opuszczał gabinetu?

- Tak, ale mógł się przestraszyć. Nie zapominaj, że akurat wyłowiono z jeziora ubranie zaginionego. Oczywiście, jak zwykle postąpiłby lepiej, mówiąc prawdę.

- A punkt czwarty?

- Przyznaję. Jeżeli opowieść Kelletta jest prawdziwa, Lowen z pewnością jest w nią zamieszany.

- Więc jednak wziąłem pod uwagę choć ten istotny fakt?

- Być może. Ale całkowicie pominąłeś dwie niezwykle ważne kwestie, które stanowią klucz do całej sprawy.

- Powiedz, proszę: jakie?

- Jedna to pasja, z jaką pan Davenheim w ciągu ostatnich kilku lat kupował klejnoty. Druga to jego podróż jesienią do Buenos Aires.

- Poirot, chyba żartujesz?

- Mówię zupełnie poważnie. Och, do kroćset, mam nadzieję, że Japp nie zapomni o moim poleceniu.

Ale detektyw, choć nie opuszczał go nastrój do żartów, pamiętał o nim na tyle dobrze, że następnego dnia około jedenastej nadszedł od niego telegram. Na prośbę Poirota otworzyłem go i odczytałem:

- Mąż i żona od ubiegłej zimy zajmują osobne sypialnie.

- Aha! - zawołał Poirot. - A teraz mamy połowę czerwca! Wszystko jasne!

Zacząłem mu się przyglądać.

- Nie masz pieniędzy w banku Davenheima i Salmona, *mon ami*?

- Nie - odparłem zdumiony. - Dlaczego?

- Ponieważ radziłbym ci je podjąć, zanim będzie za późno.

- Dlaczego? Obawiasz się czegoś?

- Obawiam się, że za kilka dni, być może wcześniej, splajtują. *A propos*, odpiszemy Jappowi na *depeche*. Ołówek, bardzo proszę, i formularz. *Voilà!* "Radzę podjąć pieniądze z banku, o którym mówiliśmy". To go zaintryguje, poczciwego Jappa! Bardzo szeroko otworzy oczy ze zdumienia! Zupełnie nie będzie wiedział, o co chodzi, aż do jutra albo pojutra!

Odniosłem się do tego sceptycznie, ale następnego dnia musiałem wyrazić uznanie dla nadzwyczajnych zdolności przyjaciela. Olbrzymie nagłówki we wszystkich gazetach mówiły o

bankructwie banku Davenheima. W świetle rewelacji na temat kondycji finansowej banku zniknięcie znanego finansisty nabrało całkowicie odmiennego znaczenia.

Akurat w najlepsze jedliśmy śniadanie, gdy raptem drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Japp. W lewej ręce trzymał gazetę, w prawej - telegram od Poirota, który cisnął na stół przed moim przyjacielem.

- Skąd pan o tym wiedział, monsieur Poirot? Jakim sposobem, do licha, pan do tego doszedł?

Poirot z lekka się do niego uśmiechnął.

- Och, *mon ami*, po pańskim telegramie miałem już pewność! Widzi pan, od samego początku w tym włamaniu do sejfu uderzyło mnie coś niezwykłego. Klejnoty, gotówka, obligacje na okaziciela, wszystko wydawało się przygotowane. Dla kogo? Otóż poczciwy pan Davenheim należał do tych, którzy nie zasypują gruszek w popiele, jak to zwykliście określać! Było prawie pewne, że przygotował to dla siebie! No i ta jego pasja od kilku lat do kupowania klejnotów! Jakież to proste! Za sumy, które sprzeniewierzył, nabywał klejnoty, te z kolei najprawdopodobniej zastępował bezwartościowymi duplikatami i w ten sposób zgromadził w bezpiecznym miejscu, pod innym nazwiskiem, znaczny majątek, aby móc się nim cieszyć, gdy wszyscy inni zostaną wyprowadzeni w pole. Kiedy przygotowania zostają zakończone, wyznacza spotkanie panu Lowenowi (który w przeszłości był na tyle nieroztropny, aby raz czy dwa wejść w drogę takiej znakomitości), wierci w sejfie dziurę, nakazuje wprowadzić gościa do gabinetu i wychodzi z domu. Dokąd?

- Poirot urwał i wyciągnął rękę po kolejne gotowane jajko. Zmarszczył brwi. - To wręcz nie do zniesienia - wymamrotał - żeby każda kura zносиła jajka innej wielkości. Jakaż asymetria powstaje z tego przy stole! Żeby chociaż sortowali je w sklepie!

- Mniejsza o nie - odparł zniecierpliwiony Japp. - Mogą być nawet kwadratowe. Niech nam pan raczej powie, gdzie się gość udał, gdy opuścił Cedars, jeśli pan to wie!

- *Eh bien*, poszedł do swojej kryjówki. Och, ten pan Davenheim, być może jego szare komórki mają jakieś zniekształcenia, funkcjonują jednak pierwszorzędnie!

- Czy pan wie, gdzie jest jego kryjówka?

- Naturalnie. Jest bardzo pomysłowa.

- Na miłość boską, niech więc pan nam powie!

Poirot uważnie zebrał z talerza wszystkie kawałki skorupki, umieścił je w podstawce do jajek, a na nich odwróconą pustą skorupkę. Zakończywszy tę operację, rozpromienił się na widok jej rezultatu, a potem patrząc na nas, uśmiechnął się czule.

- Śmiało, przyjaciele, jesteście ludźmi inteligentnymi. Zadajcie sobie pytanie, jakie i ja



sobie postawiłem: Gdzie bym się ukrył na miejscu tego człowieka? Hastings, co powiesz?

- Cóż - odparłem - skłonny jestem przypuszczać, że w ogóle bym się nie ukrywał. Zostałbym w Londynie, w sercu tego wszystkiego, jeździłbym metrem i autobusami; stawiam dziesięć do jednego, że nigdy by mnie nie rozpoznano. W tłumie można czuć się bezpiecznym.

Poirot badawczo odwrócił się w stronę Jappa.

- Nie zgadzam się. Uciec od razu, to jedyna szansa. Miałbym mnóstwo czasu, żeby wszystko wcześniej przygotować. Czekałby już na mnie w pogotowiu jacht i zanim zaczęłyby się ta cała wrzawa, umknąłbym w jeden z najodleglejszych zakątków świata. - Obaj popatrzyliśmy na Poirota. - A co pan by zrobił?

Detektyw przez chwilę zachowywał milczenie. Potem przemknął mu przez twarz niezwykle uśmiech.

- Przyjaciele, gdybym próbował ukryć się przed policją, czy wiecie, gdzie bym szukał schronienia? W więzieniu!

- Co?

- Poszukujecie monsieur Davenheima, aby wsadzić go do więzienia, więc nigdy nie przyjdzie wam na myśl sprawdzić, czy aby już go tam nie ma!

- Co pan ma na myśli?

- Twierdzi pan, że madame Davenheim nie jest zbyt inteligentna. Sądzę jednak, że gdyby zabrał ją pan na Bow Street i dokonał konfrontacji z mężczyzną podającym się za Billy'ego Kelletta, rozpoznałaby go! Mimo że zgolił brodę, wąsy i te krzaczaste brwi i krótko przyciął włosy. Trudno nie rozpoznać męża, nawet gdy wszystkich innych uda mu się wyprowadzić w pole.

- Billy Kellett? Ależ on był już wcześniej notowany!

- Czyż nie mówiłem, że to inteligentny człowiek? Przygotował sobie alibi dużo wcześniej. Jesienią nie był w Buenos Aires, wcielił się w postać Billy'ego Kelletta, "odsiadującego trzy miesiące", aby policja nie miała żadnych podejrzeń, gdy nadejdzie właściwy czas. Pamiętajcie, że grał o dużą stawkę: wielki majątek i wolność. Warto było doprowadzić całą rzecz do końca. Tyle że...

- Tak?

- *Eh bien*, potem musiał nosić sztuczną brodę i perukę, musiał się ucharakteryzować, a nie jest łatwo spać ze sztuczną brodą, mistyfikacja może zostać łatwo odkryta. Nie mógł dłużej dzielić pokoju z madame. Na moją prośbę dowiedział się pan, że przez ostatnie sześć miesięcy czy ile tam czasu minęło od jego rzekomego powrotu z Buenos Aires on i pani Davenheim zajmowali oddzielne pokoje. Wtedy byłem pewien! Ogrodnik, któremu się wydawało, że

widział pana idącego od strony domu, miał całkowitą rację. Pan Davenheim udał się do przystani wioślarskiej, przywdział ubranie “włóczęgi”, które, czego możecie być pewni, było dobrze ukryte przed wzrokiem służącego, niepotrzebne wrzucił do jeziora i przystąpił do wykonywania planu, zastawiając pierścień, a potem napadając na policjanta i trafiając bez przeszkód do schronienia na Bow Street, gdzie nikomu nawet nie śniłoby się go szukać!

- Niemożliwe - wymamrotał Japp.

- Niech pan zapyta madame - uśmiechając się, odparł mój przyjaciel.

Następnego dnia obok talerza Poirota leżał list polecony. Gdy go otworzył, z koperty wypadł pięciofuntowy banknot. Mój przyjaciel zmarszczył brwi.

- *Ah, sacre!* Ależ co ja z nim zrobię? Mam takie wyrzuty i sumienia! *Ce pauvre* Japp! Ach, mam pomysł! Zjemy razem obiad, we trzech! Uspokoi to moje sumienie. To było doprawdy zbyt proste. Wstyd mi. Ja, który nie okradłbym dziecka, *mille tonnerres!* *Mon ami*, co się stało, że śmiejesz się tak serdecznie?

## Sprawa włoskiego arystokraty

Poirot i ja mieliśmy wielu przyjaciół i znajomych wśród osób niezwiązanych z naszą działalnością śledczą. Zaliczał się do nich doktor Hawker, nasz bliski sąsiad, z zawodu lekarz. Miłym zwyczajem doktora było to, iż wpadał czasem wieczorem, żeby pogawędzić z Poirotem, którego geniuszu był żarliwym wielbicielem. Sam doktor, szczery i niezwykle ufny, podziwiał te talenty, tak bardzo odmienne od jego własnych.

Pewnego wieczoru na początku czerwca przybył około wpół do dziewiątej i zasiadł do zajmującej dyskusji na tak urzekający temat, jak nagminne stosowanie arszeniku podczas popełniania zbrodni. Minał chyba kwadrans, gdy nagle drzwi do salonu otworzyły się i wpadła przez nie roztrzęsiona kobieta.

- Och, doktorze, wzywano pana! Taki straszny głos! Myślałam, że zemdleję, naprawdę.

W naszym nowym gościu rozpoznałem gosposię doktora Hawkera, pannę Rider. Doktor był kawalerem i mieszkał w ponurym starym domu o kilka ulic dalej. Zwykle spokojna panna Rider teraz niemal odchodziła od zmysłów.

- Co za straszny głos? Kto to był i co się stało?

- Zadzwoił telefon, doktorze. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam czyjś głos. "Pomocy - zaczął wzywać. - Doktorze, pomocy. Zabili mnie!". Potem zamilkł. "Kto mówi? - zapytałam. - Kto mówi?". Wówczas usłyszałam odpowiedź, prawie szeptem, "Foscatine - lub coś podobnego - Regent's Court".

Z ust doktora wyrwał się okrzyk:

- Hrabia Foscatini! Tak, ma mieszkanie w Regent's Court. Muszę się tam natychmiast udać. Co się mogło stać?

- To pański pacjent? - zapytał Poirot.

- Zajmowałem się nim przed kilkoma tygodniami z powodu pewnej niewielkiej dolegliwości. To Włoch, ale mówi znakomicie po angielsku. Cóż, zmuszony jestem pożegnać się z panem, monsieur Poirot, chyba że... - Zawahał się.

- Wiem, co pan ma na myśli - uśmiechając się, odparł Poirot. - Z przyjemnością będę panu towarzyszył. Hastings, proszę, zjedź po taksówkę.

Taksówki mają to do siebie, że zawsze trzeba ich szukać, gdy akurat brak na to czasu, ale w końcu złapałem jedną i już wkrótce pędziliśmy w kierunku Regent's Park. Regent's Court był nowym blokiem mieszkalnym, położonym tuż przy St John's Wood Road. Niedawno go zbudowano, więc posiadał najnowsze urządzenia techniczne.

W holu nie było nikogo. Doktor nerwowo nacisnął przycisk przywołujący windę i gdy przyjechała, zaczął gwałtownie indagować przyzwanego w uniform windziarza.

- Mieszkanie numer jedenaście. Hrabia Foscatini. O ile się nie mylę, wydarzył się tam jakiś wypadek.

Mężczyzna popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Pierwszy raz słyszę. Pan Graves, służący hrabiego Foscatini, wyszedł jakieś pół godziny temu i nic nie mówił.

- Czy hrabia jest sam w mieszkaniu?

- Nie, proszę pana, je obiad z dwoma dżentelmenami.

- Jak wyglądają? - zapytałem ożywiony.

Staliśmy teraz w windzie, szybko jadącej na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie hrabiego.

- Nie widziałem ich, proszę pana, wiem tylko, że to jacyś cudzoziemcy.

Otworzył metalowe drzwi i wyszliśmy na podest. Numer jedenaście znajdował się naprzeciw nas. Doktor zadzwonił do drzwi. Nikt ich nie otworzył, a z mieszkania nie dobiegł nas żaden dźwięk. Doktor dzwonił jeszcze wielokrotnie; słyszeliśmy tryl dzwonka wewnątrz, ale najmniejszych oznak życia w odpowiedzi.

- Sprawa wygląda poważnie - wymamrotał doktor. Odwrócił się do windziarza. - Czy są do tych drzwi jakieś zapasowe klucze?

- Jest jeden, na dole, w portierni.

- Więc niech go pan przyniesie i myślę, że dobrze by było zadzwonić po policję.

Poirot wyraził aprobatę skinieniem głowy. Mężczyzna wkrótce wrócił; wraz z nim przyszedł gospodarz.

- Proszę mi wyjaśnić, panowie, co to wszystko znaczy.

- Naturalnie. Otrzymałem od hrabiego Foscatini telefoniczną wiadomość, że został napadnięty i umiera. Pojmuje pan, że nie mamy czasu do stracenia, jeśli już nie jest za późno.

Gospodarz bez dalszych wstępów wyjął klucz i wszyscy weszliśmy do mieszkania.

Znaleźliśmy się w małym kwadratowym przedpokoju. Drzwi z prawej strony były uchylone. Gospodarz wskazał na nie ruchem głowy.

- Jadalnia.

Doktor Hawker szedł przodem. Podążaliśmy tuż za nim. Gdy weszliśmy do pokoju, dech mi zapało w piersiach. Na okrągłym stole, stojącym w samym środku, znajdowały się resztki posiłku; trzy krzesła odsunięto do tyłu, tak jak gdyby ich użytkownicy dopiero co wstali. W kącie, na prawo od kominka, było duże biurko, przy którym siedział jakiś człowiek, czy

raczej to, co z niego zostało. Prawą ręką nadal trzymał podstawkę telefonu, ale twarzą upadł do przodu, najwyraźniej na skutek straszliwego ciosu, jaki zadano mu w tył głowy. Narzędzia zbrodni nie trzeba było daleko szukać. Marmurowa statuetka stała tam, gdzie ją w pośpiechu odstawiono, jej dolna część była poplamiona krwią.

Lekarskie oględziny nie zajęły nawet minuty.

- Nie żyje. Śmierć musiała być prawie natychmiastowa. Dziwię się, że zdołał jeszcze zadzwonić. Lepiej go nie ruszać, dopóki nie przyjedzie policja.

Przychyłając się do propozycji gospodarza, przeszukaliśmy mieszkanie, ale rezultat był łatwy do przewidzenia. Mało prawdopodobne było, aby mordercy mogli się tam schować, skoro wystarczyło po prostu wyjść z mieszkania.

Wróciliśmy do jadalni. Poirot nie brał udziału w naszej eskapadzie. Zastałem go pilnie przypatrującego się stołowi. Przyłączyłem się do niego. Stół był okrągły, polerowany, mahoniowy. Jego środek ozdabiała czara z różami, a na błyszczącej powierzchni leżały białe koronkowe podkładki pod naczynia. Była też patera z owocami, ale trzy talerzyki do deserów pozostały nietknięte. Trzy filiżanki do kawy zawierały pozostałości tego napoju, w dwóch była czarna kawa, a w jednej z mlekiem. Wszyscy trzej mężczyźni pili porto i karafka, napełniona do połowy, stała przed środkowym nakryciem. Jeden z mężczyzn wypalił cygaro, dwóch pozostałych papierosy. Szylkretowo-srebrne pudełko z cygarami i papierosami stało otwarte na stole.

Zanotowałem w pamięci wszystkie te szczegóły, ale zmuszony byłem przyznać, że ani trochę nie wyjaśniały one całej sytuacji. Ciekawiło mnie, co zobaczył w nich Poirot, skoro był taki skupiony. Zapytałem go o to.

- *Mon ami* - odparł - nie pojmujesz istoty sprawy. Szukam czegoś, co by tu nie pasowało.

- Czego na przykład?

- Jakiegoś błędu, nawet najmniejszego, jaki mógł popełnić morderca.

Wkroczył szybko do przyległej kuchenki, rozejrzał się po niej i przecząco pokręcił głową.

- Monsieur - poprosił gospodarza - proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób dostarcza się tu posiłki.

Gospodarz podszedł do małego okienka w ścianie.

- Do tego służy ta mała winda - wyjaśnił. - Prowadzi do kuchni, które znajdują się na najwyższym piętrze budynku. Zamówienie składa się przez ten telefon, a potrawy są przesyłane windą, jedno danie co jakiś czas. Brudne talerze i półmiski są odsyłane do kuchni w

ten sam sposób. Dzięki temu można uniknąć pracy w kuchni, a zarazem rozgłosu, jaki towarzyszy ciągłemu jądaniu posiłków w restauracji.

Poirot z aprobatą skinął głową.

- Zatem talerze i półmiski, jakich użyto dzisiaj wieczoru, są na górze, w kuchni. Pozwoli pan, że się tam udam?

- Ależ oczywiście, jeżeli pan chce! Roberts, windziarz, zabierze pana na górę i przedstawi obsłudze; ale obawiam się, że niczego pan tam nie znajdzie. Trafiają tam setki talerzy i półmisków, a wszystkie składa się razem.

Poirot jednak pozostał niewzruszony, razem odwiedziliśmy kuchnię i wy pytali mężczyznę, który odbierał zamówienie z mieszkania numer jedenaście.

- Zamówiono obiad dla trzech osób, z karty dań - wyjaśnił. - Zupę jarzynową, filet *de sole normande*, *tournedos* z wołowiny i suflet z ryżu. O której godzinie? Chyba około ósmej. Nie, obawiam się, że talerze i półmiski zostały już umyte. Niestety. Chodzi panu o odciski palców, jak sądzę?

- Niezupełnie - odparł Poirot, zagadkowo się uśmiechając. - Bardziej mnie interesuje apetyt hrabiego Foscatini. Czy próbował każdej potrawy?

- Tak; ale oczywiście nie potrafię powiedzieć, ile zjadł każdej z nich. Wszystkie talerze były brudne, a półmiski puste, to znaczy, z wyjątkiem tego, na którym był suflet z ryżu. Sporo go zostało.

- Ach tak! - odparł Poirot, a wydawał się tym usatysfakcjonowany.

Gdy wracaliśmy do mieszkania, zauważył cicho:

- Najwyraźniej mamy do czynienia z człowiekiem działającym metodycznie.

- Masz na myśli mordercę czy hrabiego Foscatini?

- Ten ostatni bez wątplenia był bardzo dokładnym dżentelmenem. Po tym, jak błagał o pomoc i zakomunikował o zbliżającym się zgonie, ostrożnie odwiesił na miejsce słuchawkę.

Zaskoczony zacząłem wpatrywać się w Poirotą. Jego słowa, a wcześniej jego pytania, podsunęły mi pewną myśl.

- Podejrzewasz, że został otruty? - wyszeptałem. - Cios w głowę miał jedynie posłużyć zatarciu śladów.

Poirot tylko się uśmiechnął.

Gdy weszliśmy do mieszkania hrabiego, zastaliśmy już tam miejscowego inspektora policji wraz z dwoma posterunkowymi. Niewiele brakowało, a ten pierwszy oburzyłby się na nasz widok, lecz uspokoił go Poirot, wspominając naszego przyjaciela ze Scotland Yardu, inspektora Jappa, dzięki czemu, aczkolwiek niechętnie, pozwolono nam zostać. I dobrze się

stało, bo nie upłynęło nawet pięć minut, gdy jakiś mocno poruszony mężczyzna, z widocznymi oznakami żalu i wzburzenia, wpadł do pokoju.

Był to Graves, służący i kamerdyner świętej pamięci hrabiego Foscatini. Historia, którą nam opowiedział, była wręcz sensacyjna.

Poprzedniego ranka dwóch dżentelmenów chciało się widzieć z jego panem. Byli to Włosi, starszy z nich, mężczyzna lat około czterdziestu, przedstawił się jako signor Ascanio. Młodszy był dobrze ubranym młodzieńcem, lat około dwudziestu czterech.

Hrabia Foscatini najwyraźniej spodziewał się ich wizyty, gdyż natychmiast wysłał Gravesa z domu z jakimś błahym poleceniem. Tu mężczyzna urwał i zawahał się, nim dalej zaczął opowiadać. W końcu jednak przyznał, że zainteresowany celem spotkania nie od razu zastosował się do polecenia pracodawcy, lecz zwlekał nieco, próbując się zorientować, o czym mówili.

Rozmowa była prowadzona na tyle cicho, iż usłyszał mniej, niż się spodziewał, ale dotarło do niego wystarczająco dużo, aby mógł pojąć, że dyskutowano na temat jakiejś pieniężnej propozycji, u której podłoża tkwiła groźba. Dyskusja bynajmniej nie była przyjazna. Ostatecznie hrabia Foscatini podniósł nieco głos i służący usłyszał wyraźnie: "Panowie, nie mam teraz czasu na dalsze spory. Zjedzcie ze mną obiad jutro o ósmej, a wtedy na nowo podejmiemy tę dyskusję".

Bojąc się, że zostanie przyłapany na podsłuchiwanii, Graves wyszedł pośpiesznie, aby wypełnić polecenie pana. Tego wieczoru obaj mężczyźni przybyli punktualnie o ósmej. Podczas obiadu rozmawiali o sprawach nieistotnych: polityce, pogodzie i świetle teatru. Gdy Graves postawił na stole porto i przyniósł kawę, jego pracodawca stwierdził, że tego wieczoru służący może mieć wychodne.

- Czy zwykle się tak zachowywał, gdy miał gości? - zapytał inspektor.

- Ależ nie, proszę pana. To właśnie zrodziło moje przypuszczenia, że sprawa, którą zamierza z tymi dżentelmenami przedyskutować, musi być wyjątkowa.

Na tym kończy się opowieść Gravesa. Wyszedł około wpół do dziewiątej i spotkawszy przyjaciela, wraz z nim udał się do Metropolitan Music Hall na Edgware Road.

Nikt nie widział wychodzących gości hrabiego Foscatini, ale czas popełnienia morderstwa określono dokładnie: ósma czterdzieści siedem. Zegar stojący na biurku, który w chwili upadku zrzuciła ofiara, zatrzymał się na tej godzinie, wtedy też panna Rider odebrała telefon.

Policyjny chirurg dokonał oględzin zwłok i teraz leżały one na kanapie. Po raz pierwszy zobaczyłem twarz: oliwkową cerę, długi nos, bujne czarne wąsy i pełne, czerwone wargi,

odslaniające olśniewająco białe zęby. Nie była to twarz zbyt sympatyczna.

- Cóż - stwierdził inspektor, ponownie zapinając notatnik. - Sprawa wydaje się jasna. Jedyłą trudnością będzie schwywanie tego signora Ascanio. Nie sądzę, aby jego adres przypadkiem znalazł się w kieszonkowym notesie nieboszczyka.

Jak już wcześniej stwierdził Poirot, świętej pamięci Foscatini był człowiekiem dokładnym. Słowa "Signor Paolo Ascanio, hotel Grosvenor" były zanotowane drobnym, starannym pismem.

Inspektor zajął się telefonowaniem, po czym odwrócił się do nas, pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

- W samą porę. Nasz wytworny dżentelmen zamierzał właśnie złapać pociąg mający bezpośrednie połączenie ze statkiem płynącym na kontynent. A zatem, panowie, to chyba wszystko, co możemy zrobić. Sprawa jest ponura, ale dosyć prosta. Prawdopodobnie to jeszcze jedna włoska wendeta.

Tak beztrąsko odprawieni, schodziliśmy na dół. Doktor Hawker był niezwykle podniecony.

- Jak w powieści, prawda? Bardzo ekscytujące. Aż trudno uwierzyć.

Poirot nie odpowiedział. Był bardzo zamyślony. Przez cały wieczór prawie nie otwierał ust.

- Cóż zatem twierdzi król detektywów? - zapytał Hawker, poklepując go po plecach. - Tym razem pańskie szare komórki nie mają nad czym pracować.

- Tak pan uważa?

- Bo też co by to mogło być?

- Na przykład okno.

- Okno? Ależ było solidnie zamknięte. Nikt nie mógłby tamtędy wejść ani wyjść.

Zwróciłem na to szczególną uwagę.

- A dlaczego mógł pan na to zwrócić uwagę?

Doktor wyglądał na zakłopotanego. Poirot pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Mam na myśli zasłony. Nie były zaciągnięte. Trochę to dziwne. I jeszcze ta kawa. Taka czarna.

- I co z tego?

- Taka czarna - powtórzył Poirot. - Gdy weźmiemy pod uwagę i ten fakt, a warto o nim pamiętać, że zjedzono tak mało sufletu z ryżu, otrzymamy co?

- Nonsens - roześmiał się doktor. - Stroi pan sobie ze mnie żarty.

- Nigdy nie stroję żartów. Obecny tu Hastings wie, że mówię najzupełniej poważnie.



- Mimo wszystko nadal nie wiem, do czego zmierzasz - wyznałem. - Czyżbyś podejrzewał tego służącego? To prawda, że mógł należeć do bandy i wrzucić jakiś środek odurzający do kawy. Przypuszczam, że sprawdzą jego alibi.

- Bez wątplenia, przyjacielu; ale mnie interesuje alibi signora Ascanio.

- Myślisz, że ma jakieś alibi?

- To właśnie nie daje mi spokoju. Nie wątpię, że już wkrótce będziemy to wiedzieć.

“Daily Newsmonger” zapoznał nas gruntownie z kolejnymi wydarzeniami w tej sprawie.

Signora Ascanio aresztowano i oskarżono o morderstwo hrabiego Foscatini. Aresztowany zaprzeczył, że znał hrabiego, i oświadczył, że nie był w pobliżu Regent's Court ani tego wieczoru, gdy popełniono zbrodnię, ani poprzedniego ranka. Młodszy mężczyzna zniknął bez śladu. Signor Ascanio przybył z kontynentu sam i zatrzymał się w hotelu Grosvenor dwa dni przed morderstwem. Wszystkie wysiłki, aby odszukać drugiego mężczyznę, spełzły na niczym.

Ascaniowi jednak nie wytoczono procesu. Ni mniej, ni więcej, tylko sam włoski ambasador zgłosił się na policję i zeznał, że tego wieczoru, od ósmej do dziewiątej, Ascanio był wraz z nim w ambasadzie. Więźnia zwolniono. Naturalnie, wiele osób uważało, że zbrodnia miała charakter polityczny i celowo została zatuszowana.

Poirot interesował się żywo tymi wszystkimi szczegółami. Byłem jednak nieco zaskoczony, gdy pewnego ranka poinformował mnie, że spodziewa się gościa i że gościem tym ma być nie kto inny, tylko sam Ascanio.

- Pragnie się z tobą skonsultować?

- *Du tout*, Hastings, to ja pragnę skonsultować się z nim.

- W jakiej sprawie?

- Morderstwa w Regent's Court.

- Zamierzasz udowodnić, że je popełnił?

- Żaden człowiek nie może być sądzony dwukrotnie za tę samą zbrodnię, Hastings.

Postaraj się podejść do tego rozsądnie. Ach, to pewno dzwoni nasz przyjaciel.

Kilka minut później wszedł do pokoju signor Ascanio, mały, szczupły człowiek, rzucający ukradkowe, tajemnicze spojrzenia. Stał, patrząc na nas podejrzliwym wzrokiem.

- Monsieur Poirot?

Mój przyjaciel delikatnie poklepał się po piersi.

- Zechce pan usiąść, signor. Otrzymał pan mój list. Zależy mi na wyjaśnieniu tej tajemnicy. W pewnym stopniu może mi pan pomóc. Zatem zacznijmy. W towarzystwie kolegi

odwiedził pan świętej pamięci hrabiego Foscatini we wtorek rano, dziewiątego...

Włoch zareagował gniewem.

- Ależ nie byłem tam. Przysięgałem już w sądzie...

- *Precisement*, mnie się jednak wydaje, że popełnił pan krzywoprzysięstwo.

- Grozi mi pan? Też coś! Nic mi pan nie może zrobić. Zostałem uniewinniony.

- W samej rzeczy; i nie jestem imbecylem, nie straszę pana szubienicą, lecz opinią publiczną. Opinia publiczna! Widzę, że nie lubi pan tego słowa. Tak też przypuszczałem. A bardzo sobie cenię własne przypuszczenia, wie pan. Więc proszę się opamiętać, signor, jedyna pańska szansa to być ze mną szczerym. Nie pytam, co sprowadziło pana do Anglii. Wiem tylko, że przybył pan specjalnie w tym celu, aby się widzieć z hrabią Foscatini.

- On nie był hrabią - mruknął z dezaprobatą Włoch.

- Już wcześniej zauważyłem, że jego nazwisko nie figuruje w Almanachu Gotajskim. Mniejsza o to, wielu szantażystów używa tytułu hrabiego.

- Sądzę, że równie dobrze mogę być z panem szczery. Wygląda na to, że wie pan bardzo dużo.

- Posłużyłem się, nie bez pożytku, szarymi komórkami. A zatem, signor, odwiedził pan denata we wtorek rano. Tak było, prawda?

- Tak, ale nie poszedłem tam następnego wieczoru. Nie było takiej potrzeby. Opowiem panu wszystko. Pewne informacje dotyczące człowieka zajmującego ważną pozycję we Włoszech weszły w posiadanie tego łajdaka. Zażądał dużej sumy w zamian za zwrot dokumentów. Przyjechałem do Anglii, aby załatwić tę sprawę. Tamtego ranka odwiedziłem go, po wcześniejszym uzgodnieniu terminu. Był ze mną jeden z młodych sekretarzy ambasady. Hrabia był rozsądniejszy, niż przypuszczałem, choć z drugiej strony suma, jaką mu zapłaciłem, była rzeczywiście olbrzymia.

- Przepraszam, w jakiej walucie pan mu ją wypłacił?

- Włoskimi banknotami o stosunkowo małym nominale. Zapłaciłem z miejsca. Wręczył mi obciążające dokumenty. Nigdy więcej już go nie widziałem.

- Dlaczego nie powiedział pan tego, gdy pana aresztowano?

- Ponieważ sprawa była delikatnej natury, musiałem zaprzeczyć jakimkolwiek związkom z tym człowiekiem.

- Jak więc tłumaczy pan wydarzenia tamtego wieczoru?

- Mogę jedynie przypuszczać, że ktoś celowo podał się za mnie. Rozumiem, że pieniądze w mieszkaniu nie znaleziono.

Poirot popatrzył na niego i przecząco pokręcił głową.

- Dziwne - wymamrotał. - Wszyscy posiadamy szare komórki. A tak niewielu z nas wie, jak ich używać. Do widzenia, signor Ascanio. Wierzę w prawdziwość pańskiej opowieści. Tak też przypuszczałem. Ale musiałem się upewnić.

Po pożegnaniu gościa niskim ukłonem Poirot usiadł z powrotem w fotelu i uśmiechnął się do mnie.

- Posłuchajmy, co ma do powiedzenia w tej sprawie *le capitaine* Hastings.

- Cóż, sądzę, że Ascanio ma rację, ktoś się za niego podał.

- Czy nigdy nie używasz mózgu, który dobry Bóg ci ofiarował? Przypomnij sobie słowa, jakie wypowiedziałem owego wieczoru, gdy wyszliśmy stamtąd. Wspomniałem, że zasłony w oknie nie były zaciągnięte. Mamy teraz czerwiec. O ósmej jest jeszcze jasno. Zmierzch zapada pół godziny później. *Ca vous dit quelque chose?* Mam wrażenie, że w końcu ci się powiedzie. Wróćmy teraz do tematu. Kawa, jak już wspomniałem, była bardzo mocna. Zęby hrabiego Foscatini - niezwykle białe. Kawa przecież pozostawia na zębach osad. Wnioskujemy z tego, że hrabia Foscatini nie pił kawy. Mimo to kawa znajdowała się we wszystkich trzech filiżankach. Dlaczego ktoś miałby udawać, że hrabia Foscatini pił kawę, gdy tak naprawdę tego nie robił?

Przecząco pokręciłem głową, całkowicie zdezorientowany.

- Pomogę ci. Jaki dowód mamy na to, że Ascanio i jego kolega, czy też jakichkolwiek dwóch mężczyzn, którzy by się za nich podawali, poszło tam pamiętnego wieczoru? Nikt nie widział, jak wchodzili; nikt nie widział, jak wychodzili. Potwierdzają to zeznania jednego człowieka i mnóstwo nieożywionych przedmiotów.

- Co masz na myśli?

- Noże, widelce, talerze i puste półmiski. Ach, to był wspaniały pomysł! Graves jest złodziejem i łajdakiem, ale jakże metodycznie działa! Podślučuje rano część rozmowy, wystarczająco dużo, aby zdać sobie sprawę, że Ascanio znajdzie się w na tyle niezręcznej sytuacji, że trudno będzie mu się bronić. Następnego wieczoru, około ósmej, mówi swemu pracodawcy, że jest do niego telefon. Foscatini siada przy biurku, wyciąga rękę po słuchawkę i nagle Graves zadaje mu z tyłu cios marmurową figurką. Potem pędzi do telefonu w kuchni, aby złożyć zamówienie: obiad dla trzech osób! Gdy ten zostaje dostarczony, nakrywa stół, brudzi talerze, noże, widelce etc. Lecz musi się także pozbyć jedzenia. Jest to człowiek, który nie tylko ma głowę na karku, ale i pojemny żołądek! Po zjedzeniu trzech *toumedos* okazuje się jednak, że suflet z ryżu to dla niego za wiele! Wypala nawet cygaro i dwa papierosy, aby uczynić mistyfikację bardziej wiarygodną. Ach, jaka dbałość o szczegóły! Następnie, przesunawszy wskazówki zegara na ósmą czterdzieści siedem, rozbija go, w wyniku czego zegar się

zatrzymuje. Jediną rzeczą, o której zapomina, jest zaciągnięcie zasłon. Gdyby jednak obiad taki miał naprawdę miejsce, zaciągnięto by je, gdy tylko zaczęłyby zapadać zmierzch. Potem pośpiesznie wychodzi, mimochodem napomykając windziarzowi o gościach. Śpieszy do budki telefonicznej i gdy zbliża się ósma czterdzieści siedem, dzwoni do doktora, udając swego umierającego pracodawcę. Pomysł jest tak znakomity, że nikt nawet nie sprawdza, czy o tej porze w ogóle dzwoniono z mieszkania numer jedenaście.

- Z wyjątkiem Herkulesa Poirot, jak sądzę? - odparłem uszczypliwie.

- Nie, włączając w to i jego - odparł mój przyjaciel z uśmiechem. - Mam zamiar zrobić to teraz. Najpierw jednak musiałem swoje domysły przedstawić tobie. Ale przekonasz się, że mam rację; potem Japp, któremu napomknąłem o tej sprawie, będzie mógł aresztować owego zacnego Gravesa. Ciekaw jestem, ile z tych pieniędzy już wydał.

Poirot miał rację. Jak zwykle, niech go diabli!

## Zaginiony testament

Problem, który nam przedstawiła panna Violetta Marsh, stanowił miłą odmianę w naszej codziennej pracy. Poirot otrzymał wcześniej od owej damy krótki i rzeczowy list, w którym prosiła o spotkanie, i zaproponował, aby go odwiedziła następnego dnia o jedenastej.

Zjawiała się punktualnie - wysoka, młoda i ładna; prosto, lecz schludnie ubrana; zachowująca się pewnie i rzeczowo. Młoda kobieta, która na pewno poradzi sobie w świecie. Sam nie jestem wielbicielem tak zwanych postępowych kobiet i pomimo jej urody niezbyt dobrze byłem do niej usposobiony.

- Sprawa, z którą do pana przychodzę, jest nieco osobliwej natury, monsieur Poirot - rozpoczęła, usiadłszy na zaoferowanym jej krześle. - Lepiej zacznę od początku i opowiem panu całą historię.

- Bardzo proszę, mademoiselle.

- Jestem sierotą. Ojciec był jednym z dwóch synów właściciela niewielkiej farmy w Devonshire. Ziemia była licha i starszy brat, Andrew, wyemigrował do Australii, gdzie wiodło mu się świetnie i dzięki korzystnej spekulacji ziemią dorobił się dużego majątku. Młodszy brat, Roger (mój ojciec), nie miał zamiłowania do życia na wsi. Zdobył nieco wykształcenia i otrzymał posadę urzędnika w pewnej małej firmie. Ożenił się z panną, która zajmowała trochę wyższą pozycję społeczną niż on; matka była córką zubożałego artysty. Ojciec umarł, gdy miałam sześć lat. Gdy miałam lat czternaście, matka podążyła za nim. Wówczas jedynym krewnym, jaki mi pozostał, był wuj Andrew, który akurat wrócił z Australii i kupił małą posiadłość w rodzinnych stronach. Był niezmiernie życzliwy dziecku zmarłego brata, zabrał mnie do siebie i traktował tak, jakbym była jego własną córką.

Crabtree Manor, pomimo swej nazwy, w rzeczywistości jest jedynie starym, stojącym na farmie domem. Wuj miał rolnictwo we krwi i ogromnie interesowały go różne eksperymenty rolnicze. Chociaż uprzejmy w stosunku do mnie, miał pewne osobliwe, głęboko zakorzenione poglądy na temat wychowywania dziewcząt. Sam będąc człowiekiem prawie bez wykształcenia, choć o niezwyklej przenikliwości, przykładął bardzo małą wagę do tego, co nazywał "wiedzą książkową". Przeciwny był zwłaszcza kształceniu kobiet. Jego zdaniem dziewczęta powinny się uczyć praktycznych prac domowych i tych związanych z produkcją nabiału, być przydatne w domu i mieć tak mało do czynienia z książkami, jak to tylko możliwe. Ku memu wielkiemu rozczerowaniu i irytacji zamierzał mnie wychować wedle tych zasad. Szczerze się przeciw temu buntowałam. Wiedziałam, że posiadam bystry umysł i żadnego

talentu do prac domowych. Wuj i ja wielokrotnie kłóciliśmy się o to, gdyż choć bardzo do siebie przywiązani, oboje byliśmy uparci. Miałam to szczęście, że przyznano mi stypendium, i przez pewien czas stawiałam na swoim. Trudności pojawiły się, gdy podjęłam decyzję, aby wyjechać do Griton. Pieniądzy, które zostawiła mi matka, było niewiele, byłam więc zdecydowana zrobić użytek z talentów, jakimi obdarzył mnie Bóg. Doszło między nami do długiej, ostatecznej kłótni. Wuj postawił sprawę jasno. Nie miał innych krewnych i zamierzał uczynić mnie swoją jedyną spadkobierczynią. Jak już mówiłam, był niezwykle zamożnym człowiekiem. Gdybym jednak obstawała przy tych “nowomodnych poglądach”, nie powinnam się spodziewać po nim żadnego spadku. Pozostałam uprzejma, ale nieugięta. Powiedziałam mu, że zawsze będę do niego głęboko przywiązana, ale muszę iść swoją własną drogą. Na tym się rozstaliśmy. “Jesteś zadufana we własny rozum, moje dziecko - takie były jego ostatnie słowa. - Nie posiadam wiedzy książkowej, ale mimo to zmierzę się z tobą pewnego dnia. Wtedy zobaczymy”.

Było to dziewięć lat temu. Czasami zostawałam z nim na weekend i nasze stosunki były bardzo przyjazne, choć jego poglądy nie zmieniły się ani na jotę. Nigdy nie wspominał ani o moim wstąpieniu na studia, ani o uzyskaniu dyplomu.

Od trzech lat podupadał na zdrowiu, a przed miesiącem zmarł.

Przejdę teraz do celu swej wizyty. Wuj pozostawił niezwyklej testament. Zgodnie z nim Crabtree Manor i wszystko, co się tam znajduje, ma być oddane do mojej dyspozycji na okres roku od czasu jego śmierci, “w którym to czasie moja bystra bratanica może dowieść swojej inteligencji”, brzmiały słowa testamentu. Po tym okresie, jeśli “okaże się, że mam lepszy rozum niż ona”, dom i olbrzymia fortuna wuja mają zostać przekazane różnym instytucjom charytatywnym.

- To trochę niesprawiedliwe, mademoiselle, jako że jest pani jedyną krewną pana Marsha.

- Nie tak na to patrzę. Wuj Andrew uczciwie mnie ostrzegł, a ja wybrałam swoją własną drogę. Skoro go nie usłuchałam, mógł zostawić swoje pieniądze, komu tylko chciał.

- Czy testament został zredagowany przez prawnika?

- Nie, został spisany na formularzu, które są specjalnie w tym celu drukowane, i poświadczony przez małżeństwo mieszkające w tym samym domu i pracujące u wuja.

- Być może znajdzie się sposób na obalenie takiego testamentu?

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

- A zatem traktuje to pani jako szlachetne wyzwanie ze strony wuja?

- Właśnie tak na to patrzę.

- Z pewnością można się tu posłużyć taką interpretacją - odparł zamyślony Poirot. - Gdzieś w tym starym, chaotycznie zbudowanym domu wuj pani ukrył albo znaczną kwotę w banknotach, albo być może drugi testament i dał pani rok na odnalezienie tego.

- Dokładnie, monsieur Poirot; i tu składam panu wyrazy szacunku, zakładając, iż pańska pomysłowość przewyższy moją.

- Ach, jakież to urocze! Moje szare komórki są do pani dyspozycji. Prowadziła pani jakieś poszukiwania na własną rękę?

- Jedynie pobieżne, ale mam zbyt wiele szacunku dla zdolności wuja, by przypuszczać, że zadanie będzie łatwe.

- Czy ma pani przy sobie testament albo jego kopię?

Panna Marsh podała mu przez stół dokument. Poirot przejrzał go, kiwając przy tym głową.

- Sporządzony przed trzema laty. Datowany na dwudziesty piąty marca; podana jest również godzina, jedenasta rano, bardzo jednoznaczne. Zawęża to pole poszukiwań. Z pewnością musimy szukać następnego testamentu. Takiego, który zostałby sporządzony choćby pół godziny później i unieważniałby ten. *Eh bien*, mademoiselle, problem, który pani przedstawiła, jest doprawdy uroczy i twórczy. Z prawdziwą przyjemnością rozwiążę go dla pani. Choć jest rzeczą oczywistą, że wuj pani był człowiekiem uzdolnionym, to jednak jego szare komórki nie mogą dorównać tym, jakie posiada Herkules Poirot! - Próżność Poirota jest doprawdy niesłychana. - Na szczęście, w tej chwili nie pracuję nad żadną sprawą. Dzisiejszego wieczoru Hastings i ja pojedziemy do Crabtree Manor. Przypuszczam, że małżeństwo, które służyło u pani wuja, nadal tam jest?

- Tak, nazywają się Baker.

Następny ranek zastał nas przy prawdziwych poszukiwaniach. Przyjechaliśmy późno poprzedniego wieczoru. Państwo Baker, otrzymawszy telegram od panny Marsh, oczekiwali nas. Tworzyli miłą parę, mężczyzna o zaróżowionych policzkach, pomarszczony niczym wyschnięta reneta, i jego żona - kobieta pokaźnych rozmiarów, spokojna jak większość mieszkańców Devonshire.

Zmęczeni podróżą i ośmiomilową jazdą samochodem ze stacji, zaraz po zjedzeniu kolacji złożonej z pieczonego kurczaka, placka z jabłkami i kremu - specjału Devonshire, udaliśmy się na spoczynek. Właśnie uporaliśmy się z doskonałym śniadaniem i siedzieliśmy w wyłożonym boazerią pokoiku, który był jednocześnie gabinetem i salonem świętej pamięci pana Marsha. Biurko z żaluzjowym zamknięciem, po brzegi wypełnione papierami, wszystko starannie ujęte w wykazach, stało przy ścianie, a duży skórzany fotel wskazywał wyraźnie, że

było to stałe miejsce odpoczynku jego właściciela. Przy przeciwległej ścianie stała pokryta perkalem sofa, ten sam wyblakły perkal o niemodnym już wzorze można było zauważyć na głębokich, niskich fotelikach w oknach wykuszowych.

- *Eh bien, mon ami* - zaczął Poirot, zapalając jednego ze swoich cienkich papierosów - musimy nakreślić plan działania. Dokonałem już pobieżnych oględzin domu i jestem zdania, że właśnie w tym pokoju natrafimy na jakąś wskazówkę. Musimy niezwykle skrupulatnie przejrzeć dokumenty, które znajdują się w biurku. Naturalnie, nie spodziewam się, że znajdę wśród nich testament, ale jest prawdopodobne, że jakiś na pozór niewinnie wyglądający papier może zawierać wskazówkę co do schowka. Lecz najpierw musimy uzyskać nieco informacji. Proszę, zadzwoń na służbę.

Uczyliem to. Czekając, aż ktoś się zjawi, Poirot spacerował w tę i z powrotem i rozglądał się z aprobatą.

- Ten pan Marsh był niewątpliwie człowiekiem działającym metodycznie. Spójrz, jak starannie są posegregowane papiery; klucz do każdej szuflady ma przywieszkę z kości słoniowej, podobnie jak klucz do szafki z porcelaną wiszącej na ścianie; a spójrz, jak starannie ustawiona jest w środku porcelana. Aż serce rośnie na ten widok. Nic tu nie razi wzroku...

Nagle urwał, gdyż jego uwagę przykuł klucz do samego biurka, do którego była przyczepiona brudna, mała koperta. Poirot zmarszczył brwi i wyjął go z zamka. Na kopercie słowa "klucz do biurka z żaluzjowym zamknięciem" nagryzmołono niewyraźnym pismem, zupełnie niepodobnym do starannych napisów na pozostałych kluczach.

- Obce pismo - rzekł Poirot, marszcząc brwi. - Mógłbym przysiąc, że nie mamy tu już do czynienia z osobowością pana Marsha. Ale kto jeszcze był w tym domu? Jedyne panna Marsh, a ona, o ile się nie mylę, jest również osobą działającą metodycznie, w sposób uporządkowany.

W odpowiedzi na dzwonek wszedł Baker.

- Proszę przyprowadzić madame, pańską żonę, i odpowiedzieć na kilka pytań.

Baker oddalił się i po kilku chwilach powrócił z panią Baker, wycierającą dłonie o fartuch, z promiennym uśmiechem na twarzy.

W kilku zwięzłych słowach Poirot przedstawił cel swojej misji. Bakerowie od razu stali się bardziej życzliwi.

- My byśmy nie chcieli patrzeć, jak pannie Violetcie zabierają to, co należy do niej - oznajmiła kobieta. - Okrutnie trudno będzie szpitalom wziąć to wszystko.

Poirot nie przestawał zadawać pytań. Tak, pan i pani Baker doskonale pamiętają, jak potwierdzali testament. Baker wcześniej musiał pojechać do pobliskiego miasteczka po dwa



formularze do spisania testamentu.

- Dwa? - spytał ostro Poirot.

- Tak, proszę pana, tak sobie myślę, że na wszelki wypadek, gdyby za pierwszym razem coś nie wyszło. I z całą pewnością tak było. Gdyśmy podpisali jeden...

- Mniej więcej o której to było godzinie?

Baker podrapał się w głowę, ale jego żona była szybsza.

- A jakże, akurat postawiłam na piec mleko na kakao, o jedenastej. Nie pamiętasz? Całe wykupiało, gdyśmy wrócili do kuchni.

- A potem?

- Chyba po godzinie. Musieliśmy pójść jeszcze raz. "Pomyliłem się - powiedział starszy pan - musiałem wszystko podrzeć. Podpiszecie jeszcze raz", i tak zrobiliśmy. A potem pan dał każdemu z nas sporą sumkę. "Nic wam nie zapisałem - mówi - ale póki żyję, co roku będę wam tyle dawał, żebyście mieli oszczędności, gdy umrę". I tak zrobił.

Poirot zastanawiał się przez chwilę.

- Gdy podpisaliście po raz drugi, co potem robił pan Marsh? Pamiętacie?

- Poszedł do wsi, opłacić rachunki u sklepikarzy.

Nie wyglądało to obiecująco. Poirot spróbował z innej strony. Wyciągnął z biurka klucz.

- Czy to pismo waszego pana?

Mogło mi się wydawać, ale minęła chwila czy dwie, zanim Baker odpowiedział:

- Tak, proszę pana.

Kłamie - pomyślałem. - Ale dlaczego?

- Czy waz pan wynajmował komuś dom? Czy byli tu jacyś obcy w ciągu ostatnich trzech lat?

- Nie, proszę pana.

- A goście?

- Tylko panna Violetta.

- Nikt obcy nie wchodził do tego pokoju?

- Nie, proszę pana.

- Zapominasz o robotnikach, Jim - przypomniała mu żona.

- O robotnikach? - Poirot nagle odwrócił się w jej kierunku - o jakich robotnikach?

Kobieta wyjaśniła, że około dwu i pół roku temu sprowadzono do domu robotników, aby dokonali pewnych napraw. Wyrażała się dosyć niejasno na temat tego, co to były za naprawy. Jej zdaniem spowodowane były przelotnym kaprysem pana. Przez jakiś czas

robotnicy pracowali w gabinecie, ale co tam robili, nie potrafiła powiedzieć, gdyż pan nie pozwolił im wchodzić do pokoju, gdy prace trwały. Niestety, nie pamiętają nazwy firmy, jedynie to, że mieściła się w Plymouth.

- Robimy postępy, Hastings - zacierając ręce, powiedział Poirot, gdy Bakerowie wyszli z pokoju. - Najwidoczniej sporządził drugi testament, a potem sprowadził robotników z Plymouth, aby zrobili odpowiedni schowek. Zamiast tracić czas na opukiwanie podłogi i ścian, udamy się do Plymouth.

Z drobnymi kłopotami uzyskaliśmy potrzebne informacje. Po jednej czy dwóch próbach znaleźliśmy firmę, którą zatrudnił pan Marsh.

Jej pracownicy nie zmieniali się od wielu lat, łatwo więc było znaleźć dwóch mężczyzn, którzy pracowali na zlecenie pana Marsha. Doskonale pamiętali to zajęcie. Wykonali kilka pomniejszych prac, a potem wyjęli jedną z cegieł ze staroświeckiego kominka, zrobili poniżej otwór i tak przycięli cegłę, aby z zewnątrz nie można było dostrzec złącza. Po naciśnięciu na drugą od końca cegłę wszystko się odsłaniało. Praca była dosyć skomplikowana, a starszy pan wybredny. Naszym rozmówcą był człowiek o nazwisku Coghlan, wielki, wymizerowany mężczyzna o posiwiałych wąsach. Sprawiał wrażenie inteligentnego.

Do Crabtree Manor wróciliśmy w doskonałym humorze i zamknawszy drzwi od gabinetu, zaczęliśmy wcielać w życie naszą nowo zdobytą wiedzę. Na ceglach nie można było dostrzec żadnego znaku, lecz gdy nacisnęliśmy właściwą, od razu ukazał się głęboki otwór.

Poirot z zapalem włożył tam rękę. Wtem błogie rozradowanie na jego twarzy zmieniło się w konsternację. Wyciągnął jedynie przypalony kawałek twardego papieru. Poza nim niczego w otworze nie było.

- *Sacre!* - zawołał gniewnie. - Ktoś był przed nami. Z niecierpliwością obejrzelśmy skrawek papieru. Najwyraźniej był to fragment tego, czego szukaliśmy. Zachowała się część podpisu Bakera, lecz nie było ani śladu testamentu.

Poirot wydawał się zaskoczony. Wyraz jego twarzy można by uznać za komiczny, gdyby on sam nie sprawiał wrażenia pokonanego.

- Nie pojmuję - warknął - kto go zniszczył? I w jakim celu?

- Bakerowie? - zasugerowałem.

- *Pourquoi?* - W żadnym testamencie niczego im nie zapisano, a istnieje większe prawdopodobieństwo, że zatrzymaliby posadę przy paninie Marsh, niż gdyby posiadłość stała się własnością jakiegoś szpitala. Jaki pożytek mógłby odnieść ktokolwiek ze zniszczenia testamentu? Skorzystają szpitale, tak, ale nie można przecież podejrzewać instytucji.

- Być może starszy pan zmienił zdanie i sam go zniszczył - zasugerowałem.

Poirot powstał i ze zwykłą starannością otrzepał z kurzu kolana.

- To możliwe - przyznał. - Jedna z twoich bardziej rozsądnych uwag, Hastings. Cóż, nie możemy tu nic więcej zdziałać. Zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy. Zmierzyliśmy się ze świętej pamięci Andrew Marshem i odnieśliśmy zwycięstwo, lecz, niestety, jego bratanicy nie będzie się dzięki temu lepiej powodziło.

Natychmiast pojechaliśmy samochodem na stację, gdzie udało nam się złapać pociąg do Londynu, choć nie był to główny ekspres. Poirot był smutny i niezadowolony. Jeśli o mnie chodzi, zmęczony drzemałem w kącie. Nagle, gdy akurat ruszaliśmy z Taunton, Poirot wydał z siebie przeszywający pisk.

- *Vite*, Hastings! Obudź się i skacz! Ależ skacz, mówię!

Zanim zorientowałem się, gdzie jestem, staliśmy na peronie, z gołymi głowami i bez walizek, gdy tymczasem pociąg znikał w mroku. Byłem wściekły. Ale Poirota to nie obchodziło.

- Jakimż byłem imbecylem! - wołał. - Potrójnym imbecylem! Już nigdy więcej nie będę wychwalał swoich szarych komórek!

- Dobrze i to - odparłem zrzędliwie. - Ale o co właściwie chodzi?

Jak zwykle, gdy wprowadzał w życie swój plan, Poirot nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

- Rachunki u sklepikarzy. Zupełnie nie wziąłem tego pod uwagę. Tak, ale gdzie? Gdzie? Mniejsza o to, nie mogę się mylić. Musimy natychmiast wracać.

Łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Udało nam się złapać pociąg osobowy do Exeter, a stamtąd Poirot wynajął samochód. Do Crabtree Manor przyjechaliśmy we wczesnych godzinach rannych. Pomijam skonsternowanie Bakerów, gdy w końcu udało się nam ich obudzić. Nie zwracając na nikogo uwagi, Poirot natychmiast udał się do gabinetu.

- Byłem nie potrójnym imbecylem, lecz trzydziestosześciokrotnym, przyjacielu - zauważył - a teraz patrz!

Podszedł prosto do biurka, wyjął klucz i odczepił od niego kopertę. Przyglądałem mu się w osłupieniu. Czyżby miał nadzieję, że znajdzie testament w takiej małej kopercie? Z niezwykłą ostrożnością rozciął kopertę i rozłożył ją płasko. Potem zapalił świecę i przybliżył wewnętrzną stronę koperty do płomienia. Po kilku minutach zaczęły się ukazywać niewyraźne znaki.

- Popatrz, *mon ami!* - zawołał triumfalnie. Spojrzałem. Kilka wierszy niezbyt wyraźnego pisma stwierdzało krótko, że pan Marsh zostawia wszystko swojej bratanicy, Violetcie Marsh. Dokument datowany był na dwudziesty piąty marca, godzina dwunasta

trzydzieści po południu, i został poświadczony przez Alberta Pike'a, cukiernika, i Jessie Pike, mężatkę.

- Czy jest legalny? - wykrztusiłem.

- O ile wiem, prawo nie zabrania spisywania testamentu atramentem sympatycznym. Zamiar testatora jest jasny, a beneficjentem jego jedyna żyjąca krewna. Ale co za pomysłowość! Przewidział każdy krok, który wykona szukający... i które ja, nieszczęsny idiota, wykonałem. Zaopatruje się w dwa formularze do spisywania testamentu, każe służbie dwukrotnie podpisywać, po czym spisuje testament na wewnętrznej stronie brudnej koperty atramentem sympatycznym. Pod jakimś pretekstem każe cukiernikowi i jego żonie złożyć podpisy pod swoim własnym, następnie przyczepia kopertę do klucza od biurka i cicho się do siebie śmieje. Jeżeli bratanica przejrzy jego podstęp, usprawiedliwi tym swój wybór życiowy i udowodni, że w pełni zasługuje na jego pieniądze.

- Ale go nie przejrzała, prawda? - odparłem wolno. - Wydaje się to niesprawiedliwe. Tak naprawdę wygrał staruszek.

- Ależ nie, Hastings. Inteligencja cię zawodzi. Panna Marsh dowiodła bystrości umysłu i znaczenia wyższego wykształcenia kobiet, przekazując od razu sprawę w moje ręce. Zawsze zatrudniaj eksperta. Tym samym dowiodła swego prawa do tych pieniędzy.

Ciekaw jestem - bardzo jestem ciekaw - co by na to powiedział stary Andrew Marsh!